



NOWA BIBLIOTEKA  
PISARZY POLSKICH.

---

TOM XXI.

---



POEZYE  
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

---

PISMA POŚMIERTNE

WYDANE

W SETNĄ ROCZNICĘ NARODZIN POETY

ZEBRAŁ

Ks. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

---

TOM VII.

Ks. Dr. ANTONI MARCHEWKA

---

MIKOŁÓW-WARSZAWA.  
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.  
1909.



63865/7-8

63895

884 (084)

# PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

---

ZBIORY SŁĄSKIE

Akc R Nr 881/43/5



## PIEŚŃ PIERWSZA.

### WYJAZD Z NEAPOLU.

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,  
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,  
Sentymetalna, bo kończy się sierpień,  
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką  
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,  
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,  
Skąd się wybrałem, poco i dlaczego?  
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;  
Na wieży świata postawił smutnego  
Życia nicością, i pokazał wszędzie  
Pustynie, mówiąc: Tam ci lepiej będzie.

A jednak, gdyby mniej pamięci bólu,  
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku:  
Toby mi dobrze było w Neapolu,  
Gdzie przed oknami na prawym przylądku  
Widziałem szare więzienie stolicy,  
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

Błękitne morze pomiędzy więzieniem  
A między górą popiołów i lawy  
Czekało ciche, aż góra płomieniem,  
A konstytucją buchnie wulkan prawy.  
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów  
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

To jest za króla ruszał się kardynał,  
Za kardynałem Fra-dyabelska banda,  
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał  
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;

Gdy zaś wyrąbał do Kyrie Elejson  
Litanie Świętych, wyręczył go Nelson.  
Mówiłbym dalej, ale Pan Podstoli,  
Dziady, a zwłaszcza tych Dziadów część czwarta,  
Uczą porządku w opowiadani roli,  
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta  
Mego pegaza wyskoki, i liczne  
Opowiadania semi-historyczne!

Więc do porządku! A jednak mię boli  
Dawać odsyłacz do pana Coletty,  
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli  
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,  
Przrzekłem trzymać wędzidło na pysku  
Apolinowym. Lecz powiem w przypisku.

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści  
Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,  
To go pod strofą poprzednią umieści,  
Zmazawszy parę skrzyżowanych kresek,  
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem  
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

Przypisek winien być pisany prozą,  
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.  
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,  
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,  
A za mną drugi jedzie krok za krokiem  
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłumokiem.

Wierze mi jednak, że lepsza od rymu  
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)  
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;  
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.  
Carozze jego i cabrioletti  
Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,  
Który staremu nie ujawszy sławy,  
Tak się podzielił famą, jak cykorya

Wmieszana zgrabnie do mokańskiej kawy.  
I marmurami, wygodą i luxem  
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

Zalecam także (zostanę Astolfem,  
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),  
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem  
Na świętej Łucyi; a jeśliś bogatym,  
Jeśli ci kura złote nosi jaja,  
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

Dósyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,  
Że pohamować nie umięję weny,  
Z wieszczą zostanę prozaicznym gidem;  
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny  
Nad Caracciolim i kłąć Ferdynanda,  
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym łądzie  
A jutro myśli wędrować po morzu,  
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,  
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:  
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,  
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol  
Jest Nimfy okiem błękitnem, — Warszawa  
Sercem, — cierniami w nodze Sewastapol,  
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —  
Paryż jej głową, — a Londyn kołnierzem  
Nakrochmalonym, a zaś Rzym... szkaplerzem.

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze  
Na Niderlandach kończy się zamknięte...  
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże  
Po święte myśli i szkaplerze święte.  
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,  
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir  
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,



Położę jaki suspir albo expir;  
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę  
I muzę moją w rymowym balencie  
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

O Neapolu! ty nie pożegnany  
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.  
Jak biała Wenus, urodzona z piany,  
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie  
Skrawami słońca zachodniego łuny,  
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?  
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —  
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,  
A ty na niebie i na fal błękiecie  
Tak roztopiony w zorzy malowidła,  
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

O Neapolu! wieczorne wyziewy  
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.  
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy  
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;  
A twój domami okryty pagórek  
Ma białość lekkich na błękiecie chmurek.

Tylko po Chiaii po Margelinie  
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;  
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,  
Wszystko się rusza. Grób wieszczą wysoki  
Właśnie tam stoi, dove fa il torso  
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

A choć przejeżdżał w prześwieatnej osobie  
Królewicz mały, choć mu się rój kłaniał,  
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.  
Masztalerz jechał i kijem rozganiał  
Mrówki idące w przeznaczenia droge  
Z królewiczami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

Choć bardzo lubię filozofię Kanta,  
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,  
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:  
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,  
Które przyczyną może będą schizmu  
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu  
I w poemacie używał języka  
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze  
Kładł majuskuły, to podług krytyka  
Na końcu rymu położone B. I. C. E.  
Wcale znaczyło co innego w pieśni  
Niż Beatrice. Wam się o tem nie śni!...  
A ja dowodzę, że Dant o kochance  
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie  
Albo Konwencyi — i nie topił w szklance  
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie  
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,  
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.  
Z grobowca wieszczą widzę, jak nad głową  
Wulkanu księżyc wysunął się biały,  
A u stóp góry Castello dell'Ovo,  
Zamek podobny do sterczącej skały,  
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę  
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —  
Szerniał przy fali migającej złości; —  
A gdy na niebie szafirowem ze dna  
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:  
I z okiem zamku błysła gwiazda jedna  
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,  
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.  
O gladyatory, wydarci ludowi  
W godzinie zgonu i mrący na słomie!  
Idę powiedzieć o was Chrystusowi  
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;  
Idę zapytać głośno w Oliwiecie,  
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?



I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,  
 Z oliwy bladej gałązki rwać będę;  
 A jeśli znajde, że już śpicie w grobie,  
 Liśćmi płaczu posypię tę grzędę,  
 Pod którą będzie cichy sen grobowy —  
 Kości bez czaszek i trupy bez głowy.  
 O bracia moi, łańcuchami zbrojni,  
 O nie targajcie wy się jak w rozpacz! —  
 O bracia moi, bądźcie wy spokojni!  
 Słońce was jutro po kratkach zobaczy  
 Bledszych wilgocią, strawą i myślami,  
 A ja was żegnam... niech śmierć będzie z wami!  
 Żegnam i ciebie o garsteczko prochów  
 Leżącą zawsze pod laurem klasycznym;  
 Turkot powozów z Pauzylipu lochów  
 Woła pod tobą hymnem romantycznym,  
 Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,  
 Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...  
 Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —  
 I wiele będzie do sprzeczki powodów,  
 Czy jeden Rotszyld, jak wiesz nad Helladą,  
 Czy też brzęczących kompania Rapsodów  
 Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby  
 Anglikom się w twarz przypatrują ryby.  
 Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,  
 Jeśli okłamię Pauzylipu grote!  
 W ciemny korytarz spadają latarnie —  
 Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;  
 A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,  
 Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.  
 I jeszcze wyżej wzniosłszy się na duchu,  
 Powie ci muza w opisaniach szczytna,  
 Że na uwitym z latarni łańcuchu  
 Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,  
 A w tej gwiazdeczki lazuruwem łonie  
 Rodzą się ludzie, powozy i konie.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach  
 Idą, wiedniejąc długim korytarzem.  
 Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,  
 A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,  
 Tu, nie lekając się dyb i powroza,  
 Zbieraj modele, jak Salvator Rosa.  
 Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,  
 A golf ubrany latarni przepaską.  
 Stolicco! gdzie nikt nie myśli głęboko,  
 Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,  
 Niech twój rząd/stworzy jakie słowo święte  
 Na niemyślenie, jak na far-niente!  
 Dyogenesów lud rynki zasiada.  
 Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:  
 Zejdź z mego słońca — nędzarz odpowiada.  
 Jeżeli nie ma karlinów, to skona  
 Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon  
 Dusze przepławia... wolność? czy Lazaron?  
 Wolność!... Już dla niej uszyto symarę  
 Z gazet Giovine Italia. Lazaron  
 Będzie żył, póki ma frutti di mare,  
 Niebo błękitne i żółty makaron,  
 I koszyk, w którym leży jak ostrzyga.  
 Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!...  
 A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,  
 Tytuły contów i w oknach firanki,  
 W cieniu dopiero się ledwo zieleni...  
 Kto temu winien? — Neapolitanki!...  
 One to winne, że się lud nie budzi;  
 Bo kto z młodzieży umie robić ludzi?...  
 Ja wiem, że wiele winienem kochance;  
 Sama po włosku uczyła mnie czytać,  
 Improwizować, (ale nie przy szklance),  
 Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,  
 Na Archipelag uciekać po laur  
 I awantury — jak Korsarzi Giaur.



Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz  
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);  
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojce-nasz  
Lepszą modlitwą... księżycy-wzdychanie;  
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku  
Na katolicyzm... mam religię smutku!

I odpisałem... co? już nie pamiętam —  
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco  
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:  
„Jako dwie skały, kiedy je roztrąca  
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,  
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,  
Zagrała w sercu i żyły moje płyną.  
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!...  
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,  
Co nieraz kładła koralowe grona  
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,  
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —  
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,  
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie  
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze  
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

I ży się żywe rozbiegną po łonie  
I strumień palce różowe otworzy,  
Jeśli splakaną twarz ukryjesz w dłonie.  
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy  
Gwiazda niknąca, błądy; lub z obliczem  
Pełnem promieni Boskich... albo niczem.

Jednak jeżeli Ten, co jest na Niebie,  
Słyszał o słońca mówione zachodach  
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,  
A tak rozlane na świat, jak na wodach  
Mórz lazurowych rozlewał się cały  
Krag tonącego słońca skrawo biały;

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno  
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć  
I nie przeklinać... i drogą bezludną  
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,  
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,  
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

Jeśli i Boga nie zwiodła udana  
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,  
Krwia poplamiona i drugi raz wdziana  
Na duszę pełną bólu... i ze świata  
Uciekającą na chmurach jesiennych  
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

To mojej duszy, dobytej z popiołów,  
Da wiele ciszy — i na jaką błądą  
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów  
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,  
Mówi poeta ballad w Leonorze;  
Więc na niemieckim chciałbym się upiorze

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze  
Niejedną jeszcze przerwana ideą.  
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce,  
Jutro więc zacznę śpiewać Odyseą,  
Albo wyprawę o Jazona runach  
Na nowej lutni i na złotych strunach.

### PIEŚŃ TRZECIA. STATEK PAROWY.

Na morze statek wyleciał parowy;  
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny...  
A jako z płaskiej wieloryba głowy  
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,  
Tak z pod okrętu młyńskim bita kołem  
Wytryska piana — a dym leci czołem.



Jeszcze nie rzucę porównania, chyba  
 Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty  
 W drewniano-smolnem łonie wieloryba.  
 A jako niegdyś płynął Jonasz święty,  
 W łonie okrętu bez desek i miedzi  
 Wesoło, w liczmem towarzystwie śledzi,  
 Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu  
 Trawionych flader, ostryg i czefalów:  
 Tak nasz kapitan i wódz paketbotu  
 Z pasażerami jak z tłumem wasalów,  
 Otyły, wesół, dowcipny i mądry  
 Nas ma za śledzie, ostrugi i fladry.  
 Tu majtek rudel obraca mosiężny;  
 Dalej zantejski sędzia i sędzina,  
 A między nimi synek niedołężny,  
 Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,  
 Może przekleństwo jakiego klienta  
 Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.  
 Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;  
 Nie wie, co znaczą łyż na matki licu,  
 Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;  
 A nam widniejsze góry na księżycu,  
 Morza przy górach i na morzach statki,  
 Niż temu dziecku łyż na oczach matki...  
 Kapitan krzyknął Wirgilem: *et tanta e,*  
*Tantaene divis coelestibus ira?* —  
 Na to się podniósł graf Solomon z Zante,  
 Poeta grecki; ucho mu rozdiera  
 Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;  
 Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.  
 Może też słabość; bo pędko rękoma  
 Wziął się za serce i na dwóch lokai  
 Głośno zawołał nazwiskami dwoma;  
 Bo skoro tylko jeden się narai,  
 Zaraz poeta na drugiego krzyczy,  
 Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały  
 Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczk  
 Strącon słabością; a twój surdut biały  
 I glansowane białe rękawiczki  
 I twój z usługzonych lokajów paszalik  
 Świadczą, że jesteś *co x c o m b* lub migdalik.  
 O! znam ja ciebie, której ręka trzyma  
 Miecz w piorunową uzbrojony jasność;  
 O! znam ja ciebie, skrawami oczyma  
 Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność... —  
 Z takim to niegdyś do Wolności żarem  
 Przemówił ów graf — i został Pindarem.  
 Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,  
 Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;  
 Mówią, że wierszy popalonych szkoda;  
 Mówią, że przy nim wszyscy wieszczę mali.  
 Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,  
 Czyni z nich codzień pan graf *a u t o d a f e!*  
 Przy tym poecie, co był tak ognistym  
 Wewnątrz, a z wierzchu drżał jak galareta,  
 Siedział na środku w krześle rozłożystem  
 Senator, starzec z twarzą Epikteta,  
 Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy.  
 Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.  
 Jeden sekretarz był jak kropla wody  
 Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia  
 Żadna i żadnej nie poniesie szkody.  
 Taki był pokład. Dalej biała linia  
 Od indywiduów oddzielała masy,  
 To jest podróżnych, ale drugiej klasy.  
 Tam pod żelazną kolumną komina  
 Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,  
 Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;  
 A między niemi z tłómków pagórek  
 Żółtych i czarnych — a koło tej góry  
 Kuchnia, kucheiki, kucharze i kury.



Przy piersi matek rozplakane dzieci,  
Przy bokach starców stoją flaszę z gliny;  
Czasem iskierka czerwona wyleci  
Z czeluści statku i pomiędzy liny  
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,  
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody.  
Nad drugą klasą cięży jakaś para  
I komin sypie deszczem wrącej wody.  
Proszę! za czworo nędznego talara  
Można uniknąć piekła... ale za to  
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie  
Po morzu cichem, jasno-lazurowym.  
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie  
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym  
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,  
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije  
Okręt kręconą machinami skrzela.  
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;  
Już się fortece Santa Maura bielą;  
A z drugiej strony przedzielona zwirem  
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,  
Ani w błyszczące pióro półksiężyc,  
Cicha jak kamień; kiedy zamek Joński,  
By ustrojona do ślubu dziewica,  
Ma kwiat na głowie, tysiąc isker w oku,  
Bukiet z latarni portowej u boku.

A niech wie każda poetyczna Laura,  
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą  
I księżycową, że ta Santa Maura  
W starożytności zwała się Leukadą.  
I pod błękitnym unosi obłokiem  
Skąłę wślawną biednej Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu  
Safonę, bardzo podobną do greckiej.  
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,  
A Moskał zginął na wojnie tureckiej;  
Ta poszła zabrać na Warneńskim polu  
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,  
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,  
Kędy osobne biuro statystyczne  
Liczyło uszy z rana do wieczora  
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,  
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,  
I rzekła z płaczem: Oddajcie mi skarby!  
— Jakież? — rzekł gruby Emir Bej Raszyda.  
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby  
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,  
Bo nie znalazła frazesu w Korynie...

— Wróćcie mi, wróćcie! — i znowu zamilka,  
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.  
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,  
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;  
Śmiał się, zważając na prośby szalone —  
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

I musiał piekłu grać, jak Paganini,  
Na jednej strunie cały placu kwartet.  
Ale powróćmy do naszej bogini:  
Chciała z rozpacz umrzeć broken-hearted,  
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę  
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady tykająca nieba!  
Śmiej się ehami grot tłuczonych fala  
Z lancetów, mdości i pigulek z chleba! —  
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —  
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,  
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.



Piana pod piersi okrętu się garnie,  
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;  
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie  
Pod obłokami kirowego dymu;  
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,  
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,  
To samo morze! Lecz gdzież na tej skale  
Postać kochanki pogardzonej biała  
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,  
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,  
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali...

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,  
Siadła na ławce, spojrzała w błękitny  
Tak mglistem okiem, że się zeszyły końce  
Rzecz długich, czarnych — i wzrok był przykryty  
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną  
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność  
Na dno okrętu; a z wierzchu mówiono,  
Że tę kobietę dręczą niewzajemność,  
Że przed miesiącem była mniej niż żoną,  
Więcej niż... dyabła! niech dokończy zycer...  
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!  
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,  
Przy skoku Safo: a będziemy szczerzi.  
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną  
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem  
Biegło po morzu z przekleństwami i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,  
Jak Nereida wyszło z morza głębi;  
Na czole pełne liliowego kwiatu —  
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi  
Leciało między gwiazd sferami śliczne,  
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą  
Co robić? — serce własne gryść i kasać?  
Trzeba nareszcie zostać panteistą,  
Poznać się z duszą natury i płasać  
Z czarownicami, co się stają widne,  
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty  
Sypią się z nieba i niebo różowe.  
Już przyrywamy — i nad czołem Zanty  
Widać fortecy uzbrojoną głowę  
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni  
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;  
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.  
(Nasze by damy mówiły koronki).  
Bon jour! — Tak do mnie akcentem z Genewy  
Przemówił młody Zantejczyk, figura  
Przez lat dwanaście kształcona na jur a.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,  
Zdała od ojca, matki i ojczyzny...  
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wie;  
Może nie pozna pod śniegiem siwizny  
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,  
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,  
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.  
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:  
Toby się sęki zasklepione wiekiem  
Same otwarły, przez kory szczeliny  
Niepowstrzymanych łez lejać bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos  
Pod Atenami, bez fal i bez wody;  
I ten sam statek, ten sam Heptanissos,  
Co go odnosił w rodzinne zagrody,  
Dla niego prostą był tylko machiną,  
Na której ludzie za pieniądze płyną.



Z jakiejże gliny byli ulepieni  
 Ci, co wracając na ziemię ojczystą,  
 Padali czołem na czoło kamieni,  
 Całując ziemię chwastami nieczystą,  
 Zimną... co nieraz, nim usta oddarli,  
 Na głazach ziemi całowanej marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą  
 Na twoje pola, ale ja nie wrócę!  
 Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzuca  
 Na kamienistej drodze życia — płuce  
 Ogniem pożarte, widziane oczyma  
 Sny straszne twarz: wszystko mię zatrzyma!  
 Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie.  
 Umarłem może jedną chwilę wcześniej  
 Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,  
 Jerozolimie, trapiiona boleśniej,  
 Niż gród Chrystusa!... A gdy na twą grzędę,  
 Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

### PIEŚŃ CZWARTA. GRECYA.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor  
 Wyjechał z Zante na barce Trytonów;  
 Na głowie swojej miał pomięty kastor,  
 Surdut na plecach, parę pantalonów.  
 Nie epopeję pisząc, nie idyllą,  
 Powiem, że to był metr hotelu Giglio.  
 Stał i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie  
 Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!  
 Lepiej do mego hotelu zawińcie,  
 Oberża moja podróżnikom znana!  
 W Patras musicie dni dziesięć i cztery  
 Przebyć kwarantan — od osp i cholery.  
 Chociaż poznałem, że to syn Adama,  
 Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,

Zląkłem się bardziej, niż bohater Gama.  
 Lecz pomyślawszy rzekłem: nic nie szkodzi —  
 Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,  
 Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,  
 Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwożą,  
 A może miłych jakiej Penelopie,  
 Prowadź nas w miasto, — albo lotną nogą  
 Śpiesząc przed nami, na stołach bez Harpii  
 Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,  
 Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.  
 Z taką odprawą oberżyście niemy  
 Odjechał. Ja zaś z czołem nie pogodnem  
 Jako Eneasza modliłem się: Panie,  
 Nie daj mi w greckiej siedzibie kwarantanie!

A potem wszedłszy na fortecy góry  
 Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,  
 W szczyrach szafirów oprawna lazury,  
 Niebem i morzem dokoła oblana,  
 Tała mnóstwo domków w głębi łona  
 Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,  
 Swoją kanapę i okno na morze,  
 Swoją miłą stolik, gdzie pisze i ziewa,  
 Swoje gazami oskrzydłone łoże;  
 Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,  
 Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach  
 Przed własnym domkiem, gdy ucielną gwary,  
 Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach  
 Zaczną piosenkę nocy, a pies stary  
 Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,  
 Przyjdzie i u nóg pana się położy;  
 I myśleć wtenczas! O fa! o fa!  
 Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.



Patrzę na gwiazdy i cygaro palę  
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem  
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonie  
Błyska... modłę się... lecz nie proszę o nie.

Miło być także na morzu ozłotnem  
Błyskawicami i białem ogniskiem;  
Miło być także dumnym i samotnym,  
I niedzielone mieć uczucia z nikim,  
I nad powietrza ulatując ciszą,  
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,  
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:  
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —  
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty  
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,  
Na tobie dzwoni północna godzina.

Godzina cicha, tajemnicza, senna —  
Na wielkiem morzu falą wahanemu;  
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —  
Dowiaż gwiazd dziesięć ogniovi złotemu  
Okiem i myślą, a z niebios wyleci  
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,  
Już go nie straci i myślą nie zmaże.  
Na strunach lutni położył kopyta;  
W nozdrzach, jak w rumu zapalanej czarze,  
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,  
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego krwawy.

Za temi gwiazdy wychodzi Dyanna,  
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,  
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,  
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,  
Z błękitnej razem staje się zielona  
Jak listek, potem czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą poblądła,  
Zapowiadając prędkie cieniom końce:

Błyśnie ci w oczy jak kawał zwieczadła,  
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;  
A gdy nad smutnym takie blaski roni,  
Przywykasz razem do smutku i do niej.  
Niebo na wschodzie okrywa purpura,  
Potem ją skrawa zastępuje białość,  
A róż odcieyty, jako lekka chmura,  
Płyne w błękity... O! klasyczna stałość!  
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki  
Łono sypiącej różami jutrzeńki.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,  
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie  
Z błękitnej fali, z ponad gór Lepantu;  
A za nią słońce rozlane ogromnie  
Wyszło, jak zegar wieczystego czasu,  
Nad błękitnemi górami Patrasu.  
Takie olbrzymie twarze Nibelungi  
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!  
Pierwszy twój promień padł na Missolungi,  
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce  
Sto razy większym oparli się siłom,  
Kapitulacyi nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek  
Poustawianych na dziecinny stole,  
Tak owo miasto. — Cóż to? biedny ptaszek  
Leci przez morza lazurowe pole,  
I pada przy mnie na ławie, a potem  
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem  
Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,  
I długo w statku zabłąkana liny  
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.  
A ja patrzałem na serce ptaszyny,  
Jak biło, jak się układały piórka  
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży  
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?



O Missolungi. — Jak ta kania krąży  
 Żelaznem skrzydłem po morzu i niebie!  
 Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...  
 — Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.  
 Dla niego może Kościuszkowskim czasem  
 Było zniszczenie w Missolungi gniazda;  
 A dziś — gdy kania z okropnym hałasem  
 Piór natężonych, jak lecąca jazda  
 Kirasyerów na polach Grochowa  
 Goniła... Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!  
 Lub niech cię kania zje — boś mi przerwała  
 Do Missolungi już zaczęta ode.  
 Ta sobie stoi maleńka i biała  
 Pod górą — patrząc na błękitną wodę,  
 Jako nad Styxem zebrane do kupy  
 Białe umarłych domków kościotrupy.  
 Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem  
 Żadnego drzewa; lecz na nie upada  
 Z gór czatujących nad Lepantu wniściem  
 Ciemność i światło — a każda z gór błada  
 Mgłą błękitawą, a jedna z gór mroczna,  
 Jak piramida stoi sześcioboczna.  
 Tak równe ściany pokazuje słońcu,  
 Tak równe boki ma cieniem pokryte,  
 Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,  
 Jako pod niebo ręką ludzką wzbite  
 Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,  
 Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.  
 Nieuwieńczona śniegowemi srebrzy,  
 Musi być u stóp śniegiem kości biała.  
 Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry.  
 Ale od bomby, kuli, lub kindżała: —  
 Dałbym tej górze posępnej nazwisko  
 Grobu twojego — a Parnas tak blisko!  
 I mnie dziś łatwiej wleźć na szczyt Parnasu,  
 Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem

Rów wykopany. Trzeba na to czasu!  
 Na Parnas będą jeździć dylizansem  
 Wieszcze Europy — a republikanie  
 Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?  
 Wierzę w republik ojca jedyne  
 Robespiera (to Trybuny wina,  
 Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,  
 Rzeczypospolitej jedynaka syna,  
 Co wielkich marzeń nie przestając snować,  
 Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.  
 Potem zaś wstąpił do arystokracji  
 I trzy dni bawił; a po tej troszeczce  
 Przyszedł w obliczu przyszłej generacji  
 Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!  
 Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,  
 W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.  
 I w obcowanie ich ducha z narodem  
 I w odpuszczenie naszym wodom grzesznym  
 I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem  
 Obieranego: a gdyby mię śmiesznym  
 Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,  
 Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.  
 Zrobiwszy taki sumienia examen,  
 Takie wyznanie, biedny wierszokleta,  
 Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen  
 Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.  
 Zacząłem pisać — teraz z wielką biedą  
 Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?  
 Wierzę, że idą ludy, jako chmura  
 Pełna błyskawic na trony zachwiane,  
 Wierzę, że nawet królewska purpura  
 Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane  
 Ławy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;  
 Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.  
 Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,  
 Bo właśnie teraz wracam z jego domu;



Bo sam widziałem, jak błękitów Farys  
 Od ogniowego opalony gromu  
 W Patrasie grecką dowodzi flotylą,  
 Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.  
 On, co żył niegdyś jako salamandra  
 W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka  
 W domku glinianym, jak domek Ewandra;  
 Dziłkami chwasty zaplątana ścieżka  
 Do progów jego prowadzi — przed progiem  
 Odlam marmuru, co był kiedyś bogiem.  
 Belek się ledwo dotykały heble,  
 W ścianach obficie powietrza niż gliny;  
 Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,  
 To jest deszczulki z sosen i szczeliny,  
 Wiodą na piętro — wejście, pierwsza próba,  
 Już było dla mnie, jako sen Jakóba.  
 Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską  
 Niezabudkami rzeczulkę — przy zdroju  
 Miejsce kładkową przeskoczono deską,  
 Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,  
 Dokoła w kalin ustrojone wianki  
 Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.  
 Nie wiem, dlaczego — lecz nieraz w gorąco,  
 Gdy się na upał zaczynają skarżyć  
 Świerszcze piosenką po trawach syczącą,  
 Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.  
 I tak czytałem niegdyś walkę Greka  
 Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.  
 Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,  
 (Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie)  
 Czeką, czy biała i powiewna postać  
 (Widać aleje i lipy w ogrodzie)  
 Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie  
 I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!  
 I czytam marząc, jako Ipsylanty  
 Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata;

A kiedy czytam, to rosy brylanty  
 Strząsając, zefir po kwiatach przelata  
 I fale w złote pomarszczywszy prążki,  
 Przewraca karty welinowe książki...  
 Kartki rozwiane przycisnę kamykiem  
 I będę czytał. Oto wódz naczelny  
 Demetrius, licznym dowodzący szykiem,  
 A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;  
 Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...  
 Skąd są? — powstałi z mogił Cheronei...  
 Wszyscy — prócz wodza!... ten niezmartwychwstanie,  
 Zabity mieczem zgubionej stolicy!  
 Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie  
 Chowane w piersiach marmurowej lwicy,  
 Która im była pomnikiem po śmierci,  
 Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.  
 Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!  
 I dzisiaj leży na samotnem polu,  
 Jak wielkim prochem rozsądzone kusze;  
 A głowa pełna przedwiecznego bólu  
 Padła na ziemię — zda się, że spoczywa.  
 Wydaną duszą smutna i straszliwa.  
 Długo Grek patrzył na tę lwicy głowę,  
 Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.  
 Snycerz dał smutną marmurowi mowę;  
 Patrzac — słyszałem dwa słowa Kościuszki:  
 Finis Poloniae, przechowane w głazie,  
 Jak iza w kamieniu — albo myśl w obrazie.  
 O Cheroneo! o Maciejowice!  
 Cyt... coś białego wśród liści jaśnieje...  
 Ach nie! to tylko białe gołębie  
 Przez ogrodową leciały aleję...  
 Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona,  
 Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.  
 Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę  
 Dyamentową oprawę pałasza;



Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,  
Płaci żelazem... Już Ibrachim basza,  
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,  
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyę. — Gdzie są Termopile,  
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelaził?  
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile  
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas  
W polach Klissowy z ośmią set człowieka  
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;  
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,  
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —  
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa  
Ani leący aleją gołąbek  
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

Lecz wtem nadzieja odbiegła mię wszystka:  
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,  
I przywiązawszy do każdego listka  
Myśl i życzenie i życie rycerza  
I Zavellasa... o szaleństwo młode!  
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha;  
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,  
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?  
Posłałem falą wędrować błękitną;  
I nie wiem, jaki los tamte pochłonił,  
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą  
I zimne karty zacząłem całować,  
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!  
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,  
Jak rzucić drogą marzeń księżycową  
Z umarłem sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,  
Stężałem członki, krew czując na licu...

Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!  
W obóz turecki leci po księżycu;  
A nim się straż obudzone zwarły,  
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły...  
I odezwały się w górach klasztory;  
A nie były to pogrzebowe dzwony,  
Które kupuje na śmierć człowiek chory;  
Lecz jakieś wielkie pomieszczone tony  
Płaczu, rozpacz — wyjące po skałach,  
I większej zemsty głos — zamknięty w działach.

A wielkie morze, lazuruwe morze,  
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis  
Córy królewskie... ciebie teraz porze  
Między flotami tureckimi Miaulis;  
Z nim jest drewniana ateńska forteca,  
Którą Kanaris brulotem oświeca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury  
Wydarte morzu — prędkim idą lotem;  
A ów Kanaris zda się, jak centaury,  
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.  
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,  
Którymi niszczy — czy ma twarz aniołów?  
Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,  
Cicha się łódka nastąpiona nie gniew?  
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?  
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?  
Jak on wygląda, gdy błękitne morze  
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi — lecz zniszczyć nie zdolny!  
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce  
Wodza greckiego... Oto konik polny  
Usiadł przede mną na cichej rzeczułce,  
I suszy skrzydeł przezroczyстых szkieleka  
Błyszące w słońcu, by tęczy perełka.  
I suchą nogą, na żdźble żółtej słomy.  
Dziecko powietrza, wędruje na łódce

Przez zwierciadlane rzeczulki załomy,  
I port w rozbitej znajdzie niezabudce,  
Albo popłynie dalej z nurtem wody  
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

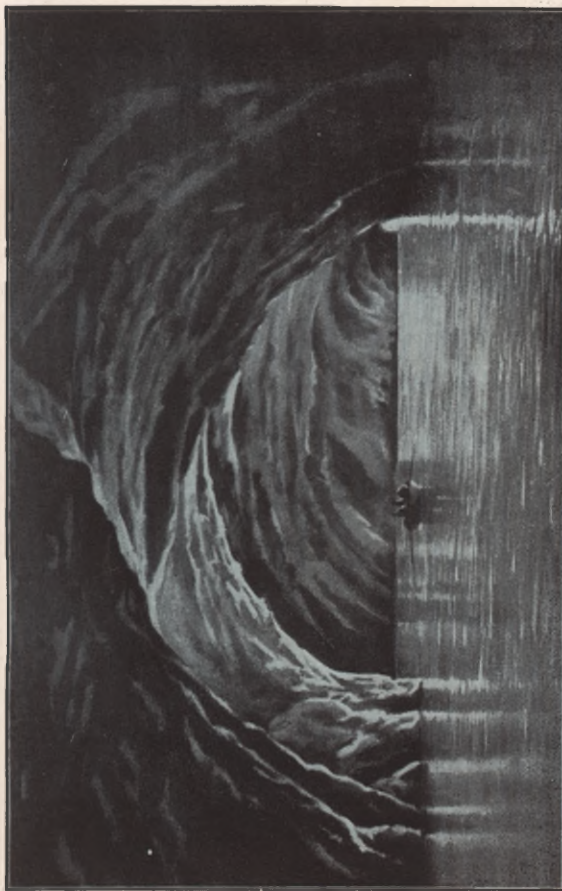
A kiedy płynął i srebrzystym rysem  
Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,  
Myśl moja cała z wielkim Kanarise  
Płynęła za nim w kraje malowane  
Piękną przyszłością... i widziałem życie  
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie  
Uśmiechał dzieckiem: — ty z taką światłością  
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!  
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.  
Kwiat spodziewany na wątlej łodydze  
Życia mojego — rozwinął się... widzę —  
Co? Jeszcze w myślach owa przeszła chwila,  
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze,  
Jeszcze Kanaris na słońce motyla,  
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...  
I chciałbym cały włosem się osłonić  
Nad dawną księgą — i dawne łyzy ronić;  
I być zbudzonym, jak dawniej — nad rzeką,  
Gdy na aleje złote słońce spadło;  
Kiedy słyszany jakiś głos daleko  
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwieciadło  
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,  
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

### PIEŚŃ PIĄTA.

#### PODRÓŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...  
Jak wystawiony na niebieskie rosy  
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,



Grota błękitna na wyspie Capri.



Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,  
Odrzuca z czoła: — takeś ty skaliste  
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste!  
Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,  
Kiedy się skończy sen pełny omamień:  
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,  
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...  
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytých,  
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,  
Na czoło króla płomieni brązowe,  
Pytałem znanej mu już tajemnicy,  
Bo sam odwalał kamienie grobowe  
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;  
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka — ale w nim już nie ta  
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!  
Moje pytanie było, jak Hamleta  
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?  
Kładzione zawsze na grobach od wieka,  
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,  
Mojem pytaniem na zbawcę pasować;  
Bo też mu złotych brakło miliona,  
A mógłby spalić Stambuł, zamordować  
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,  
Że sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czem podpisać na wolność firmany  
I Kanarisa odesłać z krainą  
Temistoklesa, przez drewniane ściany  
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Navarino  
Kanarisowi wykradły jak Paris  
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,  
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,  
Mógł o południu natężonym lotem

Dolecieć — patrząc oczyma w ognisko  
Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,  
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata  
Mogła się przyśnić orłowi na skale,  
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...  
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę  
Temi strofami, które nie są odą  
I do niczego mądrego nie wiodą.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne  
Z ust wychodziły moich parabole,  
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne  
W laur przemienione kładły się na czole  
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;  
Lecz że świat taki — to nie moja wina.  
Możebym także chciał, (to wszystko maryl),  
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy  
Moją figurę... włożył okulary...  
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?  
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:  
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,  
Lękam się bardzo wymuszkanej sławy;  
Dlatego każę na bibułę czarną  
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;  
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,  
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna.

O moja głupia Muzo, zapominasz  
Uśzanowania winnego księgarzom!  
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...  
A zaś skład jego podobny cmentarzom,  
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,  
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,  
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu  
Jaki kalendarz albo elementarz;

A kogo kocha — tego na świat targu  
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,  
Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,  
Dokończ tej strofy!... dalibóg zaczęta  
I pindarycznie żywo i wytwornie;  
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta  
O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:  
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.  
Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,  
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;  
A będą mocne — i łańcuch się długi  
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;  
Na takim niańki uwiązani pasie  
Chodzą dawniejsi wieszce po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota  
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,  
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,  
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie  
Będzie odbijał się tak lazuruwie,  
Jak cień Kiszota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,  
Która się brzegiem Lepantu pomyka.  
G u i d jedzie przodem, a ja za nim jadę...  
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,  
Który albańskie rozwiawszy wyloty,  
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę  
Do roziskrzonych podobną płomyków;  
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;  
Gadał mozaiką dziesięciu języków;  
Śmiał się jak dziecko — a dzieckiem był prawie;  
Śpiewał — jak polny konik śpiewa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,  
Może na jakim widziałeś rysunku,  
Gdzie młody Greczyn, wysłany wcześniej



Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,  
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...  
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechnie, c'est tout clair  
Tłomaczyć przyczyn byłoby to wstydem;  
Wreszcie opisze go wam książę Pükler —  
Muskau — co z naszym podróżował guidem  
I pokazywał swą karykaturę  
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;  
Który chciał ogród założyć niemiecki  
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;  
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,  
By się hojdając, z krainy Likurga  
Mogli przenosić myślą — do Strassburga;  
Który — to zawsze mówię o tym księciu, —  
Niechaj pamięta autor o autorze —  
Który zasnawszy wieczór w przedsięwzięciu,  
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?  
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym  
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

Który się na to obraził... i chwilę  
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach  
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle  
Na kapeluszu siedzące na szpilkach  
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona.  
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!  
Zwłaszcza, gdy ciebie Pükler w sól attycką  
Całą osypie... i da na zabawkę  
Figurę wroga — pod Momusa mycką,  
Osolonego solą — jak pijawkę —  
Tak się zapewne kręcić i wić będzie  
W dziele... pan Otton... na króla urządzie.  
Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;  
Ziemia gruzami pozostanie skalna...  
Sparta zostanie na światowej karcie

Spartą... historya straci naturalna  
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,  
Lub na rodzaju spartańskich kartofli.  
Adieu, Püklerze, bo mi nie do uszu  
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;  
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,  
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,  
W górach jak tarcza okrągła Pelida,  
Nad ruinami bogów... jak egida...  
Bądź zdrow! — a jednak miałbym prośbę małą  
Do waszej Mości książęco-autorskiej,  
Ażebyś także moje grzeszne ciało  
Na koniu skreślił — na szkapie cecorskiej...  
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury  
W trzy dni po zgonie straszyc grzeszne ciury...  
Trudno znać siebie, powiada przysłowie;  
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie  
Przez te szkła biedne, które w naszej głowie  
Oprawił Stwórca — kryjąc się na Niebie  
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,  
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...  
A druga także rzecz bardzo ciekawa  
Dla nas — my sami... także nam ukryta;  
Szczęściem, że wierne zwierciadło i — sława  
Często niewierna — wszak wiecie kobieta —  
Dopomagają nam szkłem i umysłem  
Patrząc na siebie... i są szóstym zmysłem.  
Dlatego bardzo i gorąco żądam  
Widzieć się kiedy w gazet artykule  
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...  
Tymczasem muszę całą ziemską kulę  
Przebiegać sobie samemu nieznany  
Z twarzy i z głowy... niewymalowany.  
Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli  
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi  
Siebie samego w najciekawszej chwili

Na każdej ścianie. — A niech nikt nie szydzi  
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:

„Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona.“

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły  
Przedemną usta filozofów wielu,  
Że... Lecz nadzwyczaj stają się rozwlekły;  
Więc nic nie powiem — i prosto do celu  
Nie zatrzymany strofą ni morałem  
Na moim koniu biednym pędzę czwałem.

Hop! hop... jak upiór... obracam tak nogi,  
Że kwadratowe tureckie strzemiona  
Kola w bok konia jakoby ostrogi;  
A moja szkapa z wiatrami puszczone  
Pędzi, jak gdyby czuła złób koniczyn;  
Lecz wtem zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysze mój, (a tu mi skłonno  
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),  
Był jako człowiek, który idzie konno;  
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę,  
I chociaż mogło iść o własnej mocy,  
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku  
Rozczulający! łez nie pojmie profan.  
A jako niegdyś w błękitnym obłoku  
Sokrata skreślił błazen Arystofan  
Latającego po niebieskim sklepie  
Na zółwia nogach, w szyldkretu czerepie:

Tak ja po greckich w gimnazjum naukach  
Mógłbym podobną ubawić was sceną,  
Wymalowawszy na głębokich jukach  
Ukochanego filozofa Zeno...  
Który w tej chwili przez niemożność skoku  
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku.

Druga z tych przyczyn była także cnota  
Filantropiczną: właściciele koni  
Za kochanymi końmi szli piechotą;

Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,  
Drugi, jak ojciec podobny do syna,  
Belwederskiego miał twarz Apollina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana  
Wietrzność mojego była wiatronoga:

Oto że nagle ja i karawana  
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga  
Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:  
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą — —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,  
Rzucam się w morze... czy w cuda wierzyć?  
Z fali stracona ręka Cerwantesa,  
Jak cień wielkiego nosa na suficie  
Wyszła, figowe pokazując godła  
Świata — a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,  
Na popas w małym stanęliśmy khanie;  
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą  
Inni spoczęli przy chróścianej ścianie,  
A ja, nie spity napojami maku,  
Znalazłem grotę — w rododendrów krzaku.

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,  
Co się nad morzem pod krzakami winą,  
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,  
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginał  
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać,  
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro  
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?  
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą  
Stało się ramię biednego Cerwanta,  
Ramie nieszczęsne, które zaczynało  
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

I urodzony w Cerwantesa głowie  
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;  
Ramie co było w romansu połowie,



Potem doznało takiej wielkiej przerwy,  
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,  
Potem milczenie... nic nie słyhać więcej.

Dziwnie utracić jaki ciała członek  
I myśleć potem, że już leży trupem,  
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek  
Nie myśli o nas... i stała się łupem  
Robaków — a zaś dusza pełna sromu  
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.  
Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką  
Własnej mogiły i czyśca męczarnie  
Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczką,  
Czy dusza za nas płaci solidarnie;  
Czy członek, co się na ciała pogrzebie  
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko  
Dowiodł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał  
Wyłamać rękę lub wyłupić oko...  
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,  
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,  
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

### PIEŚŃ SZÓSTA. NOCLEG W VOSTIZY.

Dalej, mój koniu, powoli — dość czasu.  
Krajograficznie strofami wyłożę,  
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.  
Po prawej stronie góry — z lewej morze,  
Za morzem znowu i skały i góry,  
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.  
Nie ma tu ziemia czego złożyć w stercie;  
Koń dzwoni w głazy — depce chwast — dziewanny;  
Czasem po drodze w rozłożystym mircie  
Widać rudery tureckiej fontanny,

Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,  
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.  
Taka głęboka przy fontannach cisza,  
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią  
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.  
Cały ten smutek błękitami tłumia  
Wody Lepantu i z czystego nieba  
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.  
Ani po drogach bawiącej się dziatwy,  
Ani człowieka w polu, ni na drodze;  
Czasem szumiącym lotem kuropatwy  
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,  
I padną blisko — i znów cisza wielka...  
Jaskółek żadna nie wysła ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —  
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym  
Krajem przeszłości leży zamyśłone  
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym  
Tylko samemu Bogu, co w nim duma.  
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;  
Małe sosenki, jako pszczoły brzęczą  
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,  
A twego kraju ludzie nie zamęczą:  
Może zobaczy Grecyę pełną krasy,  
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy  
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych:  
My się przez wielkie pustynie wołamy  
W ciszy bezludnej; my przy źródłach suchych  
Szukamy wody spalenia zarzewiem.  
Gdzie będą szukać naszych mogił? — Nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary  
Przybywających wreszcie do Vostizy.  
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary  
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,

Siedział spokojny. O tej to godzinie  
 Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.  
 Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem  
 Cień rozstrzelony zbierała pod siebie  
 I co rok miodu obdarzała dzbanem  
 Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,  
 Co była drugim poety mieszkaniem,  
 Głośna słowików — szpaków narzekaniem;  
 Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;  
 Co tak wysoko nosła czoła wianki,  
 Jakby ze dworu wyglądała w pole  
 Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki;  
 Co nad szmerami słodkich ust dziewicy  
 Szumiała cicho, pełna tajemnicy.  
 Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,  
 Ma pełno smutku niewymówionego.  
 Stałem patrząc na ów dąb turecki;  
 Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;  
 Bezużyteczny liśćmi i chłodem,  
 Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.  
 Pień jego w sobie ma siły potęgę  
 I wielki smutek starości... i żalność  
 Nad tymi, co go znali... stone-henge  
 Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość  
 Tytanów dawnych... W tej świątyni progu  
 Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.  
 O mój turecki dębnie, dębnie stary!  
 Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:  
 Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,  
 Tu wszyscy ludzie bię ugiętem czołem.  
 Lubię cię, dębnie wyniosłego czoła,  
 Z liściem różwianym, jak skrzydło anioła.  
 Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży  
 W swojej opiece szczęśliwe te kraje  
 Co mają drzewa — na miejscu oberży —  
 Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;

Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...  
 Nagle krzyknąłem — do krośset tysięcy  
 Milionów!... tu mi kochany Eurypid  
 Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;  
 A mój towarzysz rzekł: mais c'est insipide  
 Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;  
 Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz  
 W Vostizy musi być oberża druga! [sługa —  
 Non c'e, rzekł sługa. Więc spać tu — na ziemi?  
 Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,  
 Pajęczynami wybita czarnemi —  
 A ja dodałem: jak horyzont świata  
 Zawarty zewsząd, bez okien, któredy  
 Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...  
 I zakończyłem słowami: daj świecy!  
 — Świecy? rzekł kompan — wszak tu wiatr zagasi  
 Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!  
 Rzekłem: Giuliano, hej! tho se mu krassi...  
 Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!  
 Jest co jeść? niema? więc tho se mu psami!  
 To się po grecku znaczy: daj mi chleba!  
 Przyniósł... postawił... i znowu zapytał  
 Bardzo układnie: czego panom trzeba?  
 A gdym na chlebnie zębami pozgrzytał,  
 Zdjęty przecuciem nieszczęśliwych wrózek,  
 Nie spodziewając się, wołałem — łózek!  
 I światła! Tu jak na biegunie  
 Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszczę;  
 Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...  
 Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę  
 Na hebanowym moim flażolecie  
 Tę noc — przepędzę ją najlepiej w świecie.  
 I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;  
 Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,  
 Przegrywać: jakiś głos: I beg you pardon,  
 But I don't like the music, I am sorry —



Z prawej się strony wydobyl przez kratki —  
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

I była Babel okropna języków,  
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka  
Zesłała parę płonących knocików,  
I dwa, napięte jak struny, krosienka;  
To były łózka... jeśli kto nie wierzy,  
Tłumaczę jaśniej — to na czym się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry  
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pisał;  
A dar krosienek, jako Dejaniry  
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kasał.  
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał  
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się  
Samemu sobie bardzo poetycznym:  
Na skały igle — na ruin terasie —  
W usposobieniu umysłu vehmicznym,  
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada  
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,  
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu  
Mówi z westchnieniem głębokiem: na zawsze!  
Gdy przy dognanym zeskokczy zającu,  
Dobędzie noża i obcina skoki —  
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,  
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki  
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki  
Obsiedą — gdy kraj obroni, jak Hektor,  
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —  
Gdy wygra partycję bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz  
I na kochanki usiadzie mogile;  
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz  
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:

Kiedy naprzykład w towarzystwie znanym  
Siądziesz pośrodku... na cenzurowanym —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,  
To jest, że możesz zgasić oświecenie;  
Albo gdy jesteś dział asekurantem  
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,  
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;  
Gdy Comte przeczytasz na kopercie listu —  
Gdy... i tam dalej. Z tych miłości własnych  
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;  
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,  
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,  
Czekając zorzy różowego świtu,  
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

I zawołałem: ty śpisz, Eneaszu,  
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!  
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,  
Więcej do czynu sposobni niż słówek,  
Wściekać się więcej zdolni, niż łyż ronić,  
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.  
Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny  
Po obu stronach były dwie framugi;  
Ach nie framugi — zaczęte kominy!  
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,  
Oba jak dłutem z marmuru wycięci  
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,  
Ręce złożone na piersiach pobożnie;  
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy  
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie  
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;  
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;  
Lub jak mumia w ścianie piramidy...  
Niech porównania dalej lecą kłusem.  
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy  
Zakryty wody srebrzystej obrusem,

Stojący sucho w wodnej samolówce,  
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz  
Głosem żalosnym rzekł: czy żyjesz? — Żyje.  
A on mi znowu rzekł: o czym ty marzysz?  
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje  
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;  
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot  
[drogi,

Nie spali ognień... a kompan: nie słyszę;  
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...  
A ja mu na to: cierp, a ja opiszę  
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy  
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel  
I tu postawi hotel, gości panie!  
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel  
Mógłby duszyczki kąpać, jak w Jordanie;  
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —  
Że stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze  
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...  
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę,  
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;  
Wyznaj, że Grecya c'est ennuyeux en  
[diable,

Ja cały mokry — mais c'est insupportable!

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu  
Zregulowałem, tam na łóżku leży;  
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!  
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,  
Gadajmy sobie o czym pożytecznym,  
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy  
Tańczone dawniej — ja dyszkantem wlekę;  
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy  
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —  
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;  
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.  
Czy znasz Byrona? — Nie! — To wielka szkoda!  
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;  
Czajd Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda  
Łózka nam porwie srebrzystymi wały.  
Czy znasz Platona?... przyszkło mi do głowy  
Zaczącie jednej Sokrata rozmowy:  
— Chodźmy — rzekł — w kłonu szerokiego cieniu  
Na pochylonej odpocząć murawie;  
Oto zanurzymy tu stopy w strumieniu; —  
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie  
Śpiewają słońcu!..." Dalej w mowie walnej  
Sokrat piękności daje idealnej

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze  
Obwija posąg cudownego wdzięku,  
A strumień żywy stopy mu łaskocze...  
Tu nasz Giuliano z latareńką w rękę  
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,  
Jak dwa posągi, oprawione w mury,  
Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie,  
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,  
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie  
Przeszliśmy oba — a jeśli was nudzi  
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem  
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

### PIEŚŃ SIÓDMA. MEGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek  
Jest wielkim błędem .. charakteru wina,



A raczej nerwów rozkiełzanych skutek —  
 Brak sentymentu — że w trop Lamartina  
 Idąc, nie łączę w pieniach — o herezya! —  
 Trzech westchnień ciągłych: Miłość — Bóg — Poezya

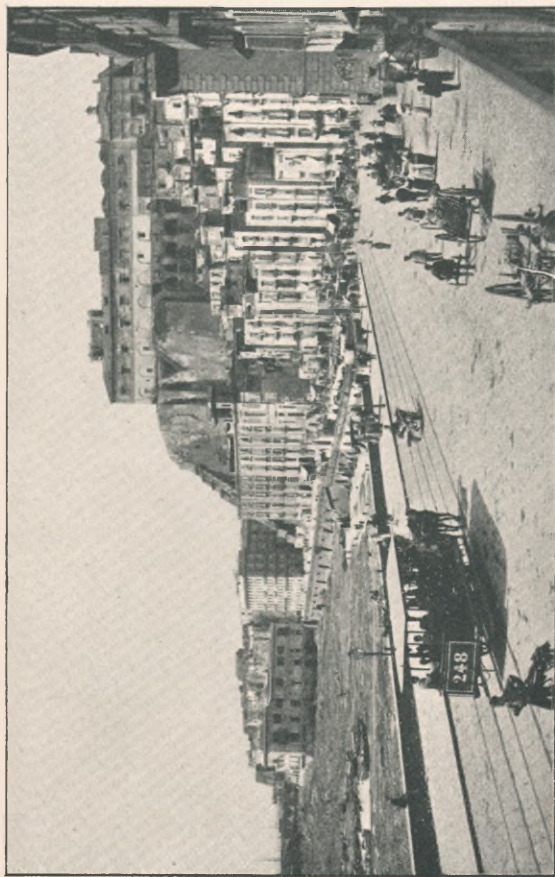
Miłość od Boga staje się odporem,  
 (Spytaj się o to panny... Chołoniewskiej,  
 Co rządzi młodych panienek klasztorem).  
 Miłość — (prócz czystej miłości niebieskiej) —  
 Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt —  
 Nie wolno kochać, jak święty Sakrament.

Lecz pierwsza miłość — pierwsza platoniczna...  
 O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!  
 Ty jesteś taka na obrazach śliczna —  
 Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,  
 Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —  
 W tęczy — na chmury rozplakanej włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem;  
 Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,  
 Jak P a n T a d e u s z obeznany z rogiem. —  
 Bóg Lamartina jest w złem towarzystwie!  
 Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,  
 Byłby znów Chrystus między dwójgiem łotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawilość  
 Teologiczną, przyjmuję za godło  
 Tych kart — Poezyę, Chrystusa i Miłość —  
 I to mię będzie teraz ciągle wiodło  
 Z góry na górę — od boru do boru —  
 Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcej mniszką,  
 Ale opowiedz, jak szedłem wysoko  
 Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;  
 Jak coraz dalej posyłałem oko  
 Za laurem pięknie kwitnącym pode mną,  
 I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;



Neapol: Villa Municipal i pobrzeże Chiaja.

Jak o południu cień koleczatej gruszy  
 Oślonił całą podróżnych gromadę;  
 Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,  
 Dały nam ognie w oczach słońca blade;  
 Jak źródło w naszym zajęczało dżbanie,  
 Jakaśmy orłów słyszeli krakanie...

A morze jasnym wabiące lazurem  
 Daleko od nas — szukane oczyma —  
 Za gór przebytych błysnęło się murem  
 Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma  
 Albo Rolanda rozcięte zamachem.  
 Powietrze cząbrów poiło zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer  
 Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,  
 Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer  
 Mahometowi — tak długo, jak Ilion,  
 Albo jak nasza piękna Częstochowa,  
 Kulami ryta — cudem Boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.  
 Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę  
 Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!  
 Gdzie patrzysz? wyżej!... tam, tam aż pod chmurę!  
 O jaki widok!... skała rośnie złota  
 Z arabeskowym rysunkiem Callota.

Z łona zielonych krzewin i cyprysów  
 Wyrasta ścianą prostopadłą skała  
 Porysowana, jak mnóstwem napisów,  
 Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała,  
 Ów miły piastun wieśniaczy i boży,  
 Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,  
 Jeden ma tylko bok i jedno lice;  
 A wytnij sobie z jakiego obrazka  
 Całą niemieckich miasteczek ulicę,  
 Niechaj mur jeden jednostajnie siny  
 Nosi te domki — krużganki — kominy



I galeryjki — i sine okienka —  
 I domki wczora tynkowane świeżo,  
 Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka  
 W jedną podstawę — pożegnaj się z wieżą  
 I z dzwonicami, któreś sobie roił,  
 A jeśliś domki pobudował, spoił,  
 I sobie całą ułożył strukturę —  
 Zanieś to wszystko wyobraźni okiem  
 Na szmaragdową cyprysami górę,  
 Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem  
 Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,  
 Postaw forteczkę i jaskółczy domek...  
 Niech dym, co mnichów kominami goni,  
 Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;  
 Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,  
 Niech teraz będzie spokojne wieczorem,  
 I zda się lekim pajęczyny włókmem,  
 W promieniach słońca jasne każdym oknem;  
 Niechaj to wszystko razem się pokaże  
 Nad głową twoją i za drzewy znika,  
 I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,  
 Gdy z poza liści śledzą wędrownika  
 I same także śledzone ciekawie,  
 Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —  
 A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!  
 Ja doskonale nie opiszę rymem...  
 Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,  
 Mój czytelniku, i został pielgrzymem;  
 Inaczej z wielką litością i żalem  
 Będę o tobie myślał w Jeruzalem.  
 Tymczasem... co to? wieczorny skowronek  
 Śpiewa nad nami w obłoków błękicie?  
 Nie — to klasztorny na krążanku dzwonek  
 Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.  
 Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,  
 Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takim ciąglem wniebowzięciu  
 Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,  
 A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu  
 W błękitnych szatach, z czarnymi brodami,  
 Snulo się w słońca złotego odbłyску,  
 Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,  
 Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale  
 W plastrze tynkowym porobił komory;  
 Tak poświdrował korytarze w skałę,  
 Wiszącym domkom takie dał podpory;  
 Tyle zapasów nagromadził w doły,  
 Że Bóg się spyta: — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,  
 Co w przylepionym na skałę listeczku  
 Nagromadziliście wina, tabaki,  
 Cnót po troszeczkę, grzechów po troszeczkę,  
 Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,  
 Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,  
 Patrząc na tynku odpadłego łate,  
 Na korytarze wasze — co jak bluszcze  
 Idą na skałę krętę, węzłowatę —  
 Na źródło wasze cudowne, na składy?  
 O moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,  
 Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do skarbony,  
 Nie obrazowi — lecz na miłość własną  
 Rzucając blaski, wy, kraczące wrony  
 W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,  
 Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa  
 Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,  
 A ja powtarzam tylko Boże słowa)  
 Ta beczka, votum chorego człowieka,  
 Którą dał biedny — ach, nie mnie Jehowie,  
 Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...



I wasze głupstwo, żeście się chwalili  
 Z takiego daru, i wasza ciemnota —  
 Życie podobne do próżniackiej chwili —  
 I wasza grubość chłopska, nie prostota —  
 I wasze kłamstwa cudów — i tam dalej...  
 Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimandryty  
 Odwróci, z jednym mnichów pokoleniem,  
 I rzeknie Bogu: Nasz dom, niezdobyty  
 Ibrahimowym mieczem i płomieniem,  
 Zniszczyłeś, Boże; a Lucyfer dumny,  
 Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

A ślad na skale gmachu — jak na belce  
 Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;  
 A pomyśl, kiedyś, zatrzwożony wielce  
 W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,  
 Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestachu  
 Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

I gmach się wtenczas cały w lud zamienił,  
 Jak Twój tron jasny mieni się w aniołów;  
 Tak wiele duchów zebrał i spromienił  
 W twoje podnóże... i do naszych stołów  
 Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,  
 Lecz wiele sierot płaczących i głodnych...

I w nocy pełnej pioruna i błysku  
 Sam szedłem — własne zapalić szpichlerze,  
 Co pod nogami na skały urwisku  
 Stały, ubrane w cyprysowe wieże;  
 I zapaliłem... i przy tym pożarze  
 Widziałem w dole białe Turków twarze.

Potem z klasztoru patrzaliśmy mnichy  
 Na mur poryty ognistymi rysy,  
 Na dom nasz własny... już jak węgiel lichi,  
 I na stojące w płomieniach cyprysy,  
 Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —  
 Stoją przy piekła płomiennym otworze.

Niejeden mrący, spragniony i ranny  
 W ostatniej chwili — usłyszał nad sobą  
 Płacz brylantowej cudami fontanny,  
 Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...  
 Źródło, że wiecznie płakało nad ludem  
 Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem.

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,  
 Na potępienie mnicha rzekłem z boku:  
 A owa, owa — w tysiącnym ośmsetnym  
 Trzydziestym szóstym (nie myślę się) roku,  
 Dnia trzynastego września (tak mi świeża  
 Data i dzień ten) dana mi wieczerza?

Sam ją kazałeś zastawić na stole  
 I sam przyszedłeś, o archimandryto,  
 Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole  
 Kość twoich garnków — twego chleba żyto —  
 Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,  
 Że czczę papieża — lecz gdzie tolerancya?

Czyliż dlatego, że wam do kościoła  
 Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki?  
 Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,  
 A ja na łonie tureckiej poduszki  
 Budząc się, widma spłoszyłem niesforne.  
 Słońce błyszczało przez szyby klasztorne.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli  
 W ciemną altanę — lub na sklep, gdzie prix fixe  
 Błyszcza klejnoty — lub do księżej celi  
 Złotym promieniem lecąc na krucyfiks —  
 Albo na rzymskich kościołów mozaiki,  
 Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity  
 Na siwe włosy starego żebraka;  
 Albo na czoło umarłej kobiety,  
 Albo na skrzydła pływające ptaka;  
 Albo na różę, co wysoko niosą  
 Jesienne czoła błyszczące się rosą.



Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną  
 W pochmurnym rynku statwę Kopernika;  
 Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono  
 I znów z człowieka robi słonecznika,  
 Za światłem życia obracając twarzą  
 Myśli marzące... póty, póki marzą.  
 W komnacie mniszej, otoczonej wkoło  
 Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,  
 Promień słoneczny padł na moje czoło;  
 I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,  
 Rozwinął znowu moje myśli senne  
 Na życie marzeń mglistych... cało-dzienne.

## PIEŚŃ ÓSMA. NAPOLI DI ROMANIA.

### I.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?  
 Skąd widać było dwa białe miesiące,  
 Skąd widać było wybrzeże — i wianek  
 Białych żagielków — i światła płonące  
 Pod żagielkami — gdzie ostrzygi szare  
 Ze srebrną piersią — i frutti di mare?  
 Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,  
 Żagiel przy żaglu — przy świetle światelko,  
 I tych światełek na brzegu bez liku,  
 A każde swoje białe ma skrzydełko,  
 Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,  
 Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.  
 Czarowny widok — czarowne wieczory!  
 Ciebie zachwycił zgiełk ludzi i tęcza,  
 W jaką się ludzkie wiązały kolory  
 Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.  
 Jam patrzył w księżyc — co lotem aniołów  
 Puszczął się w błękit — z mogiły popiołów.

Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze  
 Znanego tobie Neapolu. Domy  
 Zaległe tutaj ponad morskie wzgórze,  
 Forteca weszła na szczyt skały stromej.  
 Mniejsza zaś druga w otchłań lazuruwą  
 Weszła się kąpać — jak Castel dell'Ovo.  
 Morze błękitne — i góry z mgłą siną,  
 Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa  
 Ani jak krater ...

### II.

## DOKOŃCZENIE GROBU AGAMEMNONA.<sup>1)</sup>

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą  
 Zakrywać piersi puste, owdowiałe,  
 To ja nie klękę, nawet przed klęczącą,  
 Bo ja mam inną, smutną matkę, chwałę,  
 Co mi ociera łzy płynące rzadko,  
 A i tę trzecią mam, co mi jest matką.  
 O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich  
 Chciałbym już posłać prochów moich urnę.  
 Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,  
 Zaklnij Dyanę i duchy pochmurne,  
 Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły  
 W promieniach... jam ci był drogi i miły.  
 Teraz nie jestem niczem, a te mary,  
 Co okrzyły mnie, wzywają dalej,  
 I pokazują girlandy i gwary  
 Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;  
 Już osądzony śpiewam jak łabędzie,  
 Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!  
 Tyś uśmiechała się, to było wczora,  
 Kiedyś mię smętnym w dzień znalazła inny

<sup>1)</sup> Początek patrz Tom I str. 54.

Zapłakanego nad śmiercią Hektora.  
 Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,  
 Głępsze są teraz łzy co lecą skorsze,  
 Gdy wspomnę los mój, ach! łyż stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą  
 Rozciągnęłyście łańcuch ku północy.  
 Weźcie na skrzydła moją pierś ponurą,  
 Zanieście z sobą, może przyszłej nocy  
 Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,  
 Jak dzwon żałosny brzmiać w krainach ducha.

Żórawie! wy co w powietrze różane  
 Co rano długą wzlatujecie szarfą,  
 Wyście mi były niegdyś ukochane,  
 Wyście jesienną moją były harfą!  
 Wy i szumiące sosny nad grobami,  
 Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,  
 Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,  
 Że może z serca niedoli urosnę  
 I będę z duchów miał wieniec podrzędny,  
 I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą  
 Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!  
 Tam Archipeląg mnie woła błękitny,  
 Tam Korynt trzyma koronową głowę  
 A za Lepantem Parnas starożytny...  
 O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz  
 Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!  
 Bo ja uklony mam tu dla tej góry  
 Od lipy wonnej klasycznego Jana  
 I od śpiewaka dzieci i tonsury,  
 I od śpiewaka Potockich ogrońca  
 I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem,  
 Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;  
 Oto mi nawet szeleści nad uchem

Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.  
 Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,  
 Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i nieodomwionym  
 Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.  
 Góro co błyskasz księżycem czerwonym,

Jak wulkan krwawy... o pękni na ewierci...  
 Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,  
 Albo zawczesnem rannych kurów pianiem.

## PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Jest na korynckiej górze mała grotka,  
 Figowem drzewem od wejścia zakryta,  
 I tam odbiegła mię moja tęsknota;  
 Stamtąd albowiem oko tęskne wita  
 Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,  
 Przerźnięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe  
 Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.  
 Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę  
 Oko na morze to błękitne wpłynie,  
 To zamyślane odwrócić się nie chce,  
 Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,  
 Korynt... już myślisz... że tam kolumnady,  
 Jakich wzrok często północnika łaknie;  
 Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,  
 Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,  
 A matką wszystkich kolumn ten kościółek.  
 Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki  
 Miotłami z ziemi zmiatały na kopce



Czarne od prochu korynckie rodzynki,  
A na kolumnach ściętych mali chłopce,  
Pasterze... w dudki z trzein wycięte grali,  
Kilka baranów sennych i tam dalej...

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...  
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;  
Ten smutny kolumn już beżennych wianek,  
Te drzewa żywe, co z marmurowymi  
Takimi są tu nieraz przyjaciół,  
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,  
Pełny baranów cień każdej kolumny,  
I pełny owiec cień każdej oliwy,  
A pasterz na te cienie patrzy dumny,  
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,  
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa  
Na śpiące owce... na pasterzy twarze.  
Zefir się rzadko na trawy rozniewa  
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.  
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...  
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?  
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,  
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,  
Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,  
Czuwa — i cicho sny bogów nastęcza,  
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny.  
Od moich owiec raniej — od jaskółki,  
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,  
Z Hymetu by się zlatywały — pszczołki,  
I kładły miody w złamanej kolumnie,  
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy... czara starożytna  
I pełna wina starego amfora;  
Przed chatą — jaka Najada błękitna,  
Wylewająca łzy w ciszy wieczora,  
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;  
Kilka drzew, kilka malw z jasnymi kity

I sad, gdzie ciemna liśćmi cytryna  
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,  
Pod którą wcześniej noc już być zaczyna,  
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,  
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża,  
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy amora śludzy, wieczne duchy,  
Z motylowemi skrzydłami wietrzni...  
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy  
I przez was wiedział natury tajniki,  
I co wieczora, pijąc nektar słodki,  
Strącałbym z czary — was mówiących plotki...

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,  
O sercach, które nie kochane — pękły,  
O skarbie w straży aniołów podziemnych.

A gdybyście mi o czym smutnem jęły,  
O jakim kraju, co leży w mogile,  
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skapałbym całych w czerwonym Falernie,  
Malwy rozkwitła schłostałbym łądą,  
Między różami gdzie zarzucił ciernie;

Lub wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,  
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,  
Że mi przypomniął smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,  
Kiedy się dla nich cały baran piecze,  
Pokazałiby słońcu co zachodzi,

W piryjskim tańcu wydobyte miecze;  
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą  
Grałbym na lutni i prowadził koło.



A tam na szarej kolumny ułomku  
 Wianek sąsiadów moich siwobrodych,  
 Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,  
 Dawałby ręką takt tańcowi młodych...  
 I przyklaskiwałby temu rymowi.  
 Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi...  
 Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,  
 Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;  
 Wierzę w religię mas, w republikanizm,  
 W postęp... a nawet... wierzę w te Czterdzieści  
 Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,  
 Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpacz.  
 Mam także ufność wielką w jezuicką  
 Reakcję... lecz się nie łączę i czekam;  
 Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,  
 I z Europy znudzony uciekam,  
 Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi  
 I chce przekonać ludzi, że coś robi.  
 Najwyćwieczeni w tej sztuce kłamania  
 Nie warci są mi rozwiązać trzewika;  
 Ciągłe mam czarny palec od pisania  
 I w oczach ciągle coś nakształt płomyka  
 Poetycznego... stąd mię częściej wita  
 Poetą — ten, co widzi, niż co czyta.  
 Biorę na świadki te strofy ostatnie,  
 Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.  
 Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,  
 Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,  
 Te strofy są złe, powiedz mi otwarcie;  
 Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.  
 Te strofy są złe, no więc na to zgoda;  
 Niepoetyczne... zgadzam się i na to...  
 Chodźcie tu do mnie... patrz... błękitna woda  
 Igra pod moją kaiką skrzydłatą;  
 Łódka przez fale rozbudzone pędzi,  
 Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blady  
 Pokazuje mi majtki zadumane;  
 Stoją jak dawni rycerze Hellady  
 O maszt oparci... złotem haftowane  
 Pancerze mają i białe kapoty...  
 Księżyc jest na nich błękitny i złoty.  
 Oni umieją zostać nieruchomi,  
 Jako posągi, patrząc w niebo czyste,  
 Eol sam wichry szalone poskromi  
 I z żagłów muszle porobi srebrzyste,  
 W których się oni... na pół skryci, mieszczą,  
 Jak duchy — myślą wywołane wieszczą.  
 I eicho, i wraz... o! godzino święta,  
 Łódka się w morskie rzuciła głębiny,  
 I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...  
 To była pierwsza fala Salaminy:  
 Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,  
 I wstrząsła mnie tak... i jęła i legła.  
 A za nią inne fale z wielkim gwarem  
 Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.  
 Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.  
 Słońce... już było blizkie swego wstania;  
 Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju  
 Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

#### WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Pamiętam jedną godzinę żywota —  
 Leżałem w greckiej łodzi... Spało morze —  
 A każdy żagiel był jak maska złota,  
 W której się chował w albańskim ubiorze  
 Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,  
 Kiedy ją złota pierś kaiku porze —  
 Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki  
 Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.



I z wolna wschód się oczerwienił siny.  
 Ponad Pireą powiał wiatер świeży.  
 Łódź się wśród morskiej wzdrygnęła równiny,  
 Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.  
 Była to pierwsza fala Salaminy,  
 Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —  
 Zatrzęsła łodzią, wokoło ją obeszła,  
 Zagrzmiała, jęknęła żałośnie i przeszyła.  
 Wstałem — tańczyły fal różane bryły —  
 Świtem się niebios okwiecała droga —  
 Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły  
 Temistoklesa, jak z mogiły Boga  
 Zmartwychwstający anioł blasku, siły...  
 Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,  
 Skąd Xerxes patrzył na zniszczenia dzieło,  
 Wyszło ogromne słońce i stanęło...  
 Wtenczas zacząłem uragać się w duchu  
 Grobowi, co był rzucony w ciemnoty  
 I morzu, które chodziło w łańcuchu —  
 I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,  
 Paląc się w słońca czerwonym wybuchu —  
 Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty  
 I za kraj marli rozpaczni obrońce...  
 Xerxes na tronie tym ubrany w słońce!...

#### FRAGMENT.

I porzuciwszy drogę światowych omamień,  
 I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!  
 Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,  
 Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!  
 Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była  
 Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu...

.....

#### ROZMOWA

### Z MATKĄ MOKRYNĄ MIECZYŚLĄWSKĄ,

BAZYLIANKĄ W PARYŻU.

Słyszac, że głos jej nożami przenikał,  
Gdy swe bolesne męki powiadała,  
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał  
Ani rozdrażniał zranionego ciała,  
Ani świadectwo wydawał o ranach;  
Ale był wierny — jak syn na kolanach,  
Który dwojakie ma kądziło w darze:  
Lzy albo zemstę — co matka rozkaże...  
Szedłem, ażeby dla mojego czoła  
Wziął uświęcenia od ręki anioła;  
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona  
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,  
Wyrzucająca takie strachu strzały  
Z palców ognistych — że brak na to słowa,  
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa  
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze  
U suchych, obcych ludzi na gościnie,  
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię  
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,  
Kędy zarządza dziateczek hałasem,  
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.  
Wszakże pomimo tak wielką prostotę  
I dziwne z matką moją podobieństwo,  
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,  
Jakieś męczeństwo wielkie, Boże, złote,  
Które mnie z góry uderzyło w ciemność,  
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...  
A wtenczas ona: cóż, ziomku kochany?



Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzruszony;  
 Siądź — powiem tobie, że zamknięte rany  
 Lepiej przystoją Polce, niż korony.  
 Ty młody jeszcze, nie topionys w Niemnie,  
 A już ty bledszy, mój synu, ode mnie.  
 Widząc was wszystkich takich w tej stolicy,  
 Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,  
 Widzę ja prawie, że i wy biedaczki,  
 Widzę was jasno — i wy męczennicy.

Westchnęła — a ja: Matko, powiedz proszę,  
 Czyś ty do Boskich nie zaniósła tronów  
 Skargi na tyle polskich milionów?  
 Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —  
 Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,  
 A każdy dał krwi maleńką kropelkę,  
 O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,  
 Tą krwią czerwona świat możnaby zalać!  
 Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,  
 Świat można spalić! A ty męczennica?  
 Polka! w żołdackim utopiona brudzie?  
 Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!

A ona: Nie skarż, o nie skarż nikogo!  
 Oni? — cóż oni biedacy tam mogą?...  
 Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem  
 Czekają tylko na pierwszą dogodność...  
 Tu mnie spytała: jakim zwać nazwiskiem?  
 Nie dosłyszałem — a ona: jak godność?  
 Zarumieniłem się cały i rzekłem:  
 Godności nie mam — przed męką uciekłem...  
 I nastąpiło ponure milczenie,  
 Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...  
 Czułem, że cierpi ze mną i nade mną,  
 Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

Ona więc tak mnie pocieszywszy nieco,  
 Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,

I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,  
 Do której myśli jak żorawie lecą:  
 Mówiła dalej: Raz nam do klasztoru  
 Wieść przysła, że nasz Biskup zmienił wiarę...  
 Nie wierzyliśmy — lecz w godziny szare,  
 Kiedyśmy poszły na modły do chóru,  
 Strach jakiś przewiał nieznany kościołem  
 I powiał na nas niewidzialną siłą;  
 Każda myślała: a gdyby tak było!...  
 I przerażone padałyśmy czołem,  
 Jak małe dzieci, które diad przeraża,  
 Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem zostawszy ja sama w kościele,  
 Rzekłam: z Biskupa duszą się rozprawię,  
 Myślą go sobie przed oczy postawię,  
 Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?  
 Stał mi: a ja sądziłam oczyma,  
 Która kość w nim drży — a która się trzyma.  
 Strach mnie za serce przenikliwy ścisnął,  
 Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,  
 A oczy były od zwyczajnych różne,  
 Jak szkła wypukłe, świecące i próżne,  
 Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:  
 Rzucam się znowu — krzyżem martwa leżę;  
 A takie poty szły aż przez odzież,  
 Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.  
 Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny  
 Biskup w orderze krzyża czerwonego.  
 A ja raz tylko spojrzałam na niego,  
 A trunek było czuć i woń stęchliny...  
 Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,  
 Żimne — umarłe niby — lecz roztropne.  
 A choć przychodził do rzeszy z daleka,  
 Już ja wiedziałam wszystko, co mnie czeka.

Po tylu latach męki i konania  
 Dziś nie powtórzę pierwszej z nim rozmowy.



To tylko powiem, że do przekonania  
 Trafiał i prośbą i słodkimi słowy;  
 Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,  
 Próbował i słów magnetycznych ze mną —  
 Była tam jakaś gregoryańska mitra...  
 Słowa mówione z trwogą potajemną  
 Jak węże skórą szeleściły suchą,  
 Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.  
 On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —  
 Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!  
 Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą.  
 On tylko jeden i szatany wiedzą,  
 Jakie to słowa? skryte, ślepe krety —  
 Jakie to słowa? mówię ci, sztylety —  
 Nie słowa ludzkie!...

Pan Bóg mnie obronił.

A on też inny ton wziął ze mną zaraz:  
 Będziesz, powiada, tu miała ambaras. —  
 To rzekł i nisko kołpaka pokłonił,  
 I wyszedł...

Ja też wnet zebrałam mniszki  
 I przysięgliśmy przed Panny obrazem,  
 Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,  
 To umrzeć — a te biskupy opryszkali  
 Mocować, póki nam żywota stanie;  
 A nawet westchnąć i modlić się za nie,  
 Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć, mój drogi,

Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,  
 Jakie to były u mniszczek trwogi.  
 Jedne radziły do Rzymu napisać;  
 Drugie — nasypać prochów do piwnicy,  
 Beczki postawić radzą pod ołtarze;  
 Straszne rycerki — chcą odprawiać strażę  
 Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...  
 Wszystkie jak szpaczki, zbiegają się, radzą,

Wszystkie najlepsze pokazują chęci;  
 Lecz gdy mi z pocztą papiery oddadzą,  
 A ja się lękam rządowych pieczęci:  
 To stoją blade — nieme dreszczem ciała,  
 Strwożone laku samego zapachem,  
 I mnie na palce patrzą z takim strachem  
 Jak gdybym święty Sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:  
 Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...  
 Gdzie? co? — nic więcej. — Uczuliśmy trwogę,  
 Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny.  
 Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,  
 Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?  
 Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?  
 W Sybir? — któżby się nas tam upominał!  
 Może, myślałam, posadzą do turmy  
 I tam oskarżą o jaki kryminał?  
 Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,  
 Gdy myślę — jaka to szatańska była  
 Ta ciemność wielka w rządowym papierze,  
 Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko co potem z nami nastąpiło  
 Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,  
 Nie takim strachem nam na dusze spadło,  
 Jako to pierwsze zagrożenie widziadło.  
 Pomyśl, którażby nie zmieniła cery,  
 Spojrzawszy w trupie te białe papiery?  
 Papiery pełne i groźby i siły,  
 A tak milczące, głuche, jak mogiły.  
 Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,  
 W nas był... i szeptał strachami wygnania;  
 Męka to była nie do opisania!  
 Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.  
 Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potem  
 Było przynajmniej już jasne, widome.  
 Cierpieć? my cierpieć byliśmy łakome...



Z głodu umierać? — a cóż, gdy pod płótem  
 Niewinny żebrak na mrozie przypieka?  
 Czasami żołnierz zgłodzony, kaleka,  
 A psi go tylko sami głodni strzegą...  
 Umierać?... cóż my jak żebrak lepszego?  
 Męka gdy ciało już kasać zaczyna,  
 To nic, duch wtenczas nabiera odwagi  
 I samby prawie poszedł na miecz nagi;  
 Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,  
 Gdzie wsparcia znikąd, a ciemny strach wszędzie...  
 Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła  
 I z takim gestem zapalona cała  
 Polskim duchowym językiem śpiewała  
 I w słowach niby rozognionych rosła!  
 Lecz się spostrzegła poważna matrona,  
 Że duch zebrany być musi do łona,  
 A nie ulegać zapału pokusie —  
 Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wzięwszy z siebie takich tonów,  
 Które mi zawsze człowiek rządzić może,  
 Rzekła: Chcesz słyszeć o moim klasztorze;  
 Powiem ci krótko kilka naszych zgonów,  
 Kilka mąk. Już wiesz zapewne od braci,  
 Żem była sama Przełożoną, Ksienią;  
 Widzisz czem jestem — sądź z mojej postaci:  
 Nigdy mnie ludzie podli nie odmieniają,  
 Ani też choćby złotem mnie przykryto!  
 Zwyczajną jestem, jak widzisz, kobietą,  
 I taką byłam; — to jednakże powiem,  
 Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,  
 Bom się rodziła w rodzinie zamożnej.  
 Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem  
 I wytrwałością. . . . .

Przyszedł dzień ofiary: —  
 Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyste.  
 Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;  
 Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary,  
 Trzęsłam się cała, zbiedzona, zalekła,  
 Strudzona, głowy znękana zawrotem,  
 Serce mi biło ciężko, jakby młotem;  
 Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła  
 I kropliskami ciężko w pulsa sieje —  
 Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.  
 Słucham — a czuję, że już coraz bliadnę:  
 Strach! — a cóż poczną biedne siostry moje,  
 Jeżeli trwogą zabita upadnę?...  
 Nie! przed Biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!...  
 Zaraz mi weszło coś do serca mocy;  
 Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,  
 A z Mieczysławskiej głąz w Dawida procy.  
 Niech czart próbuje; cóż? — choćby i bito.  
 Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobietą!  
 I znów uczułam, że ten poryw ducha  
 Przydał Siemaszce odwagi i siły: —  
 Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;  
 Ducha do ciała, jak nogi stonoga  
 Zebrałam w sobie: jak na dno mogiły,  
 Zalekła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,  
 Które złotemi jad oczami leją,  
 Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,  
 A on, choć z małą, jak sądzą, nadzieją,  
 Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,  
 Chcecież przejść wszystkie na braterską wiare? —  
 My nic; — on westchnął — i znów oczy szare  
 Obrócił na nas, ale już złowrogie;  
 Siostry mi potem mówiły, że w miarę  
 Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,



One już radość jakąś czuły, wiarę,  
Różane moje, biedne siostry, święte...

Z umizgiem napół błagań i wyrzutów  
Znowu zapytał jeszcze słodszy głosem:  
Któraż z was łaską pogardzi i losem,  
A weźmie?... — tu nam rzucił pękiem knutów!...  
My nic. —

Oddechu wciągnął w schryplę płuca,  
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;  
Więc jakby rynną, gdy błoto wyrzuca,  
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!  
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu;  
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczył, że przed nami pada  
I my się czuły mocniejsze od niego.  
Widzę go teraz: — skry mu z oczu biega,  
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,  
Który się na psy szczekające gniewa  
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.  
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!  
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —  
Wywierał na nas wszystko i wymiotął,  
Zębami szczekał, kośćmi klekotał; —  
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał  
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął  
Rozkaz Moskałom stojącym na dworze,  
A echo od drzwi poszło po klasztorze,  
Jak gdyby piorun za Biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,  
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan,  
Żeśmy szatana zegzorczymowały,  
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.  
A wtenczas tylko już nam bez oporu  
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi  
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze  
I duchem swoim jak matka odrodzi,  
A potem jako swe jagnięta strzeże;  
Nie wiesz, jak w domu takin pachną ściany,  
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy.

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,  
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,  
A na ostatku tknięta paraliżem  
Staruszka dobra, prosta; ta zdziwione  
Oczy na wszystkie strony obracała,  
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,  
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,  
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.

Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:  
— Na miłość Boga! twarzami do mura,  
Ażeby tego nie zabić praszczura  
Naszemi łzami i naszym widokiem! —  
Siostry też były dobre i rozumne;  
Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpić po kweście  
I zostawimy ją u ludzi w mieście,  
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;  
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —  
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,  
Rzekną, że po nią powrócimy — a ona  
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.

... ..  
... .. Ja też tak myślałam; —  
A jednak nagle patrzę na tę starą:  
Ona coś szepce i żrenicą szarą  
Pyta mnie srogo; — nie odpowiadałam —  
Spuściłam oczy. — Klekłyśmy; ostrożna  
Kazałam cicho śpiewać Ave stelle;  
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —  
Płacz tak szarpiący, jak piekło; w kościele  
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,  
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!



Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyję,  
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije,  
I wywijając temi kijami nad czołem,  
Jakby rycerzem była, jakby Archaniołem,  
Chciała bronić. — Pobiegłam — śmiło mi się w o-

lczach —

Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach  
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,  
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca,  
Chcąc te paralityczne pohamować złości,  
Chwyciłam za kolana: — nogi jej — dwie kości:  
Spojrzałam w górę: — trup byłż papieru wybladły —  
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —  
Już jej nie było — życia ani w jednym włosku —  
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku  
I głową się na głowie mojej biednej wsparła;  
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!  
Oddałam Bogu...

— Rzekłem: O matrono,

Która tak straszne opowiadasz zgony,  
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!  
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?  
Odsłoń przede mną, chociaż do połowy,  
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!  
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy  
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułaczę?

A ona: — We mnie sama matka płacze;  
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem. —  
Ale posłuchaj, co się dalej dzieło.  
Wyszliśmy z wielką i spokojną chwałą,  
Z tym trupem matki jakby z manifestem,  
Strach rozsiewając podobny do mrozów  
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.  
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,  
Że spodziewałam się jakich powozów;  
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą

Nie pójde z siostry we zbojceją jamę;  
Pierwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,  
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Śluchaj! — ty nie wiesz, co w niewieścich duszach  
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;  
Nie wiesz, jak drgają wszystkie żyłki ciała,  
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.  
Śluchaj — gdym pierwszy raz ja w kark dostała,  
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,  
To piekłem zemsty zawrzałam — kobieta,  
Ja, Polka — pierwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,  
Abyś nie myślał, że ja cała święta;  
Ja także byłam i gniewem wzdygnięta.  
Nawet myślałam o zemsty sposobie.  
Potem dopiero tak podniosłam duszę,  
Że smakowały mi prawie katusze;  
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą  
Przed kułakami, tak jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wotczas lato,  
I jakie piękne były łaki nasze!  
Pomnę — na promie, pomimo pałazze,  
Bagnety, zgraję Kozaków brodatą,  
Uczułam wielką i piękną pogodę,  
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;  
I przypomniawszy sobie czasy w domu  
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z domu  
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy  
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,  
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,  
Krzyknął na dońca: Dzierży! w wodę skocz! —  
A doniec się też dotknął mego wlosa,  
A Biskup patrzył — kat w podłej postawie! —  
Rzekłam do księdza już z litością prawie:  
W wodę? — czy myślisz, że to są Niebiosa?...



To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.  
 A ja: — O matko! jak mi twoja miła  
 Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;  
 O! jakie myśli z niej słodkie się rodzą!  
 Więc gdyby Niebo — to tybyś skoczyła?  
 Więc gdyby jaka ci niebieska władza  
 Rzekła: o matko — patrz, obłoki schodzą,  
 Wstępuj do światła poza ziemskie ciemnie...  
 — Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,  
 Usta uśmiechem rozśladając rzekła:  
 Widzisz — do Nieba jeszcze nie uciekła,  
 A Witebsk blisko był tej strasznej bramy,  
 Przez którą wskoczyć mogą Męczennice...  
 Tam na Moskiewki, okropne czernice  
 Wtrąciły wszystkie do wilgotnej jamy,  
 A klasztor cały był ciemny, pijacki,  
 Głuchy — i ciężki wszędy smród żołądacki  
 Łoju i skóry i prostej gorzałki,  
 I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;  
 A często kobiet bitych słychać szlochy  
 I świst węzowy smagającej pałki  
 I pocałunków na katowskiej ręce  
 Klask — i ćwiczonych skomlenie bydłec.  
 O! czarne ruskie klasztory — straszliwe!  
 Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...  
 Teraz-że pomyśl: co my w takim brudzie  
 Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!  
 Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie!  
 Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!  
 Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie  
 W sercu tu ludzkim ludzkich męczycieli!  
 Wiesz, jak dawano nam bez wody śledzie;  
 Wiesz, jak pokarmu zwykłego ujęli,  
 Jak obrócono ręce do mularki,  
 A grzbiety nasze pod kamień i chłostę:  
 To wszystko były męki bardzo proste,  
 Lekkie: po ciele szły czasami ciarki,

A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,  
 Lecz duch nie cierpiał; — owszem rosły duchy  
 I potężniały znoju i głodu żniwiarki.  
 I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie  
 Wysłżyśmy nagle na słońce odkryte,  
 Tośmy krzyknęły: twarze były zmyte  
 Jakby w słonecznej i różanej wodzie;  
 Lubośmy żyły w lochu prawie glina,  
 Rozpoił nas duch Boży — tak jak wino.  
 Wtenczas nie wiedział już Biskup co pocnie,  
 A chciał koniecznie przełamać kobiety;  
 W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,  
 A w serca patrzył: — zmiany chciał niezwłocznie.  
 Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która  
 Weszła do cerkwi — obrazom się kłania...  
 Żadna! — dwie biedne spadły z rusztowania,  
 A jedną kamień urwany ze sznura  
 Z oczu nam prawie jak widmo promienne  
 Zdjął, lecąc jako młyn okropny z góry;  
 I tylko krwawe purpurowe sznury,  
 Plamiące długo białości wapienne,  
 Aż od samego, samego poddasza,  
 Aż do samego dołu cieknać strugą,  
 Przypominały nam długo i długo,  
 Że tak zabita jedna siostra nasza!  
 A jednak mimo to, że tak szkaradna  
 Śmierć była, takie nagrobki straszliwe:  
 Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;  
 Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.  
 Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny,  
 Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,  
 Już jakieś ruskie powiedziały panie,  
 Że to nie klasztor, ale dom katorżny)  
 Wtenczas już mówię, biskupisko stare  
 Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki,  
 Byleby tylko chwycić pozór jaki,



Żeśmy ugięły przed nim naszą wiarę.  
 Więc raz znienacka do cerkwi nas wiodą  
 Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;  
 Zaraz-em czoło Biskupa bezbożne  
 Ujrzała — topór ujrzałam pod kłoda:  
 O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,  
 Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;  
 Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny  
 Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,  
 Że żaden Biskup, choćby jak duchowny,  
 Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach  
 Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,  
 Mówią co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę:  
 Teraz jak gąski stanęły na drodze,  
 Ja byłam woli całej monarchinią,  
 Pasterką owiec; a w chwili szkaradnej,  
 Kiedy uczułam w sobie taką władzę,  
 Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnej,  
 A wszystkie razem w Niebo zaprowadzę.  
 Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,  
 Ku Biskupowi poszłam: — Weź, Herodzie,  
 Weź popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery  
 A do mniszeczek: — Kładźcie się na kłodzie!  
 Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię —  
 Każda na belce głowę, ku mnie oczy...  
 Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy  
 Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemię  
 Czartów ognistych, krwawych nietoperzy  
 Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.  
 Porwał żelazo — rękę wzniosł — skamienił --  
 I tak zacisnął, że zlodowaciła  
 Zielona jak trup — a sam się zapienił  
 I tym toporem mi tu koło kłęba  
 Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,  
 A potem w twarz mi dał i wybił zęba.  
 Ja tylko na to, nie zmieniawszy cery,  
 Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,

Ząb mu podałam wybity i rzekłam:  
 Zawieś to między twe wszystkie ordery!  
 Ty może myślisz, że to duma świecka,  
 Mnie nieprzystojna? — na to niema zgody.  
 Pomyśl: — ja Polka! ja córka szlachecka!  
 We mnie gadały dawne moje rody,  
 W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;  
 Ciało z nich było — a i od nich siła,  
 Walczyły za mnie, ja za nich walczyłam;  
 Gdybym upadła, byłyby upadły.  
 Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!  
 Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.  
 Co? —

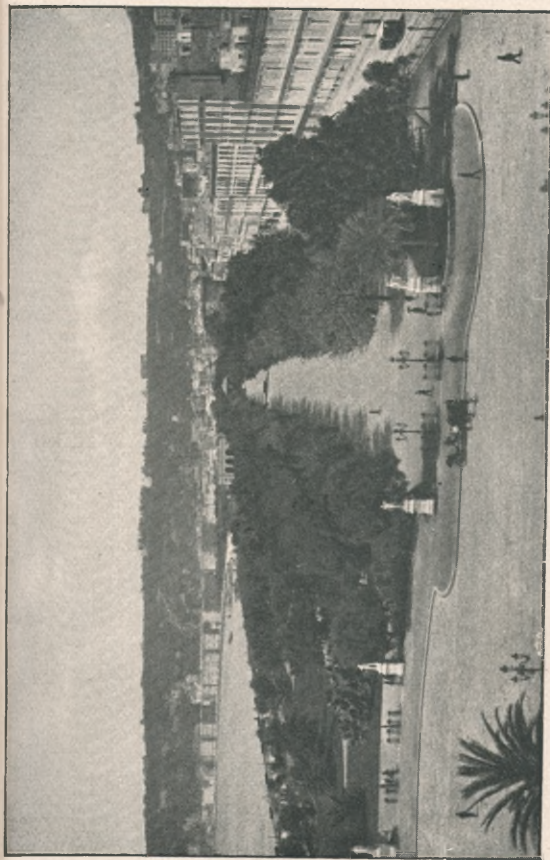
Drżałam cały — i z dalszego wątku  
 Powieści ledwo mogłem pomieszanym  
 Spamiętać tylko jakieś straszne rany,  
 Które poniosły w brudzie niewiniątka...  
 Me mgłe rzucone duchy bez ojczyzny  
 Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —  
 Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,  
 Jako sztandary i skrwawione ptaki;  
 A dół nie tknięty nawet już pamięcią,  
 Kędy świeciły jak gwiazdy różane  
 Te głowy, z których twarze pozrywane,  
 Wybite pięści biskupiej pieczęcią,  
 Butem żołnierskim przypieczątowane.  
 Co mówię? — głowy te — listy otwarte —  
 Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;  
 Oczy gdzieś w błocie świecące i słomie  
 Ze krwi wystają niby niezabudki;  
 A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki  
 Tarzały sobą jęczące po domie: —  
 Na widowisko tak strasznie zwierzęce  
 Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!  
 A wy, o smętnych pamiątek anioły,  
 Mówcie wy ciągle nad ludzi łozami



Sennych, to słowo okropne: Dziedziół!  
 Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,  
 Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,  
 Z jedyną cerkwią ruską jak z upiorem,  
 Z troistą wieżą ciągle owronioną,  
 W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną. . .  
 Ciągłe to ludziom przed oczy przynosić,  
 Ciągłe stawiajcie przed źrenice obie:  
 Niech czują w duchu te wieczne nudności,  
 Które ma człowiek niespokojny w sobie!

— W Dziedziółach — rzekła Pańska Męczennica —  
 Już nie byliśmy z sobą wszystkie razem:  
 Wiele nas padło pod biczem i płazem,  
 Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,  
 A upiorami wszystkie tak straszne  
 Były, i kości tak miały popsute,  
 Że Biskup nawet już sam za pokutę  
 Nie byłby żadnej pokazał na ziemi.  
 Te zostawiono w Witebsku, a drugie  
 Dziesięć w Połocku — a z tego już miasta  
 Ja szłam z dwunastu siostrami trzynasta  
 Pod jesień, wicher, śniegi, nocy długie;  
 I stanęłyśmy w Dziedziółach, w klasztorze  
 Znowu, u czernic, lecz obmurowane;  
 Gdyby nie zimne kopuły blaszane —  
 Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze  
 Stał, lecz w dziczyźnie takiej zbudowany,  
 Przy takiej wiosce i na takim polu,  
 Że strach był może mocniejszy od bólu. . .  
 Noc w noc rozboje, żydy, markietany;  
 Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,  
 Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy  
 Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;  
 Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,  
 I nim umilkną rozżalone dzwony,  
 Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.



Neapol: Ulica świętej Łucyi.



Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru  
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,  
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,  
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.  
Słucham i patrzę — otwierają bramę —  
Patrzę, kto wejdzie: — o polski mój Chryste! —  
Mniszeczki wchodzą, jak my takie same,  
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,  
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,  
Nogi skrwawione przez mróz i przez grude,  
A twarze takie chude — takie chude,  
A oczy — jakby na opłatkach świeczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów,  
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;  
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,  
W łachmanach. — Było to pięciu Unitów  
Biedniejszych od nas: — jeszcze jakaś święta  
Jasność kosteczek naszych się trzymała;  
Ale ci ludzie... skóra im szerniała,  
A twarze mieli takie, jak zwierzęta,  
Już jakby Pańskiej męczarni niegodne  
I przemienione przez bezczestne męki;  
Nos wkleśł, a naprzód im wybiegły szczęki,  
Jak gdyby kasać chciały, jakby głodne.  
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,  
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie,  
Zem pomyślała, jako po łacinie  
Mój ojciec w czasie ludzkiej czytał: homo...

Tu pokazała mi na nos i wzroki  
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;  
A ja postrzegłem w oczach dół głęboki,  
W złomach jej twarzy wyraz jakiś ptasi: —  
Wstrząśłem się cały — zadziwienia krzykiem  
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa,  
I różne męki przezeń wymyślone

Zniósłszy, byliśmy nareszcie pławione...  
 — Matko! krzyknąłem — jako czarownice?  
 A ona: — Dziw się katów wymyślwi!  
 Był staw, jezioro, puste okolice,  
 Jakby przystojne męczeństwa duchowi,  
 Nad brzegiem jego wierzby jak upiory;  
 Tam nas, bywało, zaszywają w wory,  
 I tak zaszyte obwiązują lina,  
 A potem diaczki w łodziach wprzód posłani  
 Płyną i płyną, daleko, daleko,  
 I na tych linach wleką nas i wleką,  
 A popy krzyczą: postoj! albo: tiahni!  
 Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,  
 Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;  
 Lud się, bywało, ponad brzegi zbiega,  
 A my, jaskółki pobrane na wędę,  
 W tej czarnej wodzie po pas, to po brodę...  
 Cóż robić? — Boską całujemy wodę  
 I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,  
 Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.  
 Otóż tam, słuchaj — już mi się na oko  
 Anieli Pańscy jeli pokazywać —  
 A nie myśl, żeby widma jakie złote,  
 Albo zjawienia lub gwiazdy i róże;  
 Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,  
 Przysłani na tę okropną robotę,  
 Jacyś Anieli, mówię, w ludzkich ciałach,  
 Co przez litośne patrzali się oczy.  
 Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy  
 Szlachcic ubrany w szarych samodziałach,  
 Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,  
 Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,  
 Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,  
 A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.  
 Stał zawsze cichy i patrzył na popy,  
 Na nas, a wszystko poważnie uważał,

A mnie cichością swoją tak przerażał,  
 Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.  
 Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,  
 To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,  
 Drogę mi niby pokazuje w lesie,  
 Oczyma mówi: żyj, bo ja powrócę!  
 O! ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —  
 A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz się już zbiegli z miasta nawet żydzi,  
 Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,  
 Bo się rozniosło, że my bardzo głodne.  
 Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,  
 W gliniastych mułach i w traw wężowisku  
 Grzęznąc — zielone, jak grynspany chłodne.  
 A krzyki: postoj! na tych, co na łodzi —  
 A krzyki na nas: która z was przechodzi?  
 I znowu krzyki na łódkarzy: tiahni!  
 A sznur się przeżył i naszemi głowy  
 Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy  
 Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem żydzi,  
 Myśląc: usłysz, jeżeli nie widzi!  
 Dobre żydziska, dobre żydowice  
 Lamentowały — aj waj! bijąc w łono,  
 Nu! one głodne, pomarzną, potoną,  
 Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?  
 Czemu nie biją?... słuchaj, gdy, bywało,  
 Te żydy lament okropny zawioda,  
 To serce moje, ot tak aż skakało!  
 O tak! skakało me serce pod wodą;  
 Bo ci powiadam, że są jakieś czary  
 Dziwne w modlitwach nawet obcej wiary:  
 Chwyta cię obca, jak matczyzna ręka,  
 Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka.  
 Biedne żydziska —

Raz taki był lament  
 I taka niby muzyka wspaniała;



Ja z wody, zda się, że święty Sakrament  
 Widzę na Niebie, takiem rozjaśniała;  
 Wtem woda pluśła nagle i zalała  
 Jedną mniszeczkę... Powiadam ci, smoki  
 Te sznury czarta — były wód zwierciadło,  
 I jedno moje dziecko o dwa kroki,  
 Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!  
 Krzyknęłam i mróz przeszedł mi przez kości,  
 W takiej to wszystko stało się cichości;  
 Nikt nie obaczył — a choćby widziano,  
 Nikt by nie skoczył z ratunkiem pod wodą;  
 Żywot tam ludzki tyle szacowano,  
 Że my już nawet nie byliśmy trzoda;  
 Czy które pomrą, czy które utoną,  
 Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.  
 Wyznam ci teraz, że mnie po tym zgonie  
 Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydom;  
 Wokoło czarne, ołowiane tonie,  
 Tam gdzieś pisk popów — a tam gdzieś wrzask żydów;  
 A tu pode mną, trup — nie wyszła dusza!  
 Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza  
 Może swe oczki we krwi jasnej kapie,  
 A mnie tu ciągną dalej za obróże,  
 Co krok to może na biedną nastąpię,  
 Może nastąpię — oczy tylko mruję,  
 A ona gdzieś mnie, ach! za nogi trąca,  
 Zimna — jak z wosku biała — i świecąca...  
 O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,  
 Ciągłe nas wloką w głąb i krzyczą: tiahni!  
 Już tylko nasze na wodzie kaptury  
 Jak stado kaczek — już noc na otchłani,  
 Już jakieś dziwne czerwone chmurzyska  
 Nadchodzą na tę mękę tak okrutną,  
 A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,  
 Że ot już chciałem pożreć te sznurzyska  
 Tam, i na poły niemi zadławiona  
 Buchnąć w tę wodę, przepaść, jak zginiona...

W oczach już moich niebo nie świeciło,  
 Żadnego blasku, też żadnych nie było;  
 Już ogłupiałam — myślę tylko o tem,  
 Jakby się zalać wodą, najeść błotem,  
 Bo taka głodna byłam, tak pożałował  
 Mój głód chociażby maleńkie okrucy,  
 Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;  
 Tak się łamały we wnętrznościach duchy,  
 Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,  
 Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłaża...  
 Wtenczas już widok okolicy dzikiej,  
 Naszej męczarni, błotnisk, pławby, popów  
 Poruszył nawet i żydów i chłopów:  
 Powstały głośnie przekleństwa i krzyki.  
 I raz żydówka jakaś na brzeg bieży,  
 Obwarzankami złotemi świecąc,  
 Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy  
 I karabiny w koziołkach roztrąca,  
 Deszcz poszedł srebrny, pył jak z kopca śniegu  
 Z tych karabinów rozbitych, a ona  
 Już nad nami, już na samym brzegu,  
 Obwarzankami złota i czerwona  
 Podniosła ręce — i tak jak żniwiarka  
 Tych obwarzanków nakryła mnie snopem...  
 Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,  
 Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,  
 Podjęta szczerą tej kobiety troską  
 I zachwycona jej myślą matczyną,  
 Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską  
 Jakby nad całą już polską krainą!  
 I z wód podniosłam ku niej moje dłonie,  
 Krzycząc: O! Polskę moją całą ratuj, złota!  
 I do niej wzniosłam dłonie, jak sierota,  
 W tych obwarzankach, jak w złotej koronie.  
 Odtąd nie śmieli już więcej Biskupy  
 Otwarcie czynić z nami takiej hecy,  
 Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,



Dreńczyli żywe i chowali trupy.  
 Ku mnie zaś siła przystąpiła Boża  
 I odpędzała ode mnie te katy;  
 Możem ześwięcić tą koroną zboża;  
 Może przez moje bolesne stygmaty —  
 Nie wiem: lecz pop już uciekał przede mną,  
 A uciekając sztyletował wzrokiem.  
 Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,  
 To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem  
 A chody popów, jak węzów szelesty;  
 Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,  
 I tam już same w głodzie zostawiono.  
 Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę,  
 Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.  
 A mój braciszku, nie tłusto i słono  
 Jadłyśmy!... ale było nam do twarzy,  
 Bośmy utyli na suchej grochówce  
 I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęły się jakieś narady,  
 Co czynić — czego próbować?...

Na tem stało: że my trzy najzdrowsze  
 W poselstwo wielkie pójdziemy do świata;  
 Niektóre chciały czekać wiosny, lata,  
 Lecz my na wiatry duchy najsurowsze,  
 Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,  
 Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,  
 Ciągłe, bywało, kręcim z koszul sznury,  
 Ciągłe gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?  
 Wtem raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury  
 Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,  
 A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.  
 Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —  
 Choć grozą jasny, lecz jak papier blady.

Przy nim popiska, krwią po rękach ciekłą,  
 Kije czerwone — znać, że kogoś bili —  
 Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczenką,  
 Chodzą, jak gdyby głowy potracili.  
 Zbliżam się cicho — aż widzę Unitów  
 Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.  
 Nadzy, już leżą jak trupy na lodzie,  
 Czarniejsi od tych lodowych błękitów!  
 Patrzę — co? a im woda na łby ciecze  
 I marznie — że tak poranione głowy,  
 Jakby zamknięte w puhar kryształowy,  
 Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze.  
 A nie słyszałam jęku, ani krzyków,  
 Tylko te ruchy straszne spazmatyków.  
 A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,  
 Że stali, jako wielkie trupy — złote  
 I poplamione sińcami i krwawe —  
 Niby przysłani na ciemne podwórce  
 Jacy okropni Aniołowie-Stróże.  
 Daruj — lecz widząc te święte osoby  
 Rzekłam: czy to wy, o biedacy głodni,  
 Coście w tak skrzące powchodzili groby,  
 Że mi jesteście tu nakształt pochodni?  
 Mówcie: ja wasze poniosę żałoby  
 Na świat — jasności, złotych trumien godni!  
 Bóg też wspominał na pokorną cnotę  
 I oto wam dał takie trumny złote.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam  
 Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,  
 Ale aż na świat pójść z taką powieścią,  
 Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,  
 Jaka swawola w popach wyuzdana  
 I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,  
 Że cała ciżba popów, czernic pijana  
 Padła, snem ciężkim zjęta, jak ołowiem.



Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,  
 Że jedna z czernic dobre serce miała,  
 Często ukradkiem do się zawołała,  
 A dała grochu, soli albo kłosów.  
 Patrzaj — mam jeszcze od niej krzyżyk włosów.  
 Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,  
 Że nam obmierzło już w niewoli życie,  
 Że już ot wolność nam w naradach wschodzi,  
 A nie wydała — niech jej Bóg nagrodzi!

Otóż, wylazłszy po drzewach na mury,  
 Prędko skoczyliśmy aż na dół z góry.  
 Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,  
 Bośmy z trzeciego aż piętra upadły.  
 I zaraz, jako ptaszki przestraszone,  
 Śnieg otrzepawszy z odzieży jak pierze,  
 Każdaśmy poszły szybko w inną stronę,  
 Myśląc, że gonią popy i żołnierze.  
 Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,  
 Czy też duch jaki pędził strachu dłonią:  
 Ale sądziłam, że mnie wiatry gonią  
 I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.  
 Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.  
 Gdzie iść? — nie znałam ni drogi ni strony,  
 Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,  
 Dziwiąc się biedna, że ptaszków piosenka  
 Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.  
 Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobieta,  
 A taka smętna...

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,  
 Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta;  
 I obaczywszy na mnie siwe szaty,  
 Spytała: pewnie na odpust do miasta,  
 Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,  
 Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;  
 Co tu rzec? smutek objął mnie i trwoga.  
 Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,

Pocałowała mnie jak matkę w ramię,  
 W imię przyjęła Boże... a ja skłamię?  
 Wszakże już w myśli pełna tego dymu,  
 Który ęmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,  
 Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,  
 I rzekłam: idę na odpust do miasta.  
 A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę;  
 Bo ta kobieta rzekła: to nie blisko!  
 I zaraz miasta mi dała nazwisko  
 I powiedziała jak najbliższą drogę;  
 Wszystko dar Boży...

Potem o trzy mile  
 W lesie idącą spotykałam kobietę.  
 Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,  
 Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte  
 Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory, —  
 A ona: wiesz ty, co słycać w Dziedziolach?  
 W strachu są wielkim podłeśne klasztory —  
 Popy biegają tu po wszystkich siolach  
 I rozsyłają po drogach opryszki  
 Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.  
 To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwa  
 Rzekłam: a czy już którą ulowiono?  
 A ona: pędząc żołnierze tą stroną,  
 Znaleźli przy mnie jedną, lecz nieżywą.  
 Mówią, że sama najstarsza, u ścieku  
 Jednej rzeczułki leżała wśród mostu,  
 Ot może tego, matko, jak ty wieku,  
 Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.  
 Właśnie gdy dońce stali przerażeni,  
 Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.  
 Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,  
 Sama klasztoru Ksieni Mieczysławska,  
 I kazał ścierwo rzucić do strumieni.  
 Proszczaj! — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —  
 Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,  
 Rzekłam: to Boskie było ostrzeżenie!



To Anioł Boży!

A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;  
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,  
Lecz go rzucili z Nieba Aniołowie;  
Że Bóg nim drogę goniącym zagroził.  
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,  
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:  
Taki mróz spuścił, że aż ze żrenicy  
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,  
Ale zapalić niema czem ogniska.  
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...  
Wtem patrzę: jakieś przy lesie pastuchy  
I niespędzone owieczki z pastwiska.  
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,  
A u tych owiec rozgrzać moje ciało;  
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało  
I na me nogi zimne jak żelazo  
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,  
Tak, że ja temi niewinnemi duchy  
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy  
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.

— I tu umilkła — w górę tak patrząca,  
Żem ujrzał srebro białego miesiąca  
I tę zalaną radosnemi łzami  
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.  
O! cudnie polski otwiera nagrobek  
Ten nowy pańskiej Męczennicy żłobek!

— To wszystko... Teraz tu, biedaczki moje,  
Oto widzicie, jestem z wami, stoję  
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora,  
Gotowa, mówię, iść napowrót w drogę...  
Tylko się śpieszcie, dziatki — bo dziś pora,  
Dziś... więcej mówić wam teraz nie mogę!

To jest historia cała mojej męki  
I całej mojej tej biednej podróży.  
Widzisz, kto Panu swemu wiernie służy,

Ten się dobywa cały z katów ręki.  
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,  
Że chciałabym się już dostać do Rzymu  
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzidel, dymu,  
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.  
Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek  
Powyłazili — warzeni w dekokecie.  
Patrzą, trefionych przekrzywiają główkę,  
Wzdychają w niebo i czyszczą paznogie.  
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...  
O! gdyby tu też gdzie jaka serdeczna  
Z doktorem swoim poważna matrona,  
Z dziećmi... ja dzieci lubię, jestem grzeczna...  
Nie! — wczoraj jakaś — słodka, jak patoka,  
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,  
Hrabina... tak tu spojrzała z wysoka,  
Jak gdyby miała Sakrament w pierścionku.  
Ona tam może bardzo Bogu miła;  
Lecz szczebiotała o Świętych, jak sroka,  
A oczki żółte, jak prąжки mrużyła.  
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora;  
A ona mi co? — po francusku gada  
I prezentuje swego konfesora.  
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...  
Ot drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,  
A z tymi tutaj ludźmi daj mi pokój!  
Ja chcę do Rzymu — —

Rzekłem: o mistrzyni  
Bolesnych tonów, czarownego rymu!...  
— Zakryłem oczy — Matko, jedź do Rzymu,  
Jedź! twoje słowo może Rzym uczyni...  
Lecz teraz ujrzysz na świętej fortecy  
Wyżej złożonych tyarą krużganków  
Błyszczące widma — by świętych Młodzianków —  
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.  
Ujrzysz ohydna wszędy cześć bałwanów,  
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...



Może się spotkasz z ojcem twoich katów  
I dasz mu pierwszy krok — do Watykanów!...  
A jeśli krwawej nie ustrzeżesz duszy,  
A dasz ją jako воск w tych ludzi ręce:  
Królową ducha nam wyszłaś po męce,  
Umarłą wyjdiesz po tamtej katuszy!  
Albo jeżeli cię znowu gorąca  
Dusza, jak matkę porwie z tej mogiły,  
To się uczujesz bez łez i bez siły!  
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...  
Żegnaj — —

A ona swe oblicze blade  
Wyszklisz na mnie: i gdzież ja pojedę?!  
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,  
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

---

BENIOWSKI.

(CIĄG DALSZY).

---

## PIEŚŃ VI.

### I.

Widzieliście pana Sawę  
Pośród stepów ze Swentyną...  
Burzanami szyki płyną  
Jak brąz czarne, słońcem krwawe,  
I proporce wieją złote  
I czerwone z Archaniołem...  
Przyjechali po przed grote,  
Wyszli z tłumu dwaj lirnicy,  
Uderzyli Sawie czołem,  
Uśmiechnęli do dziewicy...

— Bóg nam ciebie bohatera  
Niechaj chowa po wsze czasy!  
Przysłał tobie pan Kozyra,  
Hetman Siczy... pułk kozacki,  
Szczob ty z Rusią szedł w zapasy,  
Hulał jak syn hajdamacki...

. . . . .  
. . . . .

### II.

Przybył więc Sawie gdzieś z ponad Limanów  
Kureń kozacki, i wnet się przed grota  
Rozłożył; sotkę zawiesił saganów,  
Ogień zapłonął piramidą złotą.



Tysiąc spis, tysiąc szabel, jataganów,  
 Łyska na słońcu; lecz jakąś tęsknotą  
 Zafarbowane niebiosą nad niemi.  
 I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,  
 Bajda i Znachor — lecz nie dzwonią w liry;  
 Konie się włóczą i szukają cieniu,  
 Wysokich orłów dolatują skwiry.  
 Swentyna stoi przy jednym płomieniu,  
 Rzęsami oczu nakryła szafiry —  
 Duma... jak kwiaty wół zwiędłe jesienne;  
 Na jej ramionach dwa gołębie senne.

Wszystko ponure; choć bliska wyprawa,  
 Choć pójdą bić się — śnią, nie wiedzą sami  
 O czym... Na szabli oparty pan Sawa  
 Rozmawia cicho, ważnie — ze starcami.  
 Gdzież nas powiedzisz? — mówią — to rzecz krwawa  
 Bić się z naszymi braćmi rzezuniami!  
 Co za nagroda? co za przyszłość nasza?  
 Wiszniowieckiego pomnij Jeremiasza!

— Oj! ta mogiła kiedyś się otworzy,  
 Gdzie zasnął stary kat, i miecz wykinie;  
 Na naszych głowach ten się miecz położy  
 I naszą znowu krwią gorącą spłynie.  
 Gdy wychodziły pułki, to na zorzy  
 Cztery świeciły słońca w Ukrainie  
 Pozadnieprzańskiej! — wojna będzie krwawa,  
 A tobie w głowie co? — grób czy buława?

Jeśli mogiła... to dobrze! — pójdziemy,  
 Z janczarek hukniem Lachom i z moździerz;  
 My chcemy ginąć z tobą — i bić chcemy,  
 Każdemu serce w pałaszu uderzył  
 Mieczami tobie kurhan wykopiemy,  
 Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży.

Lecz może lepiej krwawej czekać doby,  
 A tobie przyjdzie kłaść... na ziemi groby.

Z mohyły na mohyły, taj zalecisz  
 Aż na hetmaństwo! — Ej, podumaj Sawa!  
 Komu ty szablą pod okiem zaświecisz,  
 Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;  
 Rozkaż — a pożar ty taki zaniecisz,  
 Że go zobaczy z okien aż Warszawa!  
 Stepowy ty król! — Tutaj na kolano  
 Kłęknał, i z ognia dobywszy polano,

Podał je Sawie; gdy z żarzącej głowni  
 Szły iskry, mruknął: Weź, niech Lachy giną!  
 Słyszac, jak byli kozacy wymowni,  
 Sawa z samotną poszeptał Swentyną;  
 Ta szła do groty zaraz, i z lodowni,  
 W której Calińskich było stare wino,  
 Dawny zabytek szlacheckiego mienia,  
 Dostała spoić czem głowy kurenia —

To jest poetów i starszyznę. Potem  
 Poszła osiodłać rumaka Sawynie,  
 Grzywę mu białą przeplatała złotem  
 Oraz kwiatkami, co na eglantynie  
 Kwitną. — Pod żadnym Araba namiotem  
 Żaden koń taką lotnością nie słyne,  
 Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,  
 Zmyslny jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polne róże pełne rosy  
 Spadają, parska jak płomień czerwono;  
 Zna różne dźwięki i rozumie głosy,  
 Wie, kiedy głowę spuścić zamyśloną.  
 Teraz wargami wziął Swentyny włosy  
 I niby gryzie, lecz gryzienie ono  
 W kolory usta ubrało dziewicze  
 I przeszedł przez nią dreszcz. Są tajemnicze

Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty  
 W głębi dziewiczych ciał, i te się budzą  
 Bóg wie jak — są to anielskie incesty  
 Dusz bratnich. — Ale rymy znów marudzą  
 I znów się ze strof tych robią Oresty  
 Szalone z włosem rozczochranym, z cudzą  
 Krwią na obliczu, znów jestem gotowy...  
 Lecz wróćmy lepiej nad kureń stepowy.

Potem na konia wskoczył Sawa rzecko,  
 Rycerskie bardzo zamyślając czyny...  
 A był pod nieba otchłania niebieską  
 Jako archanioł Michał, Ukrainy  
 Patron — choć młody — z powagą królewską  
 Przemówił do tej kozackiej starszyny  
 Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach  
 I widział w szablach step — jak w złotych kłosach...

O matko Polsko, jak dawno nie grzmiało  
 Na twoich stepach takie dzikie hasło!  
 Jak dawno ludziom na stepie nie dniało  
 Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!  
 Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,  
 Zło się na twoich obszarach rozpasło; —  
 Zaledwo chłopek dawną wiarę chowa  
 I serce... A ty się już rodzisz nowa,

W żłóbku serc naszych biednych położona  
 Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów;  
 Matki my biedne... bo z naszego łona  
 Płynie ci ogień — roztopiony ołów,  
 A ty tak jesteś karmi upragniona,  
 Że ci za matki my — i za aniołów  
 I za obrońców, za dom — i za szańce  
 Musimy dziś być... my — sami wygnańce...

### III.

Dawna ojczyzna moja! o jak trudno  
 Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy

Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną  
 Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.  
 Inni już pieją twoją przyszłość cudną; —  
 Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,  
 Jak żóraw, abym nie spał wśród omamień,  
 Trzymam me serce w ręku... serce kamień —

Biedne uwiedle serce! — Inni mogą  
 Płomieniem twojej przyszłości oddychać;  
 Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,  
 Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.  
 Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą  
 Chatę, co już się zaczęła rozsychać,  
 Rozpadać, tylu wichry rozerwana,  
 Biedna, tak dawno stojąca, glinianą.

Dawniej... o! dawniej mogłem ja cię darzyć  
 Różami, listki maczanemi w złocie.  
 Teraz ja muszę chować się i marzyć,  
 I w coraz większej schroniony prostocie  
 Podług natury sądnej, szale ważyć  
 I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie  
 Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,  
 Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie  
 Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;  
 Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie  
 I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,  
 Którą widziałem na rycerzy grobie,  
 Kamienną, dużą rycerską osobą,  
 Dla której kilka lamp grobowych spalisz,  
 A potem z grobu wstającą — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie,  
 Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...  
 Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie  
 Wezbrana łzami po tych, którzy mieli



Serce i ducha, póki w Ukrainie

Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli  
Ciagle niby gwar smętnych duchów mgli się  
I Puławskiego śpieszny rumak śni się;

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach

Nie znajdują w sobie rycerstwa i śpiewu:

Dopóty ja mam prawo na mogiłach

Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu;

Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach

I kazać w niebo iść ściętemu drzewu

I z tęczami się połączyć na niebie,

Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!

Dlatego w dawnych ludziach złotą wiarę

I złote serce miłuję nad własne.

Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare,

Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!

Odwińcie srebrną trumienną czamarę,

Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,

Ubrane w tęczę, gwiazdy i miesiące,

Na urok pieśni z nieba zlatujące!

Sawa co w pieśni mej gra Dyomeda

Rolę, i może zając długie księgi,

A który także trochę ma z Tankreda,

Pół kozak, a pół szlachcic, ale tęgi —

Krzyczał jak waryat, że się wiązać nie da,

A już był mocno różnemi popręgi

Przez swoich własnych ludzi skrzepowany

Za to, że nie chciał iść i rzezać pany.

Długo prosili go lirniki sepy,

Z Żeleźniakiem mu obiecując księstwo;

Ale Sawa był na to słuchem tępy

I rzucił z gniewem w znachory przekleństwo;

Takim sposobem utracił zastępy

I Potockiemu wydarte zwycięstwo;

A ten, co króla miał wiązać w Warszawie,  
Sam leżał w lesie związany na trawie.

Pachły mu wprawdzie goździki i smołki

I miodnik miód przypominał Kapucynów

I wyzierały z pod trawy fiołki,

Poziomki także oczkami z rubinów

Patrzały i brzoź lekkie się wierzchołki

Kłaniały, lejąc nad nim łzy bursztynów;

Ale te jasno lasy malowane

Rzucały nań swój wdzięk, jak groch na ścianę.

Tak noc przeleżał bezsenny -- i słyszał,

Jak brzozy o czemś tajemnem szeptały,

Jak się las cały by czarem uciszał

I pod księżycem stał spokojny, biały,

Potem znów wiatrem jutrzeńki zadyszał

I śpiewem ptasząt rannym zagrał cały,

I na zorzowych każda brzoza łunach

Była — jak harfa o stu złotych strunach.

Ale to wszystko nic, i ranny chłodek

Napróżno rzeźwił twarz; Sawa się wściekał —

Próżno się targał, bo na żaden środek

(Litewski ten tryb mówienia tu czekał,

Aby się cicho wkraść i na rozplodek

Został) — choć powróz mu bardzo dopiekał,

Choć szamotaniem się bardzo roznieścił,

Na żaden środek więzów stargać nie mógł.

Nareszcie w pomoc wezwał — nie wiem kogo —

Lecz wiem, że skoro wezwał, upior szary

Na białym koniu przyniósł go trwoga:

Bo jeszcze w lesie mrok perłowo-szary

Panował; — upior twarz ma wielce srogą,

Koń po kolana gdzieś w piekielne żary

Albo w krew wstał i tak farbowany

W mgłę czerwonymi rzucał się kolany.

Czemś przestraszony był — może czuł Sawę,  
 Człowieka, a sam niosący upiora,  
 Chciał się zawrócić gdzie w mgły słońcem krwawę;  
 Czy go brzóz białych przestraszyła kora? —  
 Cofał się, wspinał, i taką postawę  
 Miał, jak posażny koń tryumfatora  
 Co zda się leci i w lot z oczu zginie,  
 A nigdy ruin stojących nie minie.

Kto inny, w ludu wierzący podania,  
 Pewnieby wolał leżeć tak związany,  
 Niż by mu duchy do więz rozzerwania  
 Pomogły, jasną ręką rwąc kajdany.  
 Lecz Sawa, który duszę miał do dania  
 I chętnie by ją dał za kraj kochany,  
 Nie dbał. Stąd wielka bardzo dramatyczność  
 Poezyi, wdać się z upiorami w styczność.

Zaczął więc krzyczeć: Hej pomoży, baćku! —  
 I wnet ów stary człowiek koniem kinał,  
 A Sawa mu więc o swoim przypadku  
 Powiedział krótko; a że bardzo sływał,  
 (Tę awanturę czytałem w dodatku  
 Dumourierowskiej depeszy; czas minął,  
 Sawy cień już mgły pamięci zasnuły,  
 A ten kawałek ówczesnej bibuły  
 Jeszcze dziś gada o złotej młodości  
 Rycerza. Boże! gdzież proch jego ciała?  
 Gdzie potraskane wprzód kulami kości?  
 Gdzie jest mogiła? — Oto w pieśni wstała  
 I nie brak jej gwiazd ani zieloności,  
 Jak na wesele znowu się ubrała,  
 I w tężowych się darń kolorach skapał,  
 Bo wie, że po niej duch znów będzie stapał.

Ten sam... ale już o stopień mogiły  
 Wyższy i mędrszy swą grobową wiedzą)  
 Tymczasem więzy zerwawszy, nim siły  
 Odzyskał, usiadł; on i lirnik siedzą,

Gdzie w lesie wzgórek był lekko pochyły,  
 Z którego źródła swe perełki cedzą;  
 Między brzożami usiedli i gwarzą  
 Na złote słońce obróceniu twarzą.

O czym? — o Polsce; ona jako zmora  
 Trzymała wtenczas we śnie wszystkie duchy.  
 Ten lirnik był to stary Wernyhora,  
 Sławny podówczas, tak że i kożuchy  
 I karmazyny przed nim drżały wczora  
 I step przed jego twarzą stanął głuchy  
 I krew wybuchła parami białymi  
 I wcześniej srebrny miesiąc wyszedł z ziemi.

## IV.

Potem ściemniało, bo mglistej natury  
 Był dzień — a już się tłuszcza Żeleźniaka  
 Po brzegach wzdęte najeżały góry,  
 Sypiąc się jako plewiny z przetaka;  
 I step się od nich nagle stał ponury  
 I w obu wojskach była cisza taka,  
 Że tylko koni słyszano parskanie  
 I wiatr w chorągwi — albo w szarafanie.

Tu mimowolnie mi duch jakiś boju,  
 Czujący tych wojsk szalonych zbliżenie,  
 Głos mój nagina do lepszego stroju  
 I moim pierśom daje szersze tchnienie;  
 Opiszę ten bój, ale niepokoju  
 Nie będzie w rymach, choć strofę odmienię;  
 Bój ten batalie przypominał rządne  
 Sobieskich — trąby zagrały już sądne.

Pomnę, że wtenczas Połocki na sobie  
 Sarafan letni miał — czerwone buty...

## V.

Do ostrokołów przyparci, rąbani  
 Jak pod kowala młotem, pod szablą,



Cięci i nigdy niepardonowani,  
 Choć złożą ręce i żelazo schwyca —  
 Przez łeb tak cięci, że porozwalani  
 Na dwie połowy mieczów błyskawicą  
 Jęczą. Szlachciców obłok coraz bliższy,  
 A nad obłokiem pan Potocki wyższy.  
 Jeszcze mu swoi ludzie są na przedzie,  
 On się już naprzód zapalony ciska,  
 Czasem na człeka lub na trupa wjedzie,  
 I od całego wyższy bojowiska —  
 Nad głową obuch, co okuty w miedzi  
 Zda się, jak piorun Jowiszowy, błyska  
 I wnet polecą ogniem z rąk Polaka,  
 A oczy jego w oczach Żeleźniaka.  
 A wkoło pełno spis, które drużyna  
 Wkoło, dbająca o hetmańskie zdrowie,  
 Szablami łamie, odwraca, odcina;  
 A on — z tym jasnym piorunem na głowie —  
 Gdy Żeleźniaka ujrzy, to się wspina  
 I czasem cicho coś do swoich powie,  
 I znowu wspięty, cichszy, coraz bladejszy  
 Żeleźniakowi w oczy ciągle patrzy.  
 Wreszcie się zaczął pan Żeleźniak trwożyć,  
 Bładnąć i cofać się na ostrokoły;  
 Nim się obuchem mógł Potocki złożyć,  
 On już przeskoczył i biegł na wadoły,  
 By Lachom tabor oporny utworzyć,  
 Zebrawszy w łańcuch konie, maże, woły,  
 Kobiety, popy, wszystko w kupę spędził,  
 Zwinął, wozami wkoło okrawędził  
 I siadł na wozie; a tymczasem Lachy  
 Lecieli — bijąc w trąby, tnąc od ucha.  
 Tu kozak, wzięty na dzidy pod pachy,  
 Podleciał w górę, krew z pod ramion bucha,  
 A pod nim złote proporce i blachy,  
 A pod nim cała boju zawierucha —

A on w tej chwili za chorągiew służy,  
 Ten trup, na spisach wyrzucony z burzy...  
 A tam w taborze wozy płoną, dymią,  
 Tam zapalone siano wstaje z jaru  
 Nad ginącymi pochodnią olbrzymią;  
 Tam świecą resztki tęczowe sztandaru...  
 Spokojnie tylko trupy... zda się, drzemią —  
 Na rękach leżą krwawe wśród czaharu —  
 Bez ruchu — zda się, że z wielką rozpaczą  
 Padli na ziemię i śpią — albo płaczą.  
 A tam na wzgórzu, patrz, dziwna korona  
 Tej straszliwości, stoją trzy osoby:  
 Był to w kolasie pop, sotnicza żona,  
 I jedna, którą będę od tej doby  
 Pamiętał, bo mi błyska tak czerwona  
 Nad polem pełnem jęku i żałoby,  
 I tak od słońca miała piękne barwy,  
 Jak najpiękniejsze snów straszliwych larwy.  
 Rozbójniczka to była, co po drogach  
 Wprzód rozbijała ludzi nad limanem;  
 Nigdy na pańskich nie powstała progach  
 I nigdy może nie mówiła z panem;  
 W czerwonych była butach, przy ostrogach  
 I wydawała się wielkim draganem,  
 Tak ją to wzgórze oczom powiększało  
 I koń — i popa przy niej liche ciało.  
 Hudymą zwana, smągła lecz rumiana —  
 Widmo malarskich pendzli pewnie godne,  
 Wesoła, śmiała, niepohamowana,  
 Wyższa nad wszystkie dziewczęta dorodne;  
 Usta jak karmin, oczy jak szatana  
 Czarne, a piersi krągłe takie chłodne  
 Jakby z marmuru, a brwi jak dwa łuki,  
 Czarne, jak piórka zgubione przez kruki.  
 W uszach dwie wielkie długie z pereł dynie  
 Wiszą, zdaje się, że lży rusalczane



Kapiące cicho po jagód karminie,  
Zmrużone, białe, świeże i świetlane.

Taka ta była sławna w Ukrainie

Rycerka, widmo straszne, choć rumiane —  
Wesołe, chociaż gotowe na szkodę,  
Na mord — krew umie rozlewać, jak wodę.

Otóż na górze ta wśród kilku cierni,  
Na samym grzbiecie, tam gdzie błękit kona,

Stała, a na nią jacyś dwaj pancerni,  
Przeciwko słońcu złote niosąc łona,

Jechali. Widząc, że są nie od czerni,  
A śmierć jej niosą, wnet się też i ona

Ruszyła, lecąc czarnym jaru grzbietem  
Przeciw dwom, z szablą swą i pistoletem.

I prędzej, niżli wam w oczach to błysnie,  
Nim serca wasze jasne się rozczuła,

Nim je ból po tych podczaszycach ściśnie  
Co się dziś pod płaszcz Chrystusowy tula,

Pierwszemu co się naprzód ku niej ciśnie,  
W pancerzem złotą pierś uderza kulą;

A on drgającą ręką ściągnął żrebię  
Własne i grzbietem wyrzucił na siebie.

A ta drugiemu już sięgała grzbietu

Szablą, który już stał prawie oniemion,  
Strzaskała jemu ramię z pistoletu,

Tak że nieborak wyleciał ze strzemion,  
Swoją zgon dając jej do zgonów buketu

Jak najpiękniejszy narcyz lub anemon;  
Młody był bowiem syn wdowy, sierota —  
Wspomniął o matce i prosił żywota.

I byłaby mu piękna rozbójniczka

Młode i miłe zostawiła życie,  
Gdy nagle owa przypadła sotniczka —

W siermiędze, jak ten strach co stoi w życie —  
A tak ją ona tam w dole potyczka

I hajdamaków mordowanych wycie

Do krwi podzęgło, że myśląc nie wiele,  
Toporem siekła tak, że w Lacha ciele

Został. I właśnie pan Potocki, który

Stał był wtenczas, czoło swoje chłodził  
I patrzył na te trzy widma u góry

I widział topór, jak błysk i ugodził —  
Choć był zajęty tabornemi mury,

Spojrzał na szwadron, co samopas chodził,  
I wzgórze szabli ukazawszy krzywcem

Rzekł: mój Piwnicki, wzięć te baby żywcem!  
Wnet się Piwnicki, człowiek bardzo żywy,

Wyprawił, z sobą niosąc strach niemały;  
Gdy oto nagle owe jaru grzywy

Grzywą się ludzi ogirlandowały —  
W kółpaki i w kłos jasnych szabel krzywy

Porosły, w słońca zachodniego strzały  
Co błysły nakształt Mojżeszowych rogów...

Słowem na grzbiecie stanął kureń wrogów.  
Stał, i zrazu jakby w okolicy

Nowo zjawiony — zdawał się zachwiany;  
Wtem pokazali się jacyś lirnicy,

Podnieśli ręce na niebieskie ściany...  
Widziałeś ich gest — od lir błyskawicy,

Słyszałeś hasło straszne: reży pany!  
I jako po niem lud straszny zaszumił: —

Potocki widział, słyszał — nie rozumiał.

Wszakże to Sawy kureń leci, spada  
Myśli, że Sawę zobaczy na czele;

O pana Sawę wszystkich pyta, bada —  
Nikt nie wie, ani śmie zaręczyć wiele;

Tymczasem kureń ów... zapewne zdrada —  
Na Piwnickiego wpada karabele,

A tak się z góry wielkim pędem toczył,  
Że potratował szlachtę i przeskoczył

I biegł. Żeleźniak także z drugiej strony  
Wstaje i zbiera lud, rozpina wozy.



Wtenczas Potocki widzi, że zgubiony,  
 Że przeciw sobie ma już dwa obozy:  
 Zwołał więc trąbą goniące szwadrony,  
 I lejąc prawie z oczu gniewu śłozy  
 Wracał na dawne swoje stanowisko,  
 Na owo smętne przy kapliczce rżysko.  
 Lecz tam trzeciego widzi wroga! Spity  
 Lud zbrojny wkoło kapliczkę oblewa;  
 Z nożami stoją chłopcy i kobiety,  
 Kapucyn zdjęty i szmigielski z drzewa,  
 Z obu odarte szaty, grzbiec odkryty,  
 Kilku zakłutej szlachty także ziewa,  
 Słowem — z trzech stron . . . . .

Działko kieruje chłop, na szlachtę samą  
 Obraca, szyki znów Żeleźniak zbiera —  
 Wkrótce to pole będzie krwawą plamą,  
 Zwierciadłem, gdzie się śmierci trup przeziara...  
 Słońce się zdaje wielką dla dusz bramą —  
 Większeje... zda się, płomienie roztwiera  
 I czeka na bój drugi, jeszcze krwawszy,  
 By poszło... duchy rycerzy zabrawszy...

## VI.

I patrzcie co to jeden człowiek może,  
 Gdy duchem, gwiazdą na świata się kirze  
 Zapali. Jechał przez burzanów morze  
 Kozak już stary; na mglistym szafirze  
 Rysował się tak, jak upiór — a Boże  
 Wiatry mu grały u siodła na lirze;  
 On jechał, zda się, obumarły, śpiący,  
 Błady — na białym koniu trup grający,  
 Bo rąk nie ruszał ani ust... natężył  
 Ducha i prosto szedł na walki pole;  
 Zda się, że myśli swe wszystkie zoreżył,  
 Ubrał w pioruny i w skrzydła sokole

I wysłał... i duch kozacki zwyciężył  
 I przeląkł — sobą samym. Miał na czole,  
 Zdaje się, jakąś gwiazdę upiornika,  
 Oczy jako dwie pieczęcie z krwawnika.  
 Możeto słońce o szkło się żrenicy  
 Odbiło, i tak lyskało straszliwie,  
 Że się śmillańscy zlekli rozbójnicy  
 I stali, w strachu bładzacy i dziwie.  
 U hajdamackiej się tylko dziewicy  
 Znalazła śmiałość, że się sama chciwie  
 Naparła jechać, by donieść najwierniej,  
 Czego ten straszny znachor chce od czerni.  
 Potocki także jednego dragana  
 Wysłał, by starca obronił w potrzebie.  
 Tymczasem młoda Hudyma, rumiana  
 Jako brusznicą, rzucając za siebie  
 (Pewnie w parobku jakim rozkochana)  
 Oczy i śmiechy, którym nie pochlebię  
 Mówiąc, że były tak głośne i śpiewne,  
 Jak w lasach, kiedy jękną nimfy drzewne,  
 A potem echo gra kaskadą dużą  
 Tonów — śmiejąc się za siebie, zjechała,  
 Gdzie lirnik stary nad krwawą kałużą  
 Stał, a klacz jego srebrna w krew patrzała.  
 Tamże się słońca jakieś we krwi nurzą,  
 Tamże z czerwieni para jakaś biała  
 Wychodzi, długich pilnując łańcuchów,  
 Jako girlanda straszna srebrnych duchów.  
 I coraz bardziej czar się ten czuć dawał,  
 I coraz szerzej rozchodził po jarach;  
 I, zda się, księżyc wywołany wstawał,  
 I, zda się, mocniej czerwienił w oparach;  
 Zda się, że starzec tam konia napawał,  
 A z koniem jedno był, oczy miał w żarach,  
 Coraz straszniejsze, a coraz mgła biała  
 Gęściejsza przed nim i za nim wstawała.



W tych mgłach, któremi już byli okryci,  
 Zaczęły polskie szyki rzucać pole,  
 A nie gonieni byli i nie bici  
 I poszli zaraz, jedni na Podole,  
 Drudzy — już boju z Kozakami syci —  
 Do Turek . . . . .

## VII.

Dzisiaj podróżny przejeżdża te stepy  
 I nie wie o krwi, co się na nich lała  
 Przed laty ścieżką, gdzie dziad ciągnie ślepy  
 I skrzypią maże, pył ćmi, słońce pała,  
 Rzeki gdzieś dalej błękitnieją, krepy  
 Z czarnej szarańczy ćmią się... Dawna chwała  
 Już zapomniana; serce tylko nuży  
 Pól jednostajność, tęsknota podróży.

Duchy gdzieś poszły i nie powiedziały  
 Swoich boleści tym co po nich wstaną —  
 Ach! nie dlatego, by zemsty nie chciały;  
 Ale że z myślą bolem obłąkaną  
 Nie mogły mówić — albo by jęczały  
 Mówiąc; lub chwalać się serdeczną raną,  
 U Boga by swe straciły zasługi  
 I swój anielski rząd. Dziś wiek już drugi  
 Zaczął się: oni jeszcze zadziwieni,  
 Ze nikt nie wspomniał imion, nikt nie słucha,  
 Co oni mówią, gdy zorza rumieni  
 Laski brzoźowe, kiedy się głos ducha  
 Z Aniołem Pańskim na stepach ożeni  
 I ciągle płacze; kiedy wiatr odmuchu  
 Osiny, i liść ów srebrny pokaże  
 Co tak w księżycu lśni, jak duchów twarze...

Ach! kiedy także wyjdą w step i staną  
 I gdzieś na wioskę spojrza, dawniej swoją,  
 Gdzie żyto gnie się falą kołysaną,  
 Gdzie ciche dwory pod lipami stoja,

Gdy ujrzą dziatki rumiane pod ścianą,  
 Które się dziada z lirą srebrną boją,  
 A już nie wiedzą co to dawne lutnie: —  
 O! jak im cicho... tym duchom, jak smutnie!  
 Nawet gdy ujrzą zaszczone drzewko  
 Przez siebie w sadzie, a dziś już stuletnie;  
 Nawet gdy wróble ze srebrną podszewką  
 Lecą — i słońcu w takt migają świetnie,  
 Jak gdyby jaką niewidzialną śpiewką  
 Takt miały dany — i w gorąco letnie  
 Spadają w gęste korony czerechów,  
 By harfy srebrne, pełne swarów, śmiechów:  
 O jak im smutno! bo oni nie mogą  
 Odlecieć dalej, aż odleć z nami —  
 Taki takt w locie, nim się loty wzmogą,  
 Poeci muszą uczynić pieśniami,  
 Jak tym wróbelkom czyni Bóg... O! srogo,  
 Srogo nas uczy Bóg i krwią i łzami  
 Latać nad domy i pola i sady,  
 Wydając jeden Boży ton z gromady.  
 Lecz do powieści!... Gdzież mój stary Grusza,  
 Cześnik? Co zrobił z oddzielną komendą?  
 Czy się gdzie w boju jeszcze zawierusza?  
 Czy mu już Parki wrzeczionami przęda?  
 Choć szorstkie ciało, piękna w sercu dusza!  
 Byłaby szkoda, gdyby ci co będą  
 Jak on na stratę komenderowani,  
 Tak nie umieli jak on paść... nieznani!  
 Z hufcem się swoim wypawił, i w długi  
 Jar wjechał ów-to za Sasów dygnitarz;  
 Więc jar ów ciemny, wzięty we dwie smugi  
 Gór, tak się ciągnął, jak czarny kurytarz;  
 We środku strumień srebrny, co koleczugi  
 Odbił, a dalej... jak to sam wycytasz,  
 Były przez chłopów położone tamy  
 Wodzie, co w srebrne rozlała się plamy.



## PIEŚŃ VII.

Cieszymy się w Bogu, i niech ta pociecha

Poematowi mojemu odbierze

Te smutku wiecznie wtórujące echa,

Gdy o przeszłości grzmi harfa. Grabieże,

Mordy — rzeź, krwawa Gruszczyńska strzecha —

To wszystko są sny... Korsuńscy rycerze

Także nie więcej mają życia w sobie,

Jak ognik z trupów tańczący na grobie.

A jednak dziwna jest piękność w oddali

I w perspektywie poetycznej. — Sawy

Kozacy szli po moście i błyskali,

Bo zachód słońca właśnie świecił krwawy;

Lirnicy w liry swoje dziko grali,

W Korsuniu pełno zgielku, gwaru, wrzawy;

Dziedziniec pełny żydów i cyganów,

Szlachty, kozaków, żebractwa i panów.

Pod śliwą właśnie stoi prosta ława,

Na niej Potocki regimentarz siedzi,

Jak sułtan, z wielkim bursztynem — pan Sawa

Zdjął kołpak, stanął jak wykuty z miedzi;

Twarz jego smutna i od słońca krwawa;

Chciał mówić... z własnym językiem się biedzi,

Spojrzał wokoło... o Boże litości!

Gruszczyński siedzi stary pośród gości...

Na jego twarzy spokojność wesoła,

Zapewne nie wie nic o własnym domu;

Pewno wyjechał przed porankiem z siola.

Zeleźniak z wieścią nie dał ujść nikomu...

Nad spokojnością srebrzystego czoła

Zdała się wisieć chmura pełna gromu.

Sawie się zdało, że trupa zobaczył —

Odszedł — białego konia rozkulbaczył.

Lzy strąca z oczu i klnie — a tymczasem

Potocki wielką gotuje wyprawę

Na hajdamaków, co pod blizkim lasem

Obozy swoje rozłożyli krwawe.

Z ranną mgłą myśli napaść i z hałasem,

Jak wrony, kiedy lecąc czynią wrzawę.

Ledwo na zamek spadły mgły wieczora,

Zaczął czarować kule Wernyhora.

Zamek zabłysnął we środku czerwono

Od wieklich ogni, gdzie lano ołowię;

Skry ognia, Nimfy, ognistą koroną

Wirzą się, wieżom siadają na głowie —

Płynących się chmur oczerwienia łono;

Czasami gwiazdy — jako Aniołowie

Przez czerwień chmury spojrzą srebrną twarzą,

Czasami skrzydło albo miecz pokażą.

Starzec trze lirę krwawą i wybucha

Z strun nieruszonych jakaś pieśń złowroga,

Tajemniczego pełna w sobie ducha,

Zakrwawionego pełna w sobie Boga...

Szlachta na szablach swych oparta słucha,

Kozactwo czasem odwracanie; aż trwoga

Pada na pany co przy stole siedzą

I smaczno chłodnik zabielały jedzą.

Jak Leonidas — co czarną polewkę

Jadł... w Termopilach. To mi porównanie

Przerwało nagle moją dziką śpiewkę,

I żmudne ludzkiej gliny pozłacanie;

Żupan tych ludzi musiał mieć podszewkę,

Albowiem złoto było na żupanie;

A jednak widząc, co jest dziś z narodem,

Boję się... aby wiatr nie był pod spodem

Żupanów. — Ja sam pilnie się otulam,

Aby nie podjął wiatr żupanu ducha —

Dlatego z myślą gdy najbardziej hulam,

Pod myślą są łyzy... łyzy — nie żadna skrucha!

Nad zabitymi ja się nie rozczulam,

Chyba że ogień z mógł ich wybucha,



Jak te Mojżesza iskier piramidy,  
 Co do ojczyzny wiodły nowej — żydy...  
 Z tych ciał otrutych przeze mnie zgnilizny  
 Sądzę, że taki słup płomienny wstanie  
 I zaprowadzi żywych do Ojczyzny  
 Prędzej, niż prorok... i wypowiedanie  
 Emigracyjnych wnętrz... Są różne blizny,  
 Których rozcięcie i poodmykanie  
 Więcej dobrego zrobi, jak ja sądzą,  
 Niż dowiedzenie przez księży, że błędę.  
 Wreszcie potrzeba czasu w różnych rzeczach,  
 Już jedni leżą, drudzy jeszcze kłęczą  
 Na wulkanowych czołach i na mieczach  
 Przed jakąś dziwną niewidzialną tęczą;  
 Co do mnie, ufam w słowiańskich narzeczach,  
 Że Boga w służbie wojskowej wyreczą,  
 I Narodowy Dziennik z całym dworem  
 Nie będzie nigdy niebios Monitorem,  
 Ani wojskową gazetą... Sam nie wiem,  
 Dlaczego mówię tak... lecz mam przecucie;  
 Czuję trumnianym pachnący modrzewiem  
 Naród, i w trumnie grające zepsucie...  
 A jednak — pod tym mogił chwastem, plewkiem,  
 Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie  
 Pod narodową słyszane mogiłą,  
 Jak gdyby serce ludu w kamień biło.  
 W północy — wstają mi włosy na głowie,  
 I zadziwiony słucham — i to słyszę,  
 Co muszą Boscy słyszeć Aniołowie —  
 Jakąś okropność przyszlą, co kołysze  
 Światem... i miastom zapala na głowie  
 Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę  
 Z ciemnego duchów świata list przestrogi)  
 Ludy, bo wkrótce będziecie jak Bogi.  
 Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,  
 To rozwiązaniem będzie... już na wieki.

A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?  
 Z was będą góry, doliny i rzeki  
 I morza, które wiatr na słońce goni;  
 Z was port zatraty będzie i opieki,  
 Z was będą cienie jak morza rozlane  
 Z was nad morzami słońca latarniane!...  
 Czujcie! bo tętno już waszego chodu  
 W uszach wysokich ludzi -- grzmi wyraźnie.  
 Na górach z cegieł i na igłach z lodu  
 Słuchałem... a duch swoją wyobraźnię  
 Przestroił wówczas na harfę narodu,  
 Me nienawiści dawne i przyjaźnie  
 Poddając twardej jedności... dlatego  
 Myśli me same się gryzą i strzegą.  
 Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa  
 Macie, z papieru złotego przyłbice,  
 Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,  
 I wami sławy wysokiej kaplice  
 Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa  
 Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,  
 Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!  
 Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie  
 Skąpiana w krwawej jutrzence wychodzi  
 Różana — a dzień będzie wtenczas biały,  
 Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi  
 I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,  
 Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi  
 W najwyższe czoła alpejskie i skały.  
 Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie  
 I śnić to o czem śnią... niech przy mnie stanie!  
 Na tych wyżynach ducha jest ponura  
 Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię  
 Ogień i maczam w ogniu orle pióra;  
 Tu na księżycu rumianego sierpie  
 Piękności dawnych nieśmiertelna córą  
 Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,



Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym  
 Stawia i czyni przede mną widzialnym.  
 Tak widzieliście próchnem wysrebrzone  
 Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,  
 Rumaki białe w polach wystrzelone —  
 Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.  
 Ariost by patrzył sam na te szalone  
 Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,  
 Rycerzy przy kielichu i w podróży,  
 Którym za cały czar — fantazyja służy.  
 Zaczarowanych palm tu niema wcale;  
 Dęby i sosny i brzozy rodzime  
 Odbite w stawów podolskich kryształach  
 Reprezentują mi nową Solimę.  
 Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,  
 Dla prawdy nagiej wielką mam estymę,  
 Do rymu nigdy sensu nie naginam,  
 Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.  
 Więc Mnemozyno, pomóż... niech przypomnę,  
 Gdzie mój bohater został? — Rzecz nie lada!  
 Człowiek co takie podróże ogromne  
 Odbył, ten musi jeździć jak ballada  
 Na upiorowym koniu: siodło skromne,  
 Dwie kości na krzyż, a tam gdzie się siada,  
 Mała czaszeczka ludzka co wyszczerza  
 Oczy błyszczące jak żar z pod rycerza.  
 Siodła dziś takie w modzie, oraz z czaszek  
 Robione w modzie są dzisiaj puhary;  
 Ja sam się złowić raz dałem jak ptaszek  
 I piłem z trupiej głowy tokaj stary;  
 O czem tak wiele już było baraszek,  
 Że... dalej, pani Muzo — okulary  
 Tęczowe włóż mi na nos; niech wypatrzę  
 Znow bohatera mego na teatrze  
 Wypadków. — Szekspir mówi, że to życie  
 Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;

Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie;  
 Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.  
 Mimo to jednak jest bardzo obficie  
 Złych dram... a pierwsze role, dane panom.  
 Najgorsze! — smętną uderzeni stała,  
 Bez żadnej rzymskiej gracy z nóg się wała.  
 I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni  
 W oczy błękitne albo w czarne oczy,  
 Rzucali duszę swą pełną płomieni  
 Z harfy westchnieniem. — Lecz nie... czerw ich  
 Śmierć ich zastaje w szambelańskich sieni [toczy!  
 W zielonym fraku!... czasem ich przeskoczy  
 W biegu tańcząca królowa szkieletów,  
 Takie zrobili niskie progi z grzbietów!  
 Ale czas wrócić już i do porządku  
 Przywołać rymy, chodzące samopas;  
 Poemat mój siedł tak dobrze z początku,  
 Kiedy był głodny — teraz, kiedy popas,  
 Zdaje się, że mu znow zabrakło wątku.  
 Każda z tych moich strof jak błądy topaz  
 Oszlifowany w różne kostki rymu...  
 Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.  
 Gdzieżem zostawił go? — Tak! przy księżycu  
 Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;  
 Zbroja błyszcząca na jednym szlachcicu —  
 Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.  
 Beniowski z miłym uśmiechem na licu,  
 Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,  
 Zsiadł z konia i rzekł: — Czy wolno zapytać,  
 Kogo mam honor i przyjemność witać?  
 Na to pancernik gruby, lecz ostrożny  
 Jak Litwin: — A Wać kto sam, Mości Panie? —  
 — Jestem Beniowski, rzekł, patrząc na rożny  
 Rycerz. — Tu drugi rozpoczął śpiewanie  
 Opowiadając, że się zwie Wielmożny  
 Borejsza, że ma wielkie zachowanie



U Radziwiłła i wieś do przeżycia  
 I bardzo grzmiącą w Litwie sławę — z picia.  
 Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie  
 Zaprosić Khana w całe sto tysięcy  
 Tatarów, wrzкомо tylko na niedźwiedzie,  
 Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcej.  
 W tym sensie książę Karol po obiedzie  
 Ręki swej własnej mordując książęcej,  
 Napisał list do Khana, w najdziwniejsze  
 Esy... i z listem wyprawił Borejsze.  
 Przydał mu także Tatara z pod Waki,  
 Syna jednego Mołły, na tłumacza.  
 Są to od dawna zagnieżdżone ptaki  
 W Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza  
 Pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,  
 Które na twarzach rycerstwo wytłacza,  
 Widome dotąd, z wieśniaczego lica  
 Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica.  
 Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,  
 To nieraz stanie i w dźwięk się zaslucha;  
 Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,  
 A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha  
 Mahometanśkich wojsk pędzone mary,  
 Idą na północ; a gdy kosa krucha,  
 Oselką tarta, na puszcę zabrzęczy —  
 Allach! il Allach! z puszcz, jak echo jęczy.  
 W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku  
 Palą się oczy — stepy przypomina  
 I słońce jakieś jeziora Kipczaku,  
 O których tylko wieść z ojca do syna  
 Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,  
 Który nad głową ludu już zaczyna  
 Gasnąć i zorzę zdejmować różaną —  
 Aż w ciemnej nocy — bez pamiątek wstana.  
 To wtenczas próżno już wśród mogił pola  
 Głupim poetom budzić lutnię smętną;

Zostawić lepiej ją skrzydłom Eola,  
 Nieprzewidziane z niej dobędzie tétno;  
 Lub skowronkowa ją przyszłości rola  
 Zaśpiewa pieśnią dziwną, nienamiętą  
 I tak spokojną, jak wiośniane szmery,  
 I tak wysoką, jak grające sfery.  
 Taką pieśń dziwnej do smutku podniety  
 Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,  
 Tuląc skrzydłami wygnańce. Meczety  
 I groby z dawnym koranu napisem,  
 Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,  
 Jakby wstawały na sąd przed Eblisem,  
 Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,  
 O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.  
 W powietrzu smętny półksiężyc blaszany  
 Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,  
 Za grobowcami prosząc co z pod ścian  
 Meczetu, jakby pochodnie jarzące  
 Palą się ogniem do Pana nad Pany,  
 O jego życiu i ranach i męce  
 I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,  
 Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.  
 Każda tych liter nieznajomych zgłoska  
 Zda się w ten kamień coraz głębiej wrywać.  
 Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,  
 Że umiem serca zranione odkrywać:  
 Ty na ten księżyc, który się tak troska  
 O groby swoje, musisz przylatywać  
 I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,  
 Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.  
 Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,  
 Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz  
 I słuchasz sosen smętnego hałasu,  
 A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,  
 Aż groby życia płaczące i czasu  
 Ty spokojnością swoją uspokoisz,



Jak smutny obóz kamiennych namiotów,  
 Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów.  
 Przy jednym z takich cmentarzy syn mołły,  
 Pan Abdulewicz Hamet się wychował.  
 Potem go ojciec dał, by pańskie stoły  
 Nakrywał, pańskie kolana całował.  
 Młodzieniec wyszedł z Radziwiłła szkoły  
 Jak flet przedęty; dzikie serce schował  
 Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem;  
 Piers — Radziwiłła nakrył karmazynem.  
 I myślał, że już jako kuropatwa,  
 Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,  
 Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,  
 Idąc z podjazdem, nie dojrzy, przeskoczy;  
 Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,  
 Ani też rybnie w lodowej przezroczystości  
 Znaleźć schronienie przed rybaka ością,  
 Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.  
 Łatwiej wulkanom wybuchnąć na morzu  
 I znowu cicho stać pod falną skałą;  
 Łatwiej kwitnącym różom na bezdrożu  
 Niebiosom liście i woń oddać całą,  
 Niżli na pańskim pijackim przydworzu  
 Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą  
 Ukryć! Tem bardziej tę strofę zaostrzę,  
 Mówiąc, że w księcia się zakochał siostrze...  
 Przypadki takie są zbyt gęste: Tasso —  
 Żukowski, ruski belfer i poeta  
 Który balladę odział wielką krasą —  
 Podług mnie jeszcze nie wielka zaleta...  
 W rosyjskich rymach trąci skwierne mięso,  
 A wiersze są — jak pasy zdarte z grzbieta  
 Knutem... prześliczny język, ale razem  
 Pachnie mi żywem mięsem i Kaukazem!  
 Lecz język piękny, pełny dyamentów  
 W Puszkynie, w panu Sękowskim podłości.

Dziś, jak słyszałem, pisze pan Lermentów,  
 Który pół życia na Kaukazie gości —  
 Takich do niego car doznaje wstrętów,  
 Do niego i do laurowej parości,  
 Która nietknięta nożem i nożycą  
 Może rość i być kiedyś — . . . . .  
 To o poetach ruskich. — Car jest wspólnik  
 Poetów, jest Minosem, Estetyką,  
 Szleglem; na niego patrzy pan Kukólnik,  
 Tragedyą jaką zamyślając dziką,  
 Za sceną bowiem stoi karaulnik  
 Z ogromną pałką, szablą lub motyką,  
 Z kibitką, z wielkim budników ogonem,  
 Jak Debats i Jules Janin felietonem.  
 Benkendorf-Review, pismo zdrowych sądów  
 Największy robi ruch w czasowych gwarach,  
 I sądzę, że ta konnica z wielbłądów  
 I z krzywych błądych ludzi w okularach,  
 Którą zjadł piasek nadkaspjskich łądów  
 I ziemia w spiekłych pochłoneła szparach,  
 Owa konnica do Chiwy dramatów  
 Posłana, była wojskiem z literatów.  
 Czysty Furyeryzm i zastosowanie  
 Falang do krajów nieznananych zdobycia!  
 Szkoda, że w piasku zginęli bałwanie  
 Ci w kutach ludzie biedni co odkrycia  
 Mogli porobić ważne. — O! Słowianie!  
 Długoż pod knutem wytrzymując bicia,  
 Drżąc jak otruty pies co tylko skomli,  
 Będziecie słuchać grających na dromli  
 Poetów?! — Piszczą, jak pod korkiem szklanka,  
 Na jakąś dziwną nutę, niby świeżą;  
 Prawda i piękność stoi jak wygnanka,  
 Harfa się stała skrzypką, urna dzieżą.  
 Tam znów uczony miły Czech, pan Hanka  
 Pieczętuje się... tu mi nie uwierzaj



Hermafrodyty Słowiano-Polacy,  
 Ze na pieczętce Hanki są — kozacy!  
 Pod Kozakami służy mu za motto  
 Słoweczko małe, lecz bardzo dobitne:  
 Въпередъ... Nadzieja jest nadzwyczaj złota  
 I mędrca w sfery unosi błękitne.  
 Chciałbym, ażeby — nim mu Parka Kłoto  
 Nić życia i badania starożytne  
 Przetnie — ażeby mu zrobili rajem  
 Ten świat kozacy jego dwaj — z nahajem!  
 Nie wiele żądam: aby w jego domu  
 Postojem tylko stanęli dwaj Dońcel  
 Bóg widzi, złego nie życzę nikomu  
 I tych co ludom zapalają słońce  
 Laurami, radbym ochronić od gromu;  
 Innych co jako piekła są obrońce,  
 Radbym uczynić na tem lauru drzewie  
 Liśćcami... Strofę tę pisałem w gniewie —  
 Czy zmazać? — nie! na Boga! niechaj stoi  
 W dantejskich moich strof gryzącym tłumie!  
 Czech co kozaków myślą w Renie poi,  
 Choć Niemiec, może głos ludzki zrozumie.  
 Ja wracam pod las, gdzie rycerze moi  
 Jedzą — przy dębów rozmawianych szumie  
 Siedząc na srebrnej księżycowym lewadzie,  
 Kwiatami wonnej. Już miesiąc się kładzie  
 Do snu, a oni jeszcze zgodnie gwarzą,  
 Jaki to będzie wiek dla Polski złoty,  
 Gdy z niej Barszczanie całą hańbę zmażą,  
 Wyrzuca Moskwę i króla za płoty.  
 Tatar, na księżyc obrócony twarzą,  
 Przemawia hymnem czarownym tęsknoty  
 Do miesięcznego blasku, i uśmierza  
 Serce słowami wielbłądów pasterza.  
 O! ileż razy, ognisty proroku  
 Boga, wśród twoich wielbłądów klęczących,

Z księżycem srebrnym w rozgorzałem oku,  
 Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących  
 Wychodził krwawy par nakształt obłoku  
 I szedł po stepie... Królu konających,  
 Wiara twa odlatuje i zostawi  
 Hymn taki smutny, jak echo zórawi!  
 Wkrótce Słowianin z twoich wież postraca  
 Śpiewaki, Boga śpiewające imię;  
 Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,  
 Na piersiach twoich odalisk zdrzemnie.  
 Na falach twoich twoja flota drżąca  
 Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;  
 Chciałaby zakryć twoje piersi całe  
 Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniało.  
 Próżno — o próżno! rany tajemnicze  
 Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;  
 Twoje mi śmiercią już blade oblicze  
 Umarłych moich ojców przypomniało  
 I tę godzinę, gdy byli pod bicze  
 Dani, jak Chrystus... i gdy w nich konało  
 Serce... i gorszą jeszcze, niż skonanie,  
 Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.  
 Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,  
 Co się nad tobą teraz rozpostarła,  
 Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę  
 Serceś mi wzięła, moje łyzy wydarła!  
 Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,  
 I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,  
 Ani się podłym ulęknieniem spodlisz,  
 Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!  
 Niech ci zgon będzie słodki — a w pustyni  
 Pod namiotami kiedyś Arab stary  
 Powieścią swoją wielki płacz uczyni,  
 Twe księżycowe śpiewając sztandary,  
 Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni  
 Przeciwno złotym krzyżom innej wiary.



Arabcy ogień obsiedą stepowy  
 I będą słuchać, smutne chyląc głowy;  
 Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,  
 Które od wieków nie zmieniły chodu  
 I są dla ludów rodzonych, jak znaki,  
 I takie same po zgonie narodu.  
 Tymczasem płomyk wstający z kulbaki  
 Palcami gasi olbrzymi król lodu —  
 I gaśnie państwo białego księżycy,  
 Jak w poemacie Dziadów w druga świeca.  
 Pieśń moja gaśnie także, z tej posępnej  
 Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;  
 Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej,  
 Że coraz wyżej w krainy błękitu  
 Prowadzi — a więc do pieśni następnej  
 Odsyłam wszystkich ciekawych pobytu  
 Ambasadorów moich wśród meczetów  
 I gór co mają wszystkie kształt sonetów.  
 Więc tu, kochany czytelniku, chciej się  
 Zatrzymać nieco, odpocząć wraz ze mną.  
 Jeśli wesół jesteś — z ludzi śmieję się;  
 Jeżeli smutny, wiedz, że się daremno  
 Smucisz. Gotuj się być na Kikinejsie  
 I Czatyrdachu; w noc zupełnie ciemną  
 Samego z moją Muzą cię zostawię,  
 Jeśli przyrzeczesz, że... (żałuję prawie,  
 Żem wyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie  
 Ojców, że... zresztą, jako chcesz: dość stara,  
 I panna!... zaraz mówi o hymenie,  
 Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara  
 Złowiłaby za skrzydła i sumienie;  
 Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,  
 Majątek... i wnet łączy się akkordem.  
 Mówią, że już raz była za milordem.  
 Tak mówi Dziennik Narodowy; — przeczę!  
 Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewczicą!

Nawet zaręczam... Lecz oczyma piecze,  
 A głowę nosi swą pod błyskawicą.  
 Dlatego chociaż mnie przed ołtarz wlecze,  
 Wolę w ciemności żyć, niż z taką świecą  
 Usque ad mortem... kirielejson kirie!  
 Nie żonę mieć przy sobie — lecz Walkiryę.

## PIEŚŃ VIII.

Jak zajechali me ambasadory  
 Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza  
 Mówił, że spotkał na stepie upiory,  
 Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,  
 Z bodiaków wielkich i kolących bory,  
 Od których puszcza białowiejska mniejsza;  
 W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy  
 I ludzie, którzy mają płaskie nosy.  
 Później to w Litwie o swojej podróży  
 Mówiąc, jak Ariost jaki nierymowy,  
 Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy  
 Płynąc podpierał i dopłynął zdrowy.  
 Jak spotkał rybę co łeb miała kurzy,  
 A zresztą była kobietą prócz głowy,  
 A ogon wielki gdyby u Sylena —  
 Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!  
 Na co Borejsza zgodził się — u stołu  
 To było — wtenczas wszystko prawdą zda się;  
 Mówił, jak chciano go chmurą popiołu  
 Zdusić na wieży, a on się po pasie  
 Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu  
 Sztukując; potem napomknął w nawiasie  
 I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej  
 Przyczyną był — mąż jeden trzy-buńczuczny  
 I rogal; bowiem o jedną godzinę  
 Spóźnił się ze swą popiołową wieżą.  
 Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,  
 Mrugał oczyma: Niechaj mnie uderzą



Pioruny, jeśli kłamię! — niechaj zginę!

Zakłęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą...  
Lecz w owym czasie dobre i bezpieczne

Wśród ludzi, którym już dziś światło wieczne  
Przyświeca. — Mówi wszakże pan Trentowski,

Że nie należy kłamać... ja tak sądzę;  
I ten poemat drukując bez troski

O duszę moją, nigdy w nim nie błędę;  
Wszystko jest albo prawda, lub sen Boski,

Przez odemknięte słoniowe wrzeczadze,  
Jak mara z tęczy, z niebios wychodząca  
O cichej porze, przy blasku miesiąca.

Zamykam oczy i widzę i piszę

Co widzę. W jednym zrujnowanym khanie,  
Przy którym smutna palma się kołysze,

I źródło szmerem swym radzi na spanie...  
— Wszystko na wschodzie ma ogromną ciszę,

Wszystko ze światła złotego ubranie,  
Mury ze złota zdają się, choć glina  
Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwne desenie lekkości  
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;

Wszystko się zdaje ze słoniowej kości,  
Że od nimf było niesione na rękę

I postawione wśród palm zieloności  
Cudownie, wśród harf aniołowych dźwięku,

Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,  
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W khanie więc, który dawniej był moskita,  
Dziś khanem (tak się zwie karczma na Wschodzie)  
Pod jedną wielką framugą rozbitą,

Gdzie wierzchem niebo w słonecznej pogodzie,  
Jak turkusowy szlak, albo koryto

Szklane, zrobiony wodociągów wodzie,  
Spokojnie płynie nad głową podróżnych:  
Ambasadorzy w kształtach bardzo różnych;

Ci leżą, inni siedzą — trzech ich było,

I czas spędzali swój nie najzabawniej;

Serce w nich troska, utrapieniem było,

I chleb swój własny jedli najniestrawniej,  
Polskę czuć było już wtenczas mogiłą,

Nie przyjmowano już posłów jak dawniej,  
Lecz jak żebraka albo jak natręta.

Witały małe w ruinach ptaszęta:

Wróbel wesołem witał świergotaniem,

Może dlatego, że jadł kiedyś zboże  
Polskie; jaskółka, że pod stalowaniem

Polskiem rodziła się przy jakim dworze;  
Jeżeli żóraw — to z powinszowaniem

Przyleciał, spytać na cudzym ugorze

Posłów w podartym chodaku i szacie,

I smutnym śpiewem wrzasnął: — jak się macie?

O! miecza w ręce... jeszcze raz! i na te

Krainy dajcie runąć z krzykiem Hunna!

Wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,

Niech nam Czarnieckich całych odda truna!

Godzinę tylko, Boże, niech brodate

Z mogił powstaną dziecińcy Peruna

I hej! przez dawne Attyli bezdroże,

Godzinę tylko życia, wielki Boże!

Za tę godzinę, ja oddam ci... Nie wiem,

Co mógłbym oddać Bogu?... Anioł zgonu

Przyjdzie po wszystko i pod różokrzewiem

Albo pod liściem drżącego jesionu

Położy żądry spalone zarzewiem

Ciało bez żadnej myśli i bez tonu,

Serce bez bicia, czy bez światłości,

I zostawi tu nad niem... duszę kości.

Dwie są albowiem podług Niemców: jedna

Duchowa, leci od ciała daleko;

Druga się błąka tu nad ciałem, biedna

Płacze, Styxową przedzielona rzeką



Od siostry... aż kto pacierzem wyjedna

Lub ją Anieli od ciała odwleka

Za włosy z cichej, różanej mogiły:

Tak kocha ten dom młodości i siły...

Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni.

Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się

O Sarpedonie mówi śpiewak, bratni

Mickiewiczowi — ale miał w kirysie

Rycerzy, którzy byli bardzo stratni

I szafowali siłą, życiem; gdy się

Zmienili trochę Litwini dzisiejsi,

Będąc troszeczkę lepsi — ale mniejsi!

Jednak w tej cudnej epopei żyją;

W ich lasach trąba gada... Boskie trąby

Odzywają się wnet w sosnach i wyją;

Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby

Cofa się; patrzcie, jakie wianki wija

Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewczosłęby;

Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie

Litwa ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą

Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,

Iż myślisz dotąd, że to echo grało,

A to anielskich był głos Serafinów.

Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!

Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,

Ani mógł morza wiosłami zamącić,

Ani księżycą z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali

Jakaś ogromna ciemności stolica;

Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:

To czas się cofnął i odwrócił lica,

By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,

Która takimi tęczami zachwyca,

Takim różanym zachodzi obłokiem...

Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.



Krajobraz z nad Jordanu.

Ale ten napis łatwo startej kredy  
Niechaj zostanie! a ten, co przeczyta,  
Niech sobie wspomni, żem na piramidy  
Wchodził i deptał to na czym czas zgrzyta;  
Ze nieraz końcem Pelidowej dzidy  
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.  
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,  
Syty — wlaźł znowu pod tarczę Minerwy.  
Nie budźcie, niech śpi! — Mówilem więc w rymie,  
Jak moje posły w starym siedzą khanie;  
Borejsza w upał południowy drzemie,  
Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiewanie;  
Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie  
Buduje w myśli: — dziś ma posłuchanie  
U Khana Krymu, u Kierym Giraja;  
Gotuje się więc z mową i zaczaja.  
Przypomniął sobie wszystkie z retoryki  
Figury; Khana chce podejść wymową —  
Przypominając, wyszedł na brzeg dziki,  
Gdzie słońce było mu nad samą głową.  
Zdała szum morza i żórawiów krzyki  
I Bakczysaraj z koroną palmową,  
Z minaretowym lasem, stał pod górą,  
Lekka gołębi migocących chmurą  
Owiany. — Smutno! o smutno samemu  
Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,  
Śpiewając ciągły hymn nieśmiertelnemu,  
Który pustynię roześwieca bładą  
Gorącym słońcem! smutno tam jednemu  
Z europejskich pamiątek gromadą  
Wśród gorącego pustyni kobierca  
Błądzić z strzaskanem sercem, lub bez serca...  
Jednak jest jakaś duma, co podnosi  
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie  
Wicher nieszczęścia ich jak liście nosi —  
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie



Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi

Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie  
Bez śladu, wzięwszy pod swych skrzydeł loty,  
Jak zwiewa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,  
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola  
Oślania groble; że zawsze i wszędzie

Dusze kochanków, jak harfy Eola  
Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,

Latają razem, choć je smutna dola  
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;  
Wiedział to, i te wszystkie porównania.

Pełny więc melancholii szedł po brzegu;

Wtem ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy  
Patrząc... I mój rym także stanął w biegu

A nim opisze tę rzecz, słowa waży.  
Niech mi żórawie zabrzmią hymn noclegu,  
Niech pełny księżyc krwawo się rozżarzy  
I stanie jedną czerwoną pochodnią  
Nad 'wiedźmy temi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach czarnych, z pod zasłony

Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,  
Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony  
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą,  
Śpiewają dziwnie i dziwnymi tony

Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą,  
I palą dzikie bladym ogniem zielska.  
Pomiędzy niemi główeczka anielska.

Główeczka tylko leży, ale żywa;

Oczki błękitne w niej ciągle latają,  
Czasem się z ziemi jak gołąbek zrywa,  
Złote jej włoski już powietrze kują  
Jak dwa skrzydełka; ale rzecz straszliwa,

Złęknione złote piórka opadają,  
Nie mogły podnieść z ziemi białej róży,  
Która zasypia — i znów oczka mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota

Leżała w mocy czarownic zaklęta;  
Rzuciły ciągle na nią garści błota,  
Mogła z piasku, jak bąbel wydęta  
Wstawała... z ognia piramida złota  
Lub jak kręcony miecz, z płomieni kręta  
Stała z ogromną powagą ogniową  
Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli — brzęk żelaza  
Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża  
Odlatywały żółte jak zaraza,

Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;  
Na piasku żadna nie została zmaza,  
Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,  
Tylko ta główka leżąca na ziemi  
Z oczkiem niebieskiem i z koralowemi

Ustami... Oczki otworzyła, żywa

Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem,  
Jak rycerz, który do szanica się wrywa,  
Wołając... polskim wołając językiem:  
Stójcie! to zemsta jest jakaś straszliwa!

To pewnie jaki Basza z sercem dzikiem,  
Syrjczyk, lub Cyliczyk, lub Natolak!...  
Na to krzyknęła główka: Ach! pan Polak?  
Beniowski stanął i otworzył usta.

Gdyby weń piorun uderzył, nie więcej  
Złakłoby się; ale trwoga była pusta,  
Poznał to zaraz rycerz najgoręcej  
Zagrzany; wnet mu stanęła Prokusta

W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcej  
Kobiet z historii dawnej, starożytnej,  
I na szabli się oparłszy błękitnej,

Rzekł: Polak jestem... tak, i Podolanin,

A ty kto, biedna? — Ja także z Podola,  
Rzekła; targuje mnie teraz poganin,

W haremie ciężka czeka mnie niewola!

Obaczył mnie już także Moskał Panin

U tutejszego na poselstwie króla.

I ten mnie także kupić chce, targuje;  
Ale ja skonom albo się otruję.

Jestem szlachecką córką, dom nasz cały —

Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?

Hajdamaki nas w dzień napadli biali,

Ojca nie było, my same w komorze

Kobiety, kiedy rznęli, my krzyczały,

Matkę i babkę i maleńkich — Boże!

Nie mogę o tem ja oświecić pana,

Ja patrząc, byłam sparaliżowana.

Kozak mnie jeden, jak kawałek drzewa

Wyprostowaną wziął, i dał popowi;

Pop kupił, teraz przedać się spodziewa,

Jeśli mnie piasek ten wrący uzdrowi.

Codzień mnie błotem, jak widzisz, odziewa;

Codzień mnie straszny dreszcz przechodzi mrowi

I we łzach oczy się nieszczęsne topią,

Gdy mnie w ten piasek włożą i zakopią.

A jednak biedna lękam się ozdrowieć,

Udaję zawsze martwą i kamienną.

Oto jest cała moja, panie, spowiedź.

W tem błocie skwarnem leżąc, jestem senną;

Od słońca tego lękam się osowieć,

Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną.

A jeszcze gorzej, gdy noc, chociaż zdrowa,

Nie śpię — w mogile mnie pop na noc chowa.

Stary turecki jakiś domek trupa

Na górach stoi z okrągłą kopułką,

Tam jest nade mną nietoperzów kupa

I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką;

Na drzewie także coś ciągle kołupa,

A okno jedno nad glinianą półką,

Gdzie mnie położą, a drzwi zawsze strzegą,

Świeci księżycem, jak twarz umarłego.

O panie, ratuj mnie! choćby potrzeba

Samej się bronić, w noc uciekać ciemną...

Beniowski przerwał: Niech ogniste nieba!

Wstawaj Acanna z ziemi i chodź ze mną,

Znajdziesz schronienie i kawałek chleba,

A ja przybyłem tutaj nie daremno,

Jeśli Bóg przez mnie sierotę wspomaga...

Wstawaj! A ona rzekła: jestem naga —

To rzekła cicho i głosem dzieciny;

A rzekłszy, cała się ogniem zażęgała,

I krew, jak jeden za drugim rubiny,

Po ustach wstydem rozpalonych biegła:

Szyja się także stała u dziewczyny

Różaną — ale ziemia reszty strzegła,

Ziemia ognista, i nie pokazała,

Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął, potem zbiegał —

Widać, że szukał w głowie prędkiej rady;

Oczyma smętny w różne strony strzelał,

Czuł, że rycerzem był dziwnej ballady.

Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał,

Postąpić naprzód, wdaje się w układy

Z młodzieńczym wstydem, rozważa człowieka;

Wtem główka wrzasła: Aj! niech pan ucieka!

Na ten wrzask rycerz obrócił się, patrzy —

Z pospólstwa chmurą leci pop na czele;

Rycerz za pasem miał naboju na trzy

Głowy; pomyślał sobie, że nie wiele.

Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy

Pierwej na siebie, niż nieprzyjaciela;

I stanął, patrząc srogo na pohańce —

Była to chmura kobiet i rzezańce.

Turecki jeden święty, cały nagi

I krzywy, oczów pokazywał białka,

A w rękę jego była wielkiej wagi

Sękata z drzewa Darfurskiego pałka;



Tłum cały sobie dodawał odwagi  
 Wrzaskiem; lecz w tłumie tym nie było śmiałka  
 Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem  
 Na twarzy, gotów siec po grzbietach płazem.  
 Wtem niespodziana rzecz! Gdzie indziej błoto  
 Rzucają, albo kamień, lub kartofel  
 Chmury — w krainie, gdzie między hołotą  
 Zjawia się jaki szary Mefistofel;  
 Na Wschodzie biała pleć, która jest złota,  
 Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)  
 Zdejmuje z pięknej nóżki, i zwycięża  
 Pantoflem gacha, lub wroga, lub męża.  
 Coby powiedział pan Trentowski, który  
 W swych Aforyzmach ostrzega małżonka,  
 Że każda piękność nowa tej struktury,  
 Jakiej Klorynda była Amazonka,  
 Chociażby piękną była jak Ahury,  
 A miała tyle cnót co Jagiellonka,  
 Dlatego właśnie, że jest taka chrobra,  
 Nie jest na żonę zdatna ani dobra.  
 Coby powiedział — widząc tę gromadę  
 Z bocianią czarną na nosie kitajką,  
 Z którejby każdą wziąć mógł za Palladę,  
 Zwłaszcza że dzida jest u Niemców fajką!  
 Niech mówi co chce — a ja dalej jadę  
 Z tym poematem, powieścią czy bajką  
 I w miniaturze ten bój, jak Izabej,  
 Dam — lecz z szacunkiem zawsze dla płci słabej.  
 Więc, jak mówiłem, już chmura babuszków  
 Czerwonych nagle zaćmiła powietrze;  
 Świstać zaczęły smutnie koło uszów  
 Jak afrykański tuman, gdy się zetrze  
 Z tumanem. Naksztalt pierwszych kartelusów  
 Pantofle naprzód przyleciały lepsze,  
 Potem ze starych nóg, ciężkie, schodzone,  
 Podbite ćwiekiem, żółte i czerwone.

Jak bomby w ogniu rozgrzane, lub w burzy  
 Z wulkanów głązy, lub aerolity.  
 Gdyby z kochanek nóg — listkami róży  
 Takimi chciałbym być nawet zabity  
 Jeden mi taki trzewik teraz służy  
 Za lampę; płomień wspomnień w nim ukryty  
 Gore... w różowym ujęty atlasie,  
 A tak maleńki jest, jako oko w asie.  
 O! gdyby takie, z listków róż robione  
 Sylfów trzewiczki padały mu w oczy...  
 Pewnie by krzyknął: niech w różach utonę,  
 Niech mnie nakryją, niech mnie blask zamroczy!  
 Ale ogromne babusze czerwone,  
 Jak ogień albo grad co żyto tłoczy,  
 Albo pioruny z alpejskich obłoków,  
 Albo też chmura latających smoków,  
 Z dołu i z góry krzyżują się, lecą —  
 Świata nie widać, słońce nawet ćmi się.  
 Próżno w nim gniewy się gorące nieca,  
 Żęby o żęby zgrzytają tygrysie;  
 Zamyka oczy — one ciągle miecą  
 Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się;  
 Zrazu się wahał — potem się ośmielił  
 I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.  
 Wrzasnęło wojsko więdźm, turecki święty  
 Upadł i zaczął wic cię, paralityk;  
 Lecz pop prowadzi znowu na bój wszczęty  
 Baby — szanowny pop — jakiś polityk,  
 Który chciał, aby pan poseł był wzięty,  
 A stąd przed Khanem by uniknął krytyk  
 I kar na popy we wschodnim kościele,  
 Których oskarżą de raptu puellae.  
 — Jaki wstyd będzie, krzyczy, gdy Giauirowi,  
 Co widział Khana małżonkę w kąpiei,  
 Zostaną oczy we łbie! Co Khan powie?  
 Jak się z was będą małżonkowie śmieli!

Ranioną babę święty wnet uzdrowi;

Ja dam na tytoń. — Tu blask karabeli  
Mignął mu w oczach; uderzony płazem  
Padł okręcony jak wężem — żelazem.

Taka w niej była giętość, w owej szabli,  
Którą Beniowski przypasał do boku  
Mścić się Ojczyzny. Więc nakształt korabli,

Łamał się rycerz wśród szarego tłoku;  
Aż czuł coś we włosach nakształt grabli

I coś kocięgo razem uczuł w oku,  
I coś cięższego obciążyło łokcie —  
Były to ręce kobiet — i paznokcie...

Reszta tej walki i rycerza wzięcie

Nie opisane jest w mojej kronice;  
Sądzę, że gdyby nie miał był na wstręcie  
Rąbać pałaszem takie czarownice,  
Byłby zwyciężył. Więc na dyamentcie

Rycę tę szlachetność lwia! Jeśli krytyce  
Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,  
To odwołuję się wnet zaraz do dam.

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,

Niech utyskują na los, piszą treny;  
Niech ten kawałek paznokciem naznaczą  
I odczytują w dzień słoty, migreny.

A pewnie same sobie wytłomaczają,

Dlaczego dał się wziąć przez te Syreny;  
I rzekną: ach nieszczęsny — to go broni,  
Że na tę biedną pleć nie podniósł dłoni!

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejszą

Rzeczy i muszę rzucić bez obrony;

A sam do Khana prowadzę Borejszą,

Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.

Gdzie o Ojczyznę chodzi, rzeczy mniejsze

Muszą ustąpić — więc choć zasmucony

Rycerza mego wzięciem... kropki kładę,

A sam Borejszy śpiewam ambasadę.

Khan krymski Kierym Giraj, jak cytryna

Złoty... wasy miał długie jak sum, kare,  
Ciało na szyi, jak czerwona glina,

A oczu kocich, jasnych, takich parę,  
Jak u tygrysa — dobry starowina,

Ale o buńczuk bardzo dbał i wiare;  
Ministra także miał przy swoim boku,  
Oba siedzieli jak duchy — w obłoku.

Rzekłbyś, że Pluton z brodatym Charonem

Siedzą i palą tytoń — w środku sali

Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem,

Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.

Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem

Do ust im laźły, a oni je ssali,

Smakując bardzo to, co bursztynową

Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu,

Choć nad głowami wisiała framuga:

Widać im było i błękit na morzu,

Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pługa;

Widać meczety, w których to dwurożu

Dyamentowe światło wiecznie mruga,

Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie

Pała różowy brylant — na turkusie.

Jak turkus bowiem było niebo wschodnie,

A turkus nawet taki bardzo rzadki.

Tatary moje więc siedzą wygodnie,

Nie ściany mając wkoło, ale kratki

Z drzewa, przez które czasem jak pochodnie

Łysnęły... oczy panny lub mężatki,

Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże —

I usta, czasem nie usta, lecz różę.

Ciekawość taka żonom pozwolona

Na Wschodzie, byle twarz zakryły samę,

Pokazać czasem wolno trochę łona

Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę —



Ale twarz zawsze ściśle zasłoniąca,

Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci płamę.  
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie  
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze... nie w kobiecym stroju,

Lecz w poetycznych szkołach; ale szkoda  
Na świergocące te wróble naboju.

Niech katolicka płynie sobie woda!  
Niechaj używa wiersz dawnego kroju!

Niech epopeję nam piszą z Heroda,  
Z biblji całej porobią obrazki

I o potopie też napiszą... skazki!

Co do mnie — wolę Rafaela łoża

I te sufity, gdzie nad ludzką głową  
Wisi w tęczyowych blaskach dzieło Boże,

A taką sztuką odświeżoną nową,  
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,

Lecz o Jehowie będąc — jest Jehową,  
Iskierką Jego treści dotykálną,  
Ludzkim filarem wspartą i widzialną.

I kiedym w górę spojrzał, to przestraczem

Zdjęty myślałem, że w braku sufitów  
Niebiosą wiszą otwarte nad gmachem

I te kolumny są bez żadnych szczytów.

I chciałem myśli tytańskiej zamachem

Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,  
Gdzie powtórzone wisi Boskie dzieło  
I trwa... a nasze co chwila — zginęło.

O tymto cudnie malowanym gipsie

Mówił Jan święty: że będzie zwinięte —  
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie.

Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,  
A Bóg światowi powie: w gruzy syp się!

A grobom powie: stójcie odemknięte!

A tym sufitom: skrzydłami się nieście

W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina

Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!

Na tożto przysłał Bóg Attyli syna,

Aby gitary tam dźwięk taki marny  
Rzucił na wiatry?... a tam jednak glina

Z Grachów... i z duchów stoi obłok czarny

Na Kolosseum; księżyc je upiększa,  
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z takąto koroną

Stoją ruiny, czarne i zębate.

O! prawda, że tam ptaszków pełne łono,

Że im powoje stanęły za szatę;

Że tam krzyż дума — i gromnice płoną;

Że tam, kędy lwom odmykano kratę,

Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec)

Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec —

Rzuca się, pieni, klnie: i Carbonari

Krzyczy, la gente d' inferno! i zgrzyta —

Sam jak hyena jest albo wilk szary,

Na żar położy więźnia i wypyta;

Do domu nakształt dymu albo pary

Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,

Pieczenie zawsze nadybie gorącą,

Spowiada panią... uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli

I z pyłu lice odsłoni pomnika,

Z pyłu co leciał przed wojskiem Attyli,

Przed kopytami Hunnów, Alaryka

I nakrył dawne miasto, nim przybyli;

I jako ten grób, co się sam zamyka,

Zniknęło, cudzej uchodzące właści

I utonęło przed mieczem — w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała

Pyta się biedna cicho: a co w Rzymie?

Czy mi czas było, aby zmartwychwstała?

Czy macie jakie na grobowcu imię,

Abym go strzegła ja i nad niem stała,  
 Ja co widziałam mogiły olbrzymie  
 I wiem, co dola ludzi niepowrótna,  
 I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna...  
 Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi  
 I stawia znowu czołem na gwiazd wianek.  
 O mój Bohdanie! — ja ci tam posagi  
 Pokażę smutne piękniejszych poganek;  
 Ja ci pokażę dawne wodociągi,  
 Co idą, jako tłum Samarytanek,  
 Niosąc na głowie dzbany, korowody  
 Dzbanów! lecz wszystkie na głowach bez wody...  
 Choćbyś był jako Chrystus upragniony,  
 Pić ci nie dadzą, zostawią u studni;  
 Ja ci pokażę od Tybrowej strony  
 Rzym co się myciem swej bielizny trudni,  
 A nie trudni się obmyciem korony,  
 A syczy, kiedy się dzień rozpołudni  
 I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,  
 Jak wąż co głowę ma na kłębku ciała.  
 O miserere! jam go widział z góry  
 Et de profundis — wiem, jak widać z grobu!  
 Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,  
 A w rękę uschły kwiat — z świętego łobu;  
 Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,  
 A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,  
 Dominikańskim mieniący się jadem,  
 A każda w nim nić — czartem albo gadem.  
 O mój Bohdanie! pod ten, co się skłębia  
 Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,  
 Ty lecis z dziwną prostotą gołębia,  
 Chciwy napoju — i blasku i strawy...  
 I myśli się twój koń trwogą nie zdębia!  
 Żeś jest niewinne dziecko — znać z postawy:  
 Dlatego piecza i strach mi o ciebie,  
 Bo ten okropny duch zegnaniem — grzebie...

I byłem mędrszy z zórawi łańcucha,  
 Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;  
 A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,  
 Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;  
 Ja wtenczas silną różdżką mego ducha  
 Co w środku ma kwiat — choć okryta lodem,  
 Zakląłem źródła, tak że w tej potrzebie  
 Anioły złote mi dwa dały siebie.  
 Z tęczy co wiecznie swoją wstążką pęta  
 Skrzydła fontannom i włos im ubiela,  
 Wyszły Anioły przewodne, bliźnięta,  
 Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;  
 I tę kopułę, która już pęknięta  
 Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,  
 Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem,  
 Jej bym nie zwałił gromem, echem, płaczem.  
 Więc póki stałem pod ogromną banią,  
 To ją trzymała para jasnolica;  
 Wysokość — z niebios równałem otchłania,  
 Bo ta kopuła — to Alp rówieśnica!  
 Chmury stukają w okna, idąc na nią,  
 I do kościoła wchodzi błyskawica,  
 Za nią pioruny, te nawałne wodze,  
 Spotkawszy kościół powietrzny — na drodze.  
 Potem bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,  
 Puszczo i sosnom błady opowiada:  
 Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,  
 I kościół w chmurach stoi i nie spada —  
 Choć ja i wichry, — moi towarzysze,  
 Ja i me dzieci, piorunów gromada,  
 Bierzem go w ręce, w skrzydła z kolumn rwiemy  
 I tu na puszcze litewskie niesiemy.  
 Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,  
 Tu na piorunach czerwonych przyleci;  
 Marzanny w nim się zagnieżdżą łąbędzie  
 I orły będą w czerepie mieć dzieci...



Tak mówi Perun — ja wiem, że zdobędzie

Błyskawicami to co próchnem świeci;  
Dlatego bronil gmach od zaginienia  
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacź, Cezarów mogiło,

I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,  
I ty, wisząca na powietrzu bryło,

I wy, kolumny, jak Pelejad wianki  
Stojące w chmurach... i ty, świata siło,

Krzyżu pokorny! i wy, dawne szranki,  
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem,  
Wybacźcie, żem się na was oparł czołem...

Strudzony byłem i smętny — lecz znowu  
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,

Znów do mojego powrócę narowu,

Do pieśni, ludzi malować i ziemię;  
Znów do krymskiego pójść półostrowu,

Rycerzy moich posadzić na strzemię  
I nieść w pożarne Ukrainy łuny  
Tych, którzy na mój głos powstałi z truny.

#### PLEŚŃ IX.

Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem

Staął: przeżegnał się naprzód dwa razy

I staął prosty jak drąg przed Dywanem

Z tłumaczem, który czekał na rozkazy.

Potem się ze swą godnością i mianem

Zaprodukował i rzekł te wyrazy,

Które w lot muza nieśmiertelna chwytą:

Daj temu psu list księcia — niech przeczytał

To mówiąc, papier wydobyl z cholewy,

I podał ów list dziwny przez tłumacza;

Minister, który stał jak anioł lewy,

Wziął list i wejrzał weń okiem puhacza.

Litery były w nim rajskimi drzewy;

Pomalowany był, jak pasmo tkacza,

Gdy na czółenka różnych blasków bierze  
I nicią złotą przerabia szkaplerze.

Dyabełki miasto liter, dziwolągi,

Floresy różnym świecą atramentem:

Z tych arabesków były różne ciągi,

A list fantazyi był dziwnym odmetem.

Książę się Karol pisząc kłął, że ongi

Sam u Sultana z młodu był skrybentem;

Na słowo szlachta zaręczyła dziarska,

Że po turecku pisze — lecz z tatarska.

Ale minister Khana na kulasy

Spojrzawszy i te dziwne malowidła

Ujęte w różne klucze i nawiasy,

Gdzie A chwytalo wielkie B za skrzydła:

Skręcił na palec wasy dwa jak pasy,

I twarz mu dziwnie pomarszczona zbrzydła,

I ząb mu koci zaczął o ząb zgrzytać;

Na co pan poseł rzekł: — nie umie czytać!

Ani przypuścił, by pan na Nieświeżu

Nie umiał pisać: czekał więc responsy.

Wtem przyniesiono wielki pilaw ryżu;

Minister kręcił papier — a Khan wasy.

W Krymie nie śpieszą się tak, jak w Paryżu;

Gardzą tam słowa prędkimi i płasy;

Wypadkom Bożym otworzona brama,

Rzecz każda robi się... aż robi sama.

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety

Piją, i palą czarny tytoń dżebel;

I pasa noszą złote amulety,

Świat uważają ten za smutny szczebel

Do nieba. W myślach nie grzebią jak krety,

Pod katolicki też nie biorą hebel

Mądrości; lubią wiersze pełne słońca

I poematy trwające bez końca.

Wniesiono więc ryż i przyszły śpiewaki;

A pan Borejsza do Abdulewicza:



To polityki wielkie te sobaki!

Nie chcą od razu nam trzasnąć, jak z bicia;  
Co odpowiedzieć, myślą, na list taki.

Ja zaś z mojego pokażę oblicza,  
Że nie dbam o nich; lecz proszę Acana,  
Wyzwij ode mnie ich na próbę dzbana.

Jeśli nie szelmy i nie knują zdrady,  
Niech w wino zajrzy ta wąsata mordala!  
Zwycięzonemu ja podam układy,

Do mnie należeć będzie złota Orda;  
Ochrzczę psów, będę chrzczył całe gromady,  
A potem wprawię do polskiego korda,  
Potem i haracz na tych psów nałożę.  
Wyzwij — bo gotów jestem wypić morze.

A że, jak sędzę, ten pies niepozorny  
Nie ma u siebie takiego kielicha,  
Jakim jest sławny kielich mój klasztorny,  
Który raz tylko był przez skórę mnicha  
Wypit aż do dna... łajdak był pokorny,

Ale to była tylko skryta pycha,  
Bo zadrwił ze mnie, a z jego obrotów  
Widać, że wypić piwnicę był gotów —

Jeśli więc taki kielich nie istnieje  
W państwie, które zjeść można jak piernika,  
Niechaj w ten kocioł wegrzyna naleje

(Wskazał na lukę) — sędzę, że zamyka  
Trzy garnce... nie upoi... lecz rozgrzeje...

Cóż Waćpan czekasz? czy mnie masz za ćwika?  
Wyzwij! — że niosę mu bój, już zobaczył,  
A Waćpan jesteś na to, byś tłumaczył.

Jak to wyzwanie w tatarskim języku  
Brzmiało, ja nie wiem; musiało nieść trwogę.  
Khan chwilę siedział jak na węzowniku,  
Gryzł wasy — nogę założył na nogę;  
Potem na galiun spojrział, jak do krzyku  
Otworzył usta i rzekł: Pić nie mogę.

Samby Saladyn, Omar ni Hilderim  
Nie wypił takiej beczki — Allah Kerim!

W Koranie także stoi, że człek spity  
Jest jak na ludzi waląca się wieża,  
Albo wieprz skórą Adama przykryty,  
Lub miecz, co w oczy ojcowskie uderza.

Więc ten pies wartby zostać wnet ubity  
Na miazgę w głębi wielkiego mózdzierza,  
Który w Stambule stoi — gdzie Salamon  
Nasz sułtan, tłucze muftych jak cynamon.

Ale ja Giaurów, psów min belud, Lachy  
Oszczędzam jeszcze z wielkiej wspaniałości

I wziąłem nawet ich pod moje pachy,  
By nie zginęli: — więc nawet z litości  
Zagram z tym starym mopsem w święte szachy;

Albo niechaj się tu jak pies umości  
I z jednej łulki piersi poi własne,  
A tak się spije, jak pies... nim ja zasnę. —

Tu klasnął: czarny zaraz wszedł rzezaniec  
I galiun szarym nasypał haszyszem.

Litwin wyzwany rzekł: Tylko pohaniec  
Pies dymem poi — musi być hołyszem!

Niechno przyjedzie do mnie ten za...

Ja go z ministrem jego towarzyszem  
Tak spoję kiedyś, krupników gorących  
Dawszy, że nawet tych psów ochrzczę śpiących.

A teraz będę palić co on pali.

Choćby piekielny tytoń był, nie spoi.  
To mówiąc, usiadł; cybuch mu podali —

W środku już szysze zapalone stoi.  
Tymczasem Hamet wzrok wodzi po sali,  
Coś mu się w oczach miga, coś się roi,  
Jakieś wspomnienia, których się sam wstydzi:  
To o czym w Litwie roił — teraz widzi.

Przez złote kratki zajrzał do grodu,  
Stamtąd go miła, cicha woń zawiewa;



Kwietnego na twarz coś zachwycił chłodu,  
Usłyszał — coś mu jak w dzieciństwie śpiewa,  
Coś szumi, jak pieśń własnego narodu.

Ujrzał fontanny, jak trzy srebrne drzewa  
Stojące cicho między zielonemi,  
Zda mu się, że on kiedyś spał pod niemi.

Może złudzenie duszy, którą zdala  
Piękność ojczyzny czarodziejstwem wabi,  
W czar zaprowadzi i wyjść nie pozwala,  
Jak gąsienicę całą ojedwabi

Tęczami. — Spojrzał: księżyc się zapala  
Na Czatyrdachu, i żrenicę słabi  
Ogromnym kręgiem, w którym nieco róży...  
Jakby zjawisko nowe, taki duży.

Witaj mi, gwiazdo! właśnie w tej altanie,  
Którą buduję z duchów i rycerzy,  
Twoje mi srebrne potrzebne błyskanie;  
Czasem twój promień jako miecz uderzy  
I przez zieloność do nimf się dostanie  
Alabastrowych; nawet do tej wieży,  
Gdzie śpi Danae, oczki mrużąc ładne,  
Na...et tam deszczem strof lunę i wpadnę.

O! świeć, księżycu! bo mi czas z rycerzem  
Do Polski wrócić, do rycerskich szyków,  
I moje orle pisklą odziać pierzem.

Więc wam opowiem z dawnych pamiętników,  
Jak mu cud przyszedł w pomoc nad wybrzeżem  
Euksynu, i z rąk wydobył Krymczyków.

O uwolnieniu jego z rąk Tatarek  
Z ambony ludziom powiadał ksiądz Marek.

Tej samej nocy, gdy w Borejszy głowie  
Kręcił dyabelski haszysz bardzo mocno,  
Tej samej nocy jedni pastuszkowie

W poleskiej puszczy swą wigilią nocną  
Odprawowali; — noc była w połowie,  
Godzina, w której bardzo jest pomocną

Zdrowaś Marya śpiewana żałośnie  
Za duszę w czyścju, i ogień przy sośnie.

Mieli więc ogień i głośno śpiewali  
Pacierz — a blisko strumień mruczał srebrny,  
Właśnie jak dusza, co się w czyścju żali,  
Że tych pastuszków pacierz jest potrzebny,  
I wierzba srebrna kąpała na fali

Złote listeczki. — O tem ksiądz wielebny  
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała  
Także, choć mówić nie mogła — płakała.

Konwalie białe, cicha mgła i rosa,  
Trawy zapachem dyszały od kwiecica:  
Gdy oto z wierzby trefionego włosa  
Wybiegły jedna, potem druga, trzecia  
Gwiazdy błękitne, i nie szły w niebiosą  
Po niebie latać i trwać przez stulecia,  
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze,  
Dwie obok siebie stojąc — trzecia w górze.

I tak w zórawi klucz uszykowane  
Jaśniały, aż las zajaśniał w promyki.  
I przyszły panie dwie w błękit ubrane,  
I pod wierzbami ucichły strumyki,  
Jak ja — gdy nagle brzmiąc na lutni stanę  
Słuchać, czy okłask przyjdzie albo krzyki,  
A potem znowu zaczynam nierychły:  
Tak właśnie owe strumienie ucichły.

A one smutne przez ów strumień złoty  
Podały sobie ręce, mówiąc: Ave!  
A obie były tak pełne tęsknoty,  
Jak strumień i las; a miały postawę  
Lekką, jak gdyby mogły iść w poloty,  
Lecz oswojone były i łaskawe;  
Jedna twarz miała czarną, druga bledszą;  
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą.

I wszystko zdało się snem w cichym lesie  
Na mchach i białej konwalii, pod drzewem



Płonącym w światła cudownym okresie,  
Gdy się witały te łzami i śpiewem.

Jedna pytała drugiej — co ją niesie?  
A każda rzekła: Jestem krwi wylewem

I ogniem grodów owiana gorących  
I drze, królową będąc konających.

Królestwo moje, rzekła matka czarna,  
Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;  
Ptaszęta małe, gdy lecą po ziarna,

Znajdują pola siane kul nasieniem.  
Ja jestem matka ludzi gospodarna,

Zbieram co sieję, i nad pokoleniem  
Umarłych — moje wysłałam anioły,  
Męczennikami napęłnić stodoły.

Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci  
Nad płonem tego czasu wzniosą lament;  
Lecz teraz wszystko jak liść z drzewa leci,

Kościółów krew nie broni i Sakrament;  
Kagańcem swoim śmierć kościana świeci,

A przed nią czarne dusze lecą w zamęt;  
I nad tem wszystkim stoję — ja królowa,  
I patrzę ze skał moich z Poczajowa.

Przychodzą matki w śmiertelnej koszuli  
I przed ołtarzem moim klęczą krwawe;  
Ta krzyczy: wczoraj syn mój legł od kuli,

O! wskrzesz go, wskrzesz go! — druga woła: a we!  
Piód mój nożami z żywota wypruli,

Poskarż się za mnie! — trzecia mi na ławę  
Rzuciła parę niedoszłego płodu  
Prosząc: nakarm je, bo umarli z głodu...

We mgłach srebrzystych, gdy stepem przechodzę,  
Spotykam jakieś jęczące gromady;  
Ludzie okropni bez rąk są, jak wodze

Tym co na rękach pełzają jak gady;  
Inni umarli zostają na drodze

I są zabójcom strasznym jako ślady;

Inni bez twarzy wdychają z rozpaczą,  
Bez ust się modlą i bez oczu płaczą.

O siostrzo moja! morem ja owiana

I czarna dymem smętnego jałowcu,  
Do mego dziecka krwawego i pana

Każę się często nieść, i na grobowcu  
Siedząc, mam dziątek umarłych kolana

Pełne — nie mówię, na jakim manowcu  
Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,  
Lecz on je widzi u nóg — te nieżywe.

I taką ma twarz, jaką w Nazarecie,  
Kiedy się żegnał ze mną mówiąc: Matko,  
Idę już umrzeć!... a mnie zorze trzecie

Pod oliwami zastały i chatką,  
A jego już nie było... i na świecie  
Stał krzyż, nad uczniów płaczących gromadką,  
I słońca ani księżyca nie było  
I grób był krwawą, lecz pustą mogiłą...

Tak się skarżyła siostrze, a zadana  
Turecką szablą na twarzy obraza,  
Po której uśmiech pozostał i rana,  
Stała się teraz widną, jako skaza  
Nowo boląca. Druga zadumana

I w sercu niosąc mieczów trzy żelaza,  
Oczu z mlecznego nie spuszczała pasa.  
Wtem ciche, krągłe światło wyszło z lasa.

Pastuszki, patrząc niby w jasnowidzie,  
Rzekli do siebie, tuląc swe kożuchy:  
Czy widzisz? do nich z lasu słońce idzie...

Potem zamilkli — bo przytomne duchy  
Głos odebrały. Więc jak na Egidzie

Minerwy widać jakąś twarz i ruchy  
Oczu i włosa, co w stałym błękiecie  
Świadczą, że środek tej tarczy ma życie:

Tak w słońcu owem był środek i plama  
Światłu owemu czyniona z człowieka.



Był to ksiądz Marek — twarz jego ta sama,  
 Jak zawsze, wielka otwarta powieka;  
 Ale szedł we śnie — i straszliwa szrama  
 Od dyscypliny krwią gorącą ścieka,  
 Otwartej piersi tworząc straszny przerys  
 W krople pół zaschłe... długie, jak berberys.  
 Widać, że będąc na nocnej modlitwie  
 Wpół obnażony, może na pół senny,  
 Po jakiej rzezi widzianej lub bitwie  
 Zasnął — a jego duch tylko promienny  
 Wyszedł i w słońcu złotym szedł po Litwie  
 Przez czarne, smutne lasy, do Gehenny  
 Wędrując może — lecz to, co go niosło  
 Słońce, stanęło przy wierzbie i rośło.  
 A ksiądz znalazłszy pod nogami ziemię,  
 Na kolana się rzucił na konwalii,  
 Tak że pokazał już nie twarz, lecz ciemię,  
 I krzyknął: Idę z rzezi i z batalii.  
 Zwątpilem, pierwszy raz poczuwszy brzemie  
 Mogił na sobie — O! wołajcie z Galii,  
 Z Rzymu i z Azji... i tych co za morzem,  
 Bo nas mordują, rzną mieczem i nożem!  
 Królowy Niebios! wy nad strumieniami  
 Cicho w lilie białe rozkwitnięte;  
 A miecz nad nami i pożar nad nami!  
 Dzieło upada, choć mądrze poczęte.  
 Duma rozerwie wszystko, wszystko splami!  
 Panięta nasze, jak pawie nadęte!  
 Ja do pacierzy nastroilem wargę,  
 Lecz będąc u stóp waszych, niosę skargę.  
 Potocki bruździ — nic więcej nie powiem;  
 Ale Potocki bruździ, w czarty wierzy,  
 Regimentarzem chce być — nad pustkowiem!  
 Będzie! bo pustka się na wszędy szerzy.  
 Niechże upadnie przed księżycą nowiem,  
 Na którym wasza srebrna stopa leży!

Niechże się schyli duszą cichą, szczerą,  
 Przed Bogiem — nie przed szatanem i lirą!  
 Ta lira... w trumien znaleziona rdzeniach!  
 Już jej głos serce narodu osłabił,  
 A na niej szatan czarny gra w płomieniach  
 I luda już pół z Baru mi wywabił!  
 Jak wąż co błyszczy swą koroną w cieniach  
 I blaskiem ściąga słowika, by zabił:  
 Tak ów kozacki pół-duch na złe radzi  
 I swoją smętną pieśnią gdzieś prowadzi  
 Na zaginięcie! Brońcie od pożarów  
 I od powietrza nas, ach! i od głodu!  
 I brońcie jeszcze nas Panny od czarów  
 I od tej dumy co z barskiego grodu  
 Już oberwała wichrem las sztandarów,  
 A sama chce być zbawczynią narodu.  
 Nadłamcie dumie miecza, skruszcie rogów,  
 Zostawcie Boga nad nami — nie bogów!  
 Dajcie mi jedną przynajmniej szablę  
 Świętą, a ja z niej wielką tęczę zrobię,  
 Tęczę i wiecznie trwałą błyskawicę,  
 Świecącą teraz i później na grobie,  
 Gdy położymy w proch zwyciężone lice,  
 Nie zostawiwszy nic jak proch po sobie,  
 I duszę w Boże oddawszy ramiona,  
 A nasze długo słyszane imiona  
 Oddawszy dzieciom. — Poseł mój szwankował  
 W Krymie, i pewnie ciężkie więzy dźwiga;  
 I tego brońcie, bom go umiłował!...  
 Na tem zakończył mój ksiądz pacierz wiga  
 Papisty; potem w księżyc pocałował  
 Co pod nogami Matek Boskich miga,  
 I był od swojej złoto-jasnej ściany  
 Wzięty, weselszy już bo wysłuchany.  
 Nazajutrz słońce, strzałą brylantową  
 Zajrzawszy w celę cichą Karmelity,



Obudziło go z bardzo ciężką głową.

A był na kwaśne jabłko ciężko zbity

I pokapany nie berberysową

Jagoda, ale własną krwią okryty,

I dyscypliny także znalezione

Przy nim, leżały mokre i czerwone.

I zdało mu się, że śpiąc chodził lasem,

A nic nie wiedział, że chodził istotnie

W koronie złotej, z wielkim tęczy pasem.

Wreszcie zapomniał. — Jakiś pan tnie-po-tnie

Do jego celi cichej wszedł z hałasem

I z wódką — było na dworze wilgotnie;

Ksiądz się nie bronił, łknął gorzalinę --

I ten sen w duchów uleciał krainy.

Lecz skutek? — skutek, jak się to pokaże,

Był na tym nawet świecie dotykany.

Wkrótce będziemy z moją pieśnią w Barze,

Wtenczas ujrzycie sami, że fatalny

Był pacierz księdza. Runęły ołtarze,

Kościół, i z niemi ten ksiądz runął mszalny;

Lecz ksiądz przez swoje to dokazał cudy,

Że regimentarz z czartem runął wprzód.

Ut videbitis. — Jak pięknie owiewa

Woń cudów młodość mego bohatera!

Anieli patrzą przez palmowe drzewa,

Jego więzienie w blaski się ubiera,

Hymn betleemski nad głowami śpiewa,

Z duchów się złotych wiąże jakaś lira

Pod sklepieniami i blask bursztynowy,

W tym blasku róże, światełka i głowy.

Był to sen tylko — ale nie zepsuta,

Wraca młodości krew sny takie daje.

Pan Zbigniew leżał w jednym Marabuta

Grobowcu. — Wschodnie przebiegając kraje,

Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta

Niosła w piekielne stopy albo raje,

Stałem na noc raz w grobie, i dobrze

Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha

Zasnąć, a jeszcze większa, wstać o wschodzie

I otrząść włosy senne z prochu Szecha

I zostawić go w mogilnej gospodzie,

Nie dawszy mu za nocleg nic — prócz echa

Z tej pieśni, w obcym dalekim narodzie

Śpiewanej. — Ludzie z księżycową twarzą

W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki,

Czasem przez wieczne nakażą zapisy

Karmić ptaszęta — skąd są ciągle krzyki

Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy

I ciągle różom miłosne słowiki

Na cmentarzowe latają cyprysy,

I ciągle szpaki po grobach gawędzą

O trupach, którzy karmią i nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa

Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy,

I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,

Bo pochlebiają; a posępne sowy,

Grobów latarnie, senatory carstwa,

Z grobów posępne pokazują głowy

I zegarowe, wielkie, krągłe lice

I oczy co się palą, jak dwie świece.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny

Na górach, z białą kopułą glinianą —

Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny

Do męczennika, bowiem go związano;

A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny

Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą,

Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę,

Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac. Jej ogromne liście

Ciągle po głowie grobowca łopocą;



Ptak miłował ją sercem ogniście

I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.

W grobie podwójne także było wnieście

I dwie izdebki; w jednej się szamoca

Owe Tatarki strzegące dziewczyny,

W drugiej Beniowski skrępowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,

Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?

Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!

Pod nim umarli! Wspomniał o upiorze,

Potem (weselszą myślą myśl odpycha)

O tej dziewczynie, co w drugiej komorze

Leży i rączki może białe poda,

Lecz ma reumatyzm w rękach — jaka szkoda!

W kamień członeczki białe Bóg zastudził;

Chociażby chciała wstać i przyjść — nie wstanie,

Chociażby wstała, toby się obudził

Pop, lub Tatarki wiedźmy. Chryste Panie!

Także Cię rycerz mej powieści znudził,

Żeś mu dał rozpacz, grobowe posłanie,

Więzy na rękach, łzę, co się nie leje,

I odebrałeś w grobowcu nadzieję?

A jeszcze gorzej: jakiś gorączkowy

Sen przyszedł, zamknął gorące źrenice;

Czarne Arabki postawił u głowy,

Ubrał je w brody jako czarownice,

Zamiast warkocza z włosów, dał węzowy,

Zamiast paznokci, ubrał tygrysice

W ohydne i krwią kapiące pazury,

Zęby przemienił w kły, zawoje w chmury.

Stały nad nim, pierś mu obnażyły;

Chce krzyczeć... głos mu stanął w gardle kołem;

Chciał westchnąć — w sercu pękły wszystkie żyły,

Chciał zgrzytnąć — usta zawiane popiołem;

Wszystkie uczucia ludzkie ma — prócz siły...

Leży, z widmami strasznymi nad czołem.

Gdyby już uczuł wreszcie ból serdeczny —

Lecz że strach tylko ma, i zda się wieczny,

Do omdłałości przychodzi. A owe

Wiedźmy do siebie szeptają: On słyszy...

Odrąbną jemu, rzekły, mieczem głowę

I posłuchajmy, jak krew pluska w ciszy.

A druga rzekła: Mam krupy perłowe

I dorzucimy nieco szarych myszy,

I masła nam da jaki kat przekupnik

I da nam sadła z psów — zrobimy krupnik...

Beniowski słyszał, czarne gospodynie

Jak naradzały się, i uczuł zimno

W kościach. Wtem jedna rzekła: Mam naczynie,

Ale jak zrobię tę rzecz... mury hrymną!

Czekaj; czoło mu językiem poślinię

I zrobię nasz znak nad nim samym i mną...

W Beniowskim serce aż przez sen zakrzepło,

Uczuł przy twarzy bowiem twarz i ciepło,

Nareszcie usta — ale o! dziwaczne

Sny... usta były świeże, miłe, młode,

Jako dwie wiśnie co się zdają smaczne,

Choć okiem tylko rubinową wodę

Pijesz. — O ustach więc tych śpiewać zaczęł

I wejdę z niemi poeta w ugodę,

Aby za wiersz mój lotny bezrozumnie

Tak obudziły mnie tu — albo w trumnie.

Panny Gruszczyńskiej to były usteczka!...

Ona w grobowcu leżąc z drugiej strony

Biedna, w Tatarek rękach jak owieczka,

Która na wełnie ma już krzyż czerwony;

A często jednak zachodziła sprzeczka

Miedzy leśnymi idyl Korydony,

Na której owcy były śmierci krzyże —

Bo matka często je całując zliże,

I sama nie wie, że swym pocałunkiem

Od śmierci małe dziecko obroniła.



Tak właśnie dziwnym to było trafunkiem,

A pewnie temu winna ta mogiła,

Że się przed Matki Boskiej wizerunkiem,

Przed tęczą swojej myśli pomodliła

Panna Gruszczyńska, idąc na spoczynek;

Wtem ją obudził wiatr z niezapominek,

Z róż, z tulipanów, z lilii i z bratków,

I otworzyła na pół senne oczy

I ujrzała się w zawierusze z kwiatków,

Które latały w błękitnej przezroczy.

Srodek powietrza tego był z bławatków,

W bławatkach był blask od czarnych warkoczy.

Które przechodząc z jaśni do ciemnoty,

Brały blask dziwny, rubinowo-złoty.

Twarz także była tej przecudnej bieli

Co od błękitu także coś pożyczą;

Pod pachą byli skrzydlaci anieli,

A co dziwniejsza, szata tajemnicza

Z Aniołów tkana — a na karabeli

Trzymała stopy ta postać dziewczica —

Stopki tak małe, że z tamtego świata

Idąc, zapewne nie chodzi — lecz lata.

Przed nią na ziemi niemocą złożona

Panna Gruszczyńska smętne oczki mruży,

Jak alabaster, w którym zapalona

Lampa rzuciła coś blasku, coś róży;

Wtem święta rzekła do niej: wstań! — a ona

Uczuła, że jej ruch i życie służy,

I wnet rączkami, które już nie słabną,

Zebrała na pierś koszulę jedwabną.

Potem usiadła, a potem uklękła,

A potem płakać zaczęła w tym grobie.

I wnet ta jasność przecudowna pękła

I znikła — sennie podobna osobie.

Ciemność dziewczęzkę klęczącą przelekła,

Nie prędko światło ujrzała przy sobie —

Był to kagańczyk, który tam szczęśliwie  
Płonął w żelaznej czarce — knot w oliwie.

Wziąwszy więc lampę, wyszła; księżyc w górce

Świecił, lecz zdało się małej dziewczynce,

Że księżyc ćmiły fiołki i róże,

Rzucając nań blask i pył albo sińce;

W powietrzu czuła dziwną kwiatów burzę,

Widziała różne tęczowe gościńce,

Po których odszedł pewnie Anioł biały;

Potem ujrzała dwie Arabki — spały!

Ohydna ich twarz — bowiem te upiorki

Miały zaslonę na czole i brodzie,

A po nosach szły z koralów paciorki

I dwie zasłony te trzymały w zgodzie.

Musiały pływać po wierzchu jak korki

Te czarownice, pławione na wodzie;

Musiały latać jako nietoperze,

Wziąwszy pod siodło łopaty lub krzyże.

Lecz teraz spały, chrapiąc głośno obie,

A tak ohydnie chrapią i śmiertelnie,

Tak się pazurem jedna w udo skrobie,

A druga przez sen tak szczeka piekielnie,

Że panna, światło trzymając przy sobie,

Paluszkami je osłoniła szczerlinie

I stała — srebrna dziewczyna w lazurze,

Już nie kaganiec niosąc, ale róże.

Nagle ją strach wziął, obróciła twarzy

I do grobowca szła nazad powoli,

Jak smętna dusza co się na to skarży,

Że wrócić musi do smętnej topoli

I grobowcowi ciała być na straży,

Aż ją pokuta albo czas wyzwoli

I znów odeśle w światy przedstworzenia,

Gdzie wyrastają znów dusze z płomienia.

Szła więc pod swoje sklepienie framugi

I schyliwszy się, weszła. Już mówiłem,



Że w tym grobowcu był katakomb drugi,  
 Gdzie krwią okryty i potem i pyłem  
 Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.  
 Szczęściem, że lampy mojej nie zgasiłem,  
 Prowadząc moje biedne dziewczę ciche  
 Do tego grobu po nocy, jak Psyche.  
 Od lampy płomyk tak się nad nią schyla,  
 Tak się od knota w powietrzu odrywa,  
 Jak duch miłości na skrzydłach motyla,  
 Piękniejszy wtenczas, kiedy dogorywa,  
 Kiedy ostatnia w nim zachwyty chwila  
 Płomieniem buchnie — piękna i straszliwa  
 I nad kochanki czołem się rozwinie  
 Jak płomyk, potem uleci — i zginie...  
 Tak weszła, światło w zmierzch ulatujące  
 Niosąc nad głową — potem go spostrzegła...  
 O! jakie wtenczas jej modły gorące!  
 Jak krew po żyłach szafirowych biegła!  
 Chciała go zbudzić, więc usta płonące  
 Na czole jemu kładąc, sama legła  
 I jęła więzy rozwiązywać duszkiem,  
 Ustami mówiąc mu: cyt! — i paluszkciem.  
 On też obudził się — lecz patrzcie chłopca!  
 Zaraz zrozumiał, że to nie z jasełek  
 Jaki aniołek, ani z mogił kopca  
 Duch, chociaż stała z koroną światełek.  
 Twarz ta i postać nie była mu obca;  
 Leżał więc cicho, a ona perełek  
 Ząbków bielutkich jak szczurek używa  
 I przegryzione na pół więzy zrywa.  
 Już wolny!... wstaje, otrząsa się z prochu,  
 Ona z kagańcem złotym naprzód leci;  
 Oboje wyszli z grobowego lochu.  
 Tatarki chrapią, księżyc srebrny świeci...  
 O! pomóż ty mi, Dante, i ty, Włochu  
 Z Sorentu... dwoje tych różnanych dzieci

Przez te parowy wieść okropne, sine,  
 Tam, na błękitną jak niebo dolinę...  
 Ołbrzymie skały zastępują drogę,  
 Tam nagle potok jęknie i zaszczeka;  
 Świat taki dziki naprzód wziął pod nogę  
 Jehowa, wprzód nim postawił człowieka,  
 Dawszy stworzonym skałom na załogę  
 Węże, co lały się ze skał, jak rzeka,  
 I po dolinach, gdzie szła noga Boża,  
 Ze swych błękitnych ciał czyniły morza.  
 Wystawcie sobie w tym świecie połosów  
 Duszki dwie, które czekały na ciało,  
 A jeszcze słońca się trzymały włosów,  
 Aby nie upaść na świat, co był skałą,  
 Węży królestwem i bezładem ciosów,  
 Gdzie od świstania wielkich gadzin grzmiało  
 Wystawcie sobie, że nad tym odłogiem  
 Te duszki drżące dwie idą za Bogiem:  
 A obaczycie moją smętną parę  
 Po skałach wianą wietrznymi poloty.  
 Wszystko lub białe jak kość, albo szare;  
 Zdaleka wiszą czarne wielkie groty,  
 Gdzie pastuch Tatar śpiewa pieśni stare,  
 I trzody becza, i na księżyc złoty  
 Szczekają głucho psy, — potoków fale  
 Huczą — i płaczą w dolinach szakale.  
 Jak zarzynane dzieci przez Heroda,  
 Szakale płaczą — psom jakby na sprzeczkę.  
 Beniowski zbiega z gór, jak srebrna woda,  
 Na ręce już wziął zmęczoną dziewczeczkę;  
 Czasem mu powój kwietny ręce poda,  
 Czasem i ona pomoże troszeczkę,  
 Oczkami skalne przeszywszy oblędy  
 I mówiąc jemu cicho: idź pan tędy.  
 Tę skałę się pan, mówi, obejść staraj —  
 Tu mnie puść — sama ten potok przeskoczę —



Ostrożnie — mówi — tu mi nie rozparaj

Koszulki o cierń (było to przezrocze  
Jedwabne). Nagle wrzasła: Bakczysaraj!

Puść mię! — Zwinęła na czole warkocz,  
Koszulę także poprawiła z letka —  
Jeszcze dziewczyna mała, już kobiетка!

Do miasta wchodząc, myślała o stroju;

Przyszły jej na myśl jakieś myśli grzeczne,  
Miejskie — a miasto było w światł roju,

I różne wieńce nad niem jak słoneczne  
Wisiały — różne z tatarskiego łożu

Ramazanowe lampy i świeteczne,  
Z różnych szkłał różnie na niebie świecące,  
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo minarety co je w niebo niosły,

Tak były lekkie, jakby owe kwiaty  
Bez żadnych łodyg i pni same rosły

Albo latały; a tak był bogaty  
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły

I odwracały się na bledsze światy,  
Na morze, co swój włos jak owca welni  
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie,

Minaret, jakby jaki Anioł smętny,  
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie,

Tem miłszy oczom, że nie był natrętny.  
Beniowski widząc, jak powietrze płonie,

Jak miasto gwary różnemi i tętny  
Spokojność nocy lazuruwej miesza,  
Jak motyl nocny w blask i brzęk pośpiesza.

Wpada w ulice gliną i rogożą

Sklepione. Pełno świecących sklepików;  
Osiółki gości po ulicach wożą,

Radosnych pełno tłumów i okrzyków.  
Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,

Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...





Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą  
Drogim krwawnikiem brukowane błoto.

Rycerz z dziewczeczką ani się ogląda,  
Leci a dziewczę swe zasłania młode;

Niekiedy spotka wielkiego wielbłąda,  
Wschodnich ubogich krajów woziwodę

Okręt pustyni — jako struś wygląda,  
Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę

Przyjdzie i stanie, to skórzane boki  
Leją fontanny dwie i dwa rynsztoki.

Czasami wielkim robrontem skrzydlata  
(Bowiem kobiety wschodnie chcą być grube)

Leci ogromna czarna trumna, chata,  
Jak okręt, co ma parę albo śrubę

Ukrytą wewnątrz i blisko przelata;  
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szubę,

Oczy świecące przez dwa białe kołka,  
Na dole głowę i ogon — osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,  
Oczyrna tylko łysnęła — lecz okiem

Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?

Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,  
Że to jest ogień, który pod azbestem,

Pod niespaloną szubą i szlafrokiem  
Płonie — i z drogi cię cnoty oddali,

A jeśli dotkniesz go, na popiół spali...

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous  
Gdzieś na cmentarzu dane — dyable myli.

Cyprysowemu ją zostawiasz drzewu

Cieszyć — i klniesz wiatr, co szubę odchyli.  
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,

Taki jest wybuch, że dla krotchwili  
Wrócisz i ogień hamujesz powoli.

Dalibóg, Muza moja znów swawoli!

Gawędzi — a wiem, żeście już ciekawi,  
Dlaczego miasto illuminowane

I co mój rycerz, lecąc gniewny, sprawi?  
 Więc tu, ponieważ ta pieśń długa, stanę.  
 A gdy Apollo mi pobłogosławi,  
 Znów nowe laury zasadzę różane,  
 Których mi powieść dostarczy szlachetna.  
 Dosyć — bo strofa to już blisko setna.

## PIEŚŃ X.

Kto widział tylko swój dach i swój kurnik  
 I swoje grzędy i swoją parafią,  
 Ten nie wie, co czuć może awanturnik,  
 Kiedy go różne losu gromy trafia;  
 Kiedy poduszką czasem ma jaszczurnik —  
 Dziś wodę pije, a jutro ratafią.  
 Ta strofa bardzo szanowna i prosta  
 Przetłomaczona dosłownie z Ariosta.  
 Dant także, drugi poeta epiczny,  
 Mówi: O! szczęsny, szczęsny co się rodzi  
 I nigdy w życiu za obręb graniczny  
 Swoich zegarów miejskich nie wychodzi!  
 W tym wierszu słychać dźwięk melancholiczny  
 Rodzinnej wieży, który starce wodzi  
 Wokoło domu... piastunki sposobem  
 I nie pozwala oddalić się — grobem.  
 Ale kto zawsze chodził tak, zda mi się  
 Na starca dobry, lecz na czytelnika  
 Zły bardzo; w oczach mu książeczka ęmi się,  
 Nie doczytawszy strof, często zamyka.  
 O różach jemu mówisz i cyprysie —  
 Woli w družbarta zagrać albo w ćwika.  
 Patrz, jaki los był biednego Torkwata:  
 Ledwo gdzie o nim wie dom albo chata.  
 Dziś jeszcze jego głos harmonią szklaną  
 Ślizga się, jako Syrena tęczowa,  
 Po złotym płacząc kanale Orfano  
 W ciemnym szpitalu wyjęczane słowa.

Lecz moje... i tych dźwięków nie dostaną.  
 I czas je w długim grobowcu pochowa...  
 Więc — a więc piszyny, niech rym będzie świeży!  
 Reszta od Boga i ludzi zależy.  
 Beniowski więc mój, przebiwszy się w tłumie,  
 Dopadł pałacu, drzwi stały otworem;  
 Wschód się w pałacach zamykać nie umie,  
 Lecz dwór jest karczmą, a karczma jest dworem.  
 Więc obłąkany trochę na rozumie  
 Nocną przeprawą, i sennym upiorem  
 Zmęczony, pełny rozpacz i troski —  
 Wpadł do pałacu Khana pan Beniowski.  
 Za rękę trzymał dziewczynę obłąną  
 Wstydu rumieńcem, lecz nadzwyczaj ładną;  
 Spojrzał — Khan siedział na sofie pod ścianą,  
 Przy nim ministry, co lud drą i kradną,  
 A czasem z brody gęstej coś dostaną  
 I wcale tego na paznokć nie kładną,  
 Ale puszczają wolno i z uśmiechem,  
 Bowiem zabijać rzecz żywą — jest grzechem.  
 Ministry stali w kaftanach z czerwieni,  
 Na wszystkich twarzach była dziwna radość;  
 Świąteł tysiące, woń drogich korzeni,  
 I wszystkim ludziom zmysłom było zadość.  
 Almeje także, te córki płomieni,  
 W szat przezroczystych osłonięte błądź,  
 Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie  
 Blizko, a drugie daleko w ogrodzie.  
 Zda się, że ciągle się roją i rodzą  
 Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe  
 Przez rozwidnione aleje przechodzą,  
 Lecąc przez słońca różnokolorowe.  
 W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą  
 I szybkim tańcem zawracają głowę;  
 Królowa tańca, młodzieńca dziewczyna,  
 Pleć miała żółto-ciemną, jak cytryna,



Włosy jak węgiel czarne, Indyanka!  
 Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,  
 Na głowie nakształt kręconego wianka  
 Koronę, z chińskich jajek i lutarek;  
 Zmęczona, tańca szybkiego sułtanka,  
 Siadła na czarnym Khanie, jak kanarek,  
 A Khan maleńkie złote brał khiryje,  
 Na twarz przylepiał spotniałą i szyję.  
 Muzyka także grała; muzykanty  
 Na różnokwietnej siedzieli rogoży  
 U drzwi, i grali okropne drabanty,  
 Zachowując się z taktem jak najgorzej —  
 Piekierne jakieś muzykalne Danty,  
 Na których ucho się dziś moje sroży...  
 Pomiędzy niemi siedział muzyk dworu,  
 Który w urzędzie był — turbator choru.  
 Więc śpiewał — przy nim siedział cymbalista,  
 Przy cymbaliście siedział bardzo blisko  
 Skrzypak, a raczej Orfeusz lutnista  
 Z wielką glinianą ostrunioną miską,  
 Na której szczypał struny nakształt Lista,  
 Wysoko biorąc ton, a potem nisko;  
 Trzeci — co bardzo nudył efekt czyni  
 Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini...  
 Wszyscy z ogromną artystów powagą,  
 Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały  
 Muzykami jest jak Mojżesza plaga  
 Skarany — Włochy od rulad zgłupiały,  
 Europa także z polityczną wagą  
 Rusza się na głos lutni, nakształt skały —  
 Po bizatyńsku swoje ciało kruszy  
 I serca wędną w niej, a kwitną uszy.  
 Ten wzięwszy opium zapалу — dopóki  
 Włoch kastrat krzyczy: o patria! w ruladach —  
 Czuje się w sercu bohaterem sztuki,  
 Radby w podziemnych być zaraz naradach

I wnet jak wulkan rzucić w górę bruki  
 I z mieczem jasnym w ręce iść po gadach,  
 Strawiony takim serdecznym pożarem,  
 Jutro znów głupcem jest, nie karbonarem.  
 Zwłaszcza jeżeli na świecie pochurno,  
 Kłnie świat... i nerwy! O! o! z krakowiaka  
 Zróbcie mi jakie posępne notturmo,  
 Z notturmo zróbcie coś alla polacca,  
 Bo mi na świecie tym nadzwyczaj durno!  
 Przyszła mi także z poczty cała paka  
 Lirycznych wierszy — O! Orędowniczko  
 Polski! Najświętsza Panno! o! kancyzko!  
 Zmiłuj się, proszę, proszę — nie nade mną,  
 Ale nad Polską mniej ty zmiłowanie!  
 Więcej nie mówię, bo mi od łez ciemno,  
 I pod oknami także mam płkanie  
 Drzew, które słońca wołają daremno  
 I mają z liścia złotego ubranie...  
 Jesień z liryzmem smutnym przyszły w parze  
 Na moją duszę, jako dwaj grabarze.  
 Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,  
 Co niby z Boga jest; lecz nie pozwala  
 Ta pieśń, która jest koroną i szczytem  
 Awantur krymskich. Potem przyjdzie fala  
 Nowym czerwonym ołożona świtem,  
 Szumiąca krzykiem, czarna krwią Moskale.  
 Lecz teraz wiersze są śmiechem przesute,  
 Albowiem śpiewam tatarską redutę.  
 Mimo całego blasku na tym dworze,  
 Gdzie wlatywały tancerki motyle,  
 Czuć było jakąś dzikość straszna; może  
 Mleko i świeże kotlety kobyle...  
 Mleko to stało w ogromnej amforze,  
 Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle  
 Migwały w różne ogniste kolory,  
 Ale kwas było gorzki czuć z amfory.



Dym także z lulek w kłęby się olbrzymie  
 Mieszał; Beniowski więc wpadłszy do sali,  
 Jak olimpijski bóg, w błękitnym dymie  
 Krył się. Wtem ujrzał w rogu kawał stali...  
 O bogi! poznał, pan Borejsza drzemie!  
 Jak dąb litewski, kiedy się powali,  
 Leżał i w tłumie małych charcic krył się,  
 Które lizały mu twarz — poseł spił się.  
 Charciczki małe Khana stoja wkoło,  
 Każda ma pyszczek długi jak gadzinka;  
 Ta liże उस posła, druga czoło —  
 W mrowisku się zda, uwędzon jak szynka  
 W dymie. W rękę ma jeszcze szablę gołą,  
 Postrzegł się widać, że to była drwinka —  
 Ów haszysz; nie chciał więc odwlekać,  
 Wydobył krzywą szablę i chciał siekać.  
 Ale sen, śmierci brat, kochanek maku,  
 Ujął go w swoje ramiona. Charcice  
 Uczuły także coś na twarzy smaku,  
 Więc mu lizały, jak mówiłem, lice.  
 Beniowski, widząc go w takim orszaku,  
 Wziął go i wstrząsnął, jak siana kopiec,  
 Potem o ziemię nim jak heczką trzasnął,  
 Lecz pan Borejsza chrapnął — i znów zasnął.  
 Wtenczas Beniowski do Khana — po włosku:  
 Jakże to posłów przyjmujesz, Giraju?  
 Krzyknął, nad nami śmierć jest jak na włosku!  
 Przylatujemy tu z krwawego kraju!  
 A ty... Khan siedział z cybuchem, jak z wosku,  
 I pół spity był w zachwycenia raju;  
 Więc bełknął tylko, zawróciwszy białka  
 W oczach: Il Allah! siłuc w mózdzierz śmiałka!  
 Rzekł; i wnet cały tatarski paszalik  
 Wydobył noży, szabel, jatagany,  
 A Khan odwrócił oczy, gdzie Moskalik  
 Mały, od Kasi ruskiej darowany,

Kozaczka trzepał i naksztalt się kalek  
 W powietrzu rzucał, cały połamany,  
 Zda się, że osa lub torban ruchawy,  
 Mający czapkę, buty i rękawy...  
 W Khana się w oczach spitych zdaje czasem,  
 Że torban skacze sam — w różne prysiudy,  
 Że czworo goleń ludzkich ma za pasem,  
 A wszystkie w torban chowa, jak do budy;  
 Raz piątką się zda, znowu zda sie asem;  
 Kiwa więc tylko głową na te cudy  
 I potakuje; czasem jak z butelki  
 Huknie mu z gardła czkawką: Bóg jest wielki!  
 Tak, Allah kerim! Musi być nie mniejszy  
 Od tatarskiego — możny Bóg Moskali!  
 Beniowski szablę chwycił, z rąk Borejszy  
 Wydarł ją, potem zaczął taniec w sali  
 Od kozackiego tancerza skoczniejszy;  
 Rąbie na oślep i po karkach wali —  
 Podłoga już krwią gorącą spluskana,  
 Wszyscy go czują i słyszą — prócz Khana.  
 Ten, ciągle małym kozackiem zajęty,  
 Oczy zamruza i takt ręką bije;  
 Kozaczek czasem mu pokaże pięty,  
 A czasem nogi zarzuci na szyję;  
 Khan myśli, że to ruski derwisz święty,  
 Który tym tańcem swoje grzechy myje,  
 Tańcem co z serca idąc, zda się szczerym;  
 Po raz więc setny krzyknął: Allah kerim  
 Jest to tatarskie brawo. Pan Beniowski  
 Myślał, że jemu należy wykrzyknik.  
 Z Tatarów robił już makaron włoski,  
 Tak że rozchodził się już bal lub piknik  
 Przez drzwi i okna; miecz się zdawał Boski,  
 A gdzie uderzył skrami, cały syk nił.  
 Ten wiersz ostatni zły, lecz go podeprze  
 To, że w następnej strofie będą lepsze.



Wśród gorącego po komnatach boju  
 Beniowski mieczem robi peryferyum,  
 Tego po plecach, tego po zawoju  
 Siecze, co naprzód wpadł na ministeryum  
 I tego, co miał departament loju,  
 Ministra oświecenia. Achmet Derium,  
 Po garbie mieczem siekł, tak że minister  
 Utracił cały swój garb, jak tornister.

Lecz guz strącony zmienił tylko pana,  
 Bo wziął go zaraz na czoło koniuszy,  
 Wielki statystyk także Giraj Khana.  
 Który obliczał ścięte giaurom uszy,  
 Potem na sznurki nizał — dla Sultana,  
 Który je marynuje albo suszy,  
 Właśnie jak w Litwie grzyby borowiki —  
 A czasem żonom daje na kolczyki.

Po takiej sprawie ministeryum całe  
 Cofaniem się podało do dymisyi.  
 Wymowie szabli przypisać tę chwałę,  
 Że z rządu ludzie ustąpili łysi;  
 A łatwiej zmusić do odwrotu skałę,  
 Kaskadzie kazać — niech stanie i wisi!

Powstanie całe kraju przysposobić,  
 Nawet wybuchnąć łatwiej — niż to zrobić.  
 Ministeryum więc całe już w odwrocie  
 I muzykanci wszyscy, pole czyste!  
 Mój rycerz chwilę stanął cały w pocie,  
 Wtem ujrzał szabel girlandę — O Chryste!

Już na jednego złeka idą krocie,  
 Ponad głowami niosą szable szkliste  
 W rząd ułożone, razem w tył zagięte,  
 Jak fale upaść gotowe i wzdęte.

Rząd jeden żółtych twarzy, płaskich nosów,  
 Rząd jeden szabel; idą krągłe koła,  
 Jakby rząd jeden wielkich srebrnych włosów,  
 Które lwom żółtym wyrastają z czoła.

W tej błyskawicy podniesionych ciosów  
 Beniowski śmierci zobaczył anioła,  
 Który się zdawał straszny i wspaniałym, —  
 I stał w tych mieczach, jak w zwierciadle białym.

Już idą! rycerz wpoprzek się nad głową  
 Mieczem zasłonił i czekał z powagą;  
 Już idą — prędzej, niż wymówisz słowo,  
 Śmierć spadnie; jednak i tu jest odwaga  
 Mieć podniesione czoło, twarz surową,  
 Błyszczące oczy i pierś wzdętą, naga.

Beniowski takim był pod tą framugą:  
 Gdy ktoś mu nakrył głowę — szablą drugą.  
 Spojrzał, lecz nie mógł widzieć dobrze twarzy,  
 Bo ten, co zakrył go, stał odwrócony;  
 Na turbanie się drogim kita waży,  
 Którą wziął brylant wielki wschodni w szpony;  
 Kaftan miał drogi — i rzekł coś do straży,  
 A nad Beniowskim trzymał miecz obrony,  
 Tak że dwie szable razem miały włosy  
 I klingi dwie samotne, jak dwa kłosa.

Wahała się straż — wtem ów rycerz nowy  
 Do Beniowskiego rzekł: potrzeba zdać się!  
 Po polsku to rzekł, lecz odwracał głowy,  
 Jak gdyby jego oczów musiał bać się;  
 A potem dodał cicho: będziesz zdrowy  
 I wolny — teraz to nie może stać się;  
 Wyrok na ciebie jest srogi wydany  
 I nie odwoła go wnet Giraj pijany;  
 Ale się poddaj! — Tu ręką łagodnie  
 Z rąk mu wyjmował szablę, ale zawsze  
 Twarz swą zakrywał, a mógł to wygodnie  
 Zrobić, bo pan Beniowski widział krwawsze  
 Groźące sobie oczy, wielkie, wschodnie —  
 I damasceńskie i nienajlaskawsze  
 Szable stojących wokoło janczarów,  
 I do ostatka chciał się bić przez narów.



Ciągle więc groził; gdy mu tamten drugi  
 Szaleł tureckim nagle nakrył czoło;  
 Chciał się szamotać rycerz, ale sługi  
 Pomogły temu panu z szablą gołą.  
 Wydarto mu miecz; potem leżał jak długi,  
 I słyszał cichy gwar tatarski wkoło,  
 Potem go niosły z lekka owe strażę  
 Długo przez długie, kręte kurytarze.  
 Są chwile w życiu, w których człowiek zda się  
 . Samemu sobie bardzo poetycznym:  
 Na skały igle, na ruin terasie,  
 W usposobieniu umysłu vehmicznym;  
 Gdy wołasz szczęścia, stojąc na Parnasie,  
 A echo głosem ci melancholicznym  
 Ze wszystkich skalnych kątów odpowiada  
 Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!  
 Gdy skończysz wszystkie szkoły i nauki  
 I za rękę cię uściśnie sam rektor;  
 Gdy jesteś wybran posłem, gdy cię wnuki  
 Obsiedą, gdy kraj obronisz jak Hektor;  
 Gdy depcesz dawne Herkulanum bruki;  
 Gdy twój poemat czyta dobry lektor,  
 Gdy sam rozmyślasz o zbawieniu Lachów;  
 Gdy wygrasz partję bilardu lub szachów;  
 Gdy cię zapyta kto — jaka grafini,  
 Czyś był w Paryżu; gdy patrząc w obłoki,  
 Kochanka tobie wyznanie uczyni,  
 Że kocha... albo rzuci się w potoki  
 Jaka dziewczyna, która ciebie wini  
 O zapomnienie, potem ją w głęboki  
 Dół kładą, sadzą na grobie kamelie  
 I pokrywają piaskiem, jak Ofelię.  
 Gdy w tańcu jesteś pierwszym koryfantem  
 I kręcisz kołem młode pokolenie;  
 Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,  
 To jest, że możesz zgasić oświecenie;

Albo gdy jesteś dział asekurantem  
 I w Napoliońskie wierząc przeznaczenie,  
 Słuchasz z powagą kul lecących świstu;  
 Gdy Comte przeczytasz na kopercie listu...  
 Z tych i podobnych wrażeń pono żadne  
 Nie urodziło się w duszy rycerza;  
 Utracił swoją piękną Aryadnę —  
 Wzięty, więzieniem jego była wieża,  
 Co zewnątrz miała desenie tak ładne,  
 Jak rozkwiecona palma wśród wybrzeża,  
 Wieża ceglana, o wysokiem pięttrze,  
 Lecz wewnątrz... bardzo miała smutne wnętrze.  
 Okna okrągłe bez szyb, gdzie czerwone  
 Lub srebrne światła upadały snopy;  
 Z jaskółczych gniazdek uwiłta koronę,  
 A w suchym piasku ponad morzem stopy;  
 Huczał w niej sufit, gdy morze szalone  
 Rzucało wrące na piasek ukropy.  
 W takiej to wieży smutnej przebył trzy dni,  
 Czwartego... tu się poemat rozwidni —  
 Czwartego ranka skrzypnęły zawiasy,  
 A jeszcze ranna panowała szarza,  
 Dopiero morskie srebrzyły się pasy  
 Srebrem od wschodu; gdy ktoś z kurytarza  
 Wszedł — cały strojny w tyftyk i atłasy,  
 Ktoś niepodobny wcale do grabarza  
 Ani do kata — miał z baraniej skóry  
 Kołpak, przyłbicę taką, w niej dwie dziury.  
 Z kołpakiem razem ta maska futrzana  
 Kryła mu lice i twarz, oprócz oczu.  
 Beniowski poznał w nim wschodniego pana,  
 Choć ze snu oczy odemknął w przymroczu;  
 Poznał, że ten sam, który go u Khana  
 Bronił i był mu z szablą na przyboczu,  
 A potem zdradził, niby wróg ukryty,  
 A mówił jako Polak rodowity.



Porwawszy się więc z ziemi, głosu grzmotem  
 Zawołał: zdrajco, czego chcesz? i poco  
 Przychodzisz do mnie? czy z moskiewskiem złotem?  
 Czy chcesz mnie kupić? czyli wziąć przemocą?  
 Nie dam się ja krwią zalać ani błotem!  
 Nim szable twoich katów zamigocą,  
 Samego ciebie do walki przymuszę;  
 Chociaż bezbronny, zwalę i uduszę!

To mówiąc, stanął w szermierza postawie;  
 A drugi... nie rzekł nic, ani się ruszył  
 I nie wydawał się wcale w obawie,  
 Choć go Beniowski mową już ogłuszył.  
 Więc rycerz znowu: strojnyś jest, jak pawie!  
 Aleś tu próżno w ogon się napuszył.  
 Jak mi Bóg miły, jak słońce na niebie,  
 Walcz — bo sam pierwszy porwę się na ciebie!

Na to tatarski rycerz rzekł: Przychodzę  
 Uwolnić ciebie; poznasz za godzinę,  
 Że jestem tobie bratem i nie szkodzę,  
 Owszem za ciebie i za kraj nasz zgine.  
 A teraz zdaj się ty na moją wodzę!

Oto masz ubiór — lubisz barwy sine,  
 Oto masz kaftan, pistoletów dwoje,  
 I strzelbę oraz pałasz — wszystko twoje.  
 Zwrot to jest tylko, a nie podarunek —  
 Więc weź i za mną chodź, bo jesteś wolny —  
 Beniowski kaftan wdział i wziął rynsztunek,  
 Z gniewnego stał się jak owca powolny,  
 Gniew mu wywietrzał wnet, jak lekki trunek,  
 Dziw tylko został. Więc jak młokos szkolny,  
 Ciesząc się w kaftan błękitny ubierał,  
 Potem próbował broni i obzierał.  
 Broń była cudna: rubinów płomienie  
 Po pistoletach szły jak iskier sznurek;  
 Lłura u strzelby z drutów, a w desenie  
 Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;

Nie był to Lepaź, lecz taką na ścienie  
 Wolałby wieszać dziś, niż sto dwururek  
 Paryskich. Szabla także była krzywa,  
 A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.  
 Pod wieżą stały dwa piękne rumaki;  
 Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:  
 Wybierz! obydwą latają jak ptaki,  
 Obydwą z Neźdów, i mają swój rodnik  
 W złotym woreczku na przodzie kulbaki;  
 Jeden drugiemu jest jak współzawodnik  
 Równy: więc wybór zostawuję Waści —  
 Weź, który lepiej się podoba z maści.  
 Czarnego wybrał Beniowski i skoczył  
 Na siodło drogim sadzone kamieniem;  
 Potem na piasku koło nim zatoczył —  
 Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem  
 I piasku wcale morskiego nie tłoczył,  
 Dumny szlachetnem swoim urodzeniem  
 I tą metryką, co go z Neźdów wiodła,  
 W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Tatarzyn — zawsze pod szarą przyłbicą,  
 Szary był bowiem na masce baranek —  
 Pośpieszył przodem; za nim błyskawicą  
 Jechał pan Kaźmierz wesół, a już ranek  
 Palił się w ogniach nad krymską stolicą,  
 Którą mijali. Cmentarz i palm wianek  
 Minęli także — oba stepem lecą  
 Tam, gdzie nad Polską smutne gwiazdy świecą.  
 A jedna większa, smutniejsza nad inne,  
 To się błękitem, to się krwią zalewa,  
 Jakby złościła jakie czoło, winne  
 Przed Panem Bogiem — bo ciągle omdlewa  
 Ciągłe oczy zamysłone, gminne  
 W daleki Sybir prowadzi, jak mewa  
 Białemi skrzydły lecąca i przodem  
 Przed nieszczęśliwym już dawno narodem.



Mimo galopu i drogich jedwabi

I broni, wtenczas nawet rycerz młody  
Patrząc w tę gwiazdę, myślał, że go wabi,  
Jak smętny anioł, gdzieś na jakieś lody,  
Gdzie umierają prędko ludzie słabi,

A mocni stoją długo, jak wśród wody  
Utopionego okrętu iglice,  
I długo widzi lud ich smętne lice

We mgłach; więc nawet gdy się cały skarli

I życia szczęście bierze, jak się zdarza:  
O tamtych jeszcze wie, że nie umarli

I jeszcze cierpią; i to go przeraża,  
Że się już w wichrach ciągłych nie podarli

I nie spróchnieli, jak krzyże cmentarza  
I nie opadli, jak dawne sztandary  
Ci ludzie — w lodach gdzieś błądzące mary.

Taka jest piękność, taka posagowość

Niedoli, ona jest naszym marmurem!

Motyle tylko wabi każda nowość

I ludzi każdy krzyk śpiewany chórem.

Twarz większa, w ogień i twardą surowość

Ubrana, z kluczem żorawi i sznurem  
Nie chodzi, ale na ustroniu błyska,  
A czasem śmiechem z ust, jak krwią, wytryska.

O Dante! czy ty marzyłeś te kręgi,

Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,

A wkoło takie figury, ciemięgi,

Taka gromada szara gospodarzy?...

Tak w sznury wzięta dobrze i w popręgi,

Na takie głupstwa się wierszami skarży,

Tak porobiła gdzieś w niebie otwory

I takie do nich mosty ma — z pokory:

Że człowiek, choćby chciał... by nie być z niemi,

Musi się oddać dyabłu — eheu, smutno!

Ale już słońce włosami złotemi

Rzuca na białe mych namiotów płótno.

Beniowski ujrzał siedzący na ziemi

Obóz. — Tu muza nie chce być okrutną  
I zaraz (bowiem już do końca dąży)  
Wschodni poemat mój cały rozwiąże.

Na złotym stepie — był to niby parów

Pomiędzy dwiema piaszczystymi góry —

Ujrzał Beniowski dwa sotka Tatarów

Nie bardzo pięknej tuszy i struktury;

Przypominali coś dawnych Khazarów

Lub Hunnów: kość im przyrosła do skóry,

Mięsa nie mieli wcale, tylko żyły —

Namioty z czarnej skóry, jak mogiły.

Kociołki mieli czarne przy ognisku,

Wielbłądów chudych i starych z dziesiątek;

Chudzi rycerze, w oczach pełni błysku —

Poszliby nawet na rzeź niewiniątek.

Stanąwszy przy tem dziwnym koczowisku,

Rzekł nieznajomy rycerz: Na początek,

Panie Beniowski, oczu nie otwieraj!...

Daje ci dwieście Tatarów Khan Giraj.

Weź ich! Ten obóz zaraz z tobą ruszy;

Wódz jego El Dżin, patrz — ten Tatar stary,

To wąż; do jego ciała, kości, duszy

Masz prawo. Końskie im zostaw sztandary,

Pozwól obcinać wszystkim trupom uszy,

A służyć będą lepiej niż huzary;

Kosztu ci także wiele nie przyczynią,

Zdechliną ich karm wszystkich, lecz nie świnia.

Potem arabskim coś mówił językiem;

Allach! wrzasnęli mu, gdy skończył mowę.

Beniowski wielkim ogłuszony krzykiem

Stał, a zaś wojsko stanęło w podkowę

I ogłosiło go wraz pułkownikiem;

A El Dżin, sam wódz, pokazał na głowę

I szyję, mówiąc mu jak najszlachetniej:

Jeśli nie będę słuchał, to mnie zetnij!



Potem Tatarzyn ów i dobroczyńca  
 Wiódł Beniowskiego, gdzie stał wóz z namiotem,  
 Wóz jakby wielka maża Ukrainca  
 Wokoło wielkim ogrodzona płotem —  
 I rzekł: Khan Giraj daje ci gościńca,  
 Ten wóz; a nie sądź, że napełnił złotem  
 Skórzane łono owego namiotu:  
 Jest to wóz pełny trudu — i kłopotu.  
 Podnieś to skrzydło wielbłądowej skóry,  
 A sam hojności Khana będziesz skarżył. —  
 Radością pan Beniowski aż ponury —  
 Wahał się chwilę, potem się odważył  
 I podniósł skrzydło namiotu do góry;  
 Potem się cały w ciemny namiot wtwarzył,  
 I powtórzyło łono tajemnicze  
 Namiotu — dwoje Ach!... jedno dziewicze...  
 I długo głowa mojego młokosa  
 W namiocie owym była na gościnie.  
 Ani z garełka uczonego kosa  
 Taki dźwięk słyhać po ciemnej kalinie,  
 Choć kos — to lutnia ptaszków różnogłosa,  
 A w przedrzeźnianiu żadnego nie minie,  
 Lecz wszystkie tony w swym głosie zamyka,  
 Wszystkie, i nawet śpiewanie słowika:  
 Ani więc w drzewie, kędy on zasiądzie,  
 Tak wszystkie listki świszczą i szczebiocą,  
 Jako te skóry wydęte wielbłądzie,  
 Na których gałki się mosiężne złocą.  
 Lecz co w nich było... to chyba na sądzie  
 Wydam i wielką przymuszony mocą;  
 Bo mnie obchodzi los dawnych pamiątek,  
 Aniela... oraz dalszych pieśni wątek.  
 Gdy więc Beniowski stał jak kuropatwa  
 Co głowę swoją pochowała w śniegu...  
 Jak widzę, rzecz się znowu trochę gmatwa,  
 A pisząc, stanąć znów nie mogę w biegu.

Sztuka rozwiązań jest bardzo nie łatwa,  
 Przede mną niema ubitego ściegu,  
 Bo nikt nie śpiewał z nas na taki temat,  
 Ażeby musiał rozwiązać poemat.  
 Gdy więc Beniowski, pogwarzywszy długo  
 Z namiotem, oczy wydobyl nareszcie,  
 Spotkał się nagle ze starą kolczugą  
 Pana Borejszy: ten był widać w mieście  
 I teraz przybył z Perkunasem sługą;  
 Bowiem usłyszał, że Tatarów dwieście,  
 Których ojciec czart, mać Tatarka rodzi,  
 Z jednym Polakiem do Polski wychodzi.  
 Zabrawszy więc manatki, pełen troski,  
 Że nic u Khana nie sprawił, Krym rzucił.  
 — Jaktó?! więc to jest — krzyknął pan Beniowski, —  
 Którego minie los smętny tak zasmucał?  
 A to prawdziwy, widzę, wyrok Boski!  
 A! dajże mi twarz, dajże, niechaj ucał...  
 Zamiast sylaby ustami go w usta  
 Cmoknął, aż jękło, tak jak beczka pusta,  
 Gdy z niej wystrzelił czop. A potem wkoło  
 Obejrawszy się: Cóż to za wędzonki?  
 Spytał — ubrani wszyscy prawie goło,  
 Którychby można wszystkich na postronki;  
 Złodzieje jacyś? — Na to mu wesoło  
 Rzekł rycerz: Są to rycerze i członki  
 Konfederacyi Barskiej, moi ludzie —  
 Ci co na koniach są, i ci co w budzie.  
 Poprowadzimy ich w ogień, Mospanie! —  
 El Dżin, każ, niechaj wskakują na juki! —  
 Kazał, i wnet się surm ozwało granie,  
 Namioty nikły — błysły szable, łuki,  
 Wielbłądy wstały na panów chrapanie:  
 Krz! krz! — za starym ojcem idą wnuki;  
 Obdarty, stary jakiś Abdel-Kader  
 Prowadzi, wielbłąd dziś, dawniej dromader.

Beniowski widząc, że już w pogotowiu,  
 Rzekł, obróciwszy się do Tatarzyna,  
 Który go przywiódł i był w złotogłowie  
 Strojny jako gil, a wiotki jak trzcina:  
 Bądźże mi, jasny panie, w dobrem zdrowiu!  
 Szlachetna dusza łask nie zapomina:  
 Tyś mi tak serce swą dobrocią spętał,  
 Że póki będę żył, będę pamiętał. —

Nic nie rzekł Tatar; z głową pochyloną  
 Stał i na błękit ku Polsce pozieirał...  
 Widać pod szatą, że pracuje łono,  
 Że się płacz w sercu zatrzymany zbierał.  
 Więc pan Borejsza: Cóż to jest za ono  
 Stworzenie? cóż to za krymski generał?  
 Jam go nie widział wprzód, czy z niebios spada?  
 Czy nasz przyjaciel? czy po polsku gada?

Jeżeli gada, powiedz mu, że w Krymie  
 Został się jeden Tatarzyn z pod Waki,  
 Pan Abdulewicz; niech się o to imię  
 Rozpyta! poszedł gdzieś, jak zając w krzaki;  
 Może gdzie spity od haszyszu drzemie,  
 Może nas przedał za szczyptę tabaki,  
 Przed posłem Moskwy na łapkach, jak pieski,  
 Może zapomniął, że jadł chleb litewski.

Porzucać tak się wcale nie godziło  
 Braci w nieszczęściu, zostawiać ich w trosce;  
 Z jednej się razem szklanki nieraz pili, .  
 W jednej się prawie wychowało wiosce...  
 Myślałem, że mój grób z jego mogiłą  
 Będą się widzieć, choć on miał dwurożce  
 Postawić sobie w straż u śpiącej głowy,  
 A ja oblany krwią krzyż Chrystusowy.

Ale tak nie jest! odbiegł nas jak trądem  
 Rażonych, widząc, że Khan patrzy krzywo.  
 Sumienie własne niech mu będzie sądem;  
 Nie będę o nim gadał — bo to dziwo,

Że Tatar zdradził. Niechże się z wielbłądem  
 Błąka po stepach, i ma starość siwą.  
 Lecz kiedyś, kiedyś... oj! westchnie on z cicha  
 Do litewskiego stołu i kielicha!...

Podczas tej mowy nieraz na rumaku  
 Wzdrygnął się Tatar. Raz już podniósł dłoni  
 I miał ją prawie na swoim kołpaku;  
 Myślał Borejsza, że mu się ukloni,  
 Lecz nie zdjął czapki. Potem jak na ptaku,  
 Na koniu swoim, który rżał do koni,  
 Na blizkie piasku odleciał pogórze  
 I stanął w pyłu złocistego chmurze.

Tak uleciawszy od rycerzy kawał,  
 Pyłem omglony słonecznego blasku,  
 Znak pożegnania, wzniosłszy rękę, dawał;  
 Kiedy się wojsko już grzebało w piasku,  
 Widział, jak z wału wychodzili na wał;  
 Słuchał dzikiego hord niknących wrzasku —  
 Znikli, on słyszał jeszcze, jak Anieli  
 Niebios, gdy w stepach Alla hu! krzyknęli.

Alla hu! miłej krzyknęli ojczyźnie,  
 Idą na boje, gdzie los pędzi ślepy;  
 Może niejedna głowa się rozbryźnie  
 I koń powróci sam na złote stepy,  
 Gdzie go żrebięta powitają bliźnie  
 I palmy, niebios trzymające sklepy,  
 A pan zostanie pod brzoza wieśniaczką,  
 Która umarłych jest nimfą i płaczką.

Tymczasem Kazimirz za wojskiem ostatni  
 Gonił, obzierał się często za siebie  
 I często patrzył, gdzie ów rycerz bratni  
 Stał, jako mara tęczowa na niebie,  
 A potem mniejszy, jak sztandar bławatni;  
 I słysząc było pod nim rżące żrebię...  
 Spojrzył ostatni raz pod słońca blaski,  
 A już ów rycerz jasny stał bez maski.



Lecz taka była czerwień i płomyki  
 W powietrzu, które z ziemi idąc parzy,  
 A tak daleko ze swymi łucznicami  
 Już był Beniowski, że nie dojrzał twarzy;  
 Więc dogoniwszy swoje tylne szyki,  
 Spytał jednego z namiotowej straży,  
 Kto był ów rycerz pożegnany z rana?  
 Ten odpowiedział: Syn Gireja-Khana.

## PIEŚŃ XI.

## I.

Liro żebracka! słyszałem i słyszę  
 Twój głos, przez lasy lecący brzoźowe;  
 I robię w moich myślach dziwną ciszę,  
 Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe  
 I wydeptane palcami klawisze,  
 Po których pieśni chodziły stepowe  
 I w twoje łono — pochylając czoła —  
 Szły smętne, jak do starego kościoła.  
 Nie palce ciebie, liro, wydeptały,  
 Ale te pieśni ciężką nogą ducha,  
 Który wywraca zbrojne zamki, skały,  
 I naród gotów oderwać z łańcucha;  
 Taki jest silny i taki wspaniały,  
 Gdy się obudzi z grobu i wybucha!  
 On stare czasy żebrakowi szeptał,  
 Żył z nim i srebrne klawisze wydeptał.  
 Rozłamać nie mógł liry starzec siwy  
 I rzekł: Oj bałku pane — tak nazywał  
 Suchodolskiego — wielkie będą dziwy...  
 Kto inny będzie na tej lirze grywał...  
 Kto inny będzie u tej szarej śliwy  
 Grał tobie pieśni złote... i używał  
 Twojej przyjaźni... ja wże idu spaty,  
 Kto inszyj tobi bude, pane, hraty...

Koń suchą nogą zatętni po Rosi,  
 Zarzy, a lira w trumnie mu odpowie;  
 Stamtąd koń... Widząc, że proroctwo głosi,  
 Pan Suchodolski oczy wylśnił sowie;  
 Lecz starzec zamilkł... i ta śmierć, co kosi,  
 Ścięła go; ale zjechał na głowie  
 Włosy — powieki, które się otwały,  
 Świadczą, że na coś się patrzył — umarły.  
 Nazajutrz piątek był — szare kolumny  
 Żebractwa snuły się po stypne grosze;  
 W dziedzińcu starca włożono do trumny,  
 Trumnę na czarne postawiono nosze.  
 Pan Suchodolski sam — choć starzec dumny,  
 Czarny wdział żupan i czarną wołoszę...  
 Wyszedł pogrzebów czarny regimentarz,  
 Diak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.  
 W stepie jęczały głosy niezbyt śpiewne,  
 A jednak piękne harmonią płacziwą;  
 Jasną girlandą chorągwie cerkiewne  
 Szły — burcząc z wiatrem; świece nieśli krzywo  
 Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne  
 Pogrzeby, stepem idące i niwą...  
 Dawno już świata ogłuszony zgrają,  
 A jeszcze teraz słyszę — jak śpiewają.  
 O Hamletowe życie! — raz przez kładkę,  
 Pod którą wrzała czarna Alpów woda,  
 Widziałem taką żałosną gromadkę.  
 Szli — a pod niemi most, rzucona kłoda,  
 Drżała... Słyszałem cmentarza sąsiadkę,  
 Kaskadę — księdza głos głuszącą... Szkoda  
 Pacierzy, skalnej porzuconych ścianie  
 I na szalonych kaskad uraganie!  
 Myślałem sobie, że ten człowiek młody  
 Ten most, co wiedzie smutek z łąk na łąki,  
 Wyrwał z korzenia i rzucił przez wody,  
 Ścigając dzikie po górach jelonki.

Lub do dziewczyny trzód pędzając trzody  
 I dzwoniąc miłą piosnkę jak skowronki.  
 Wtenczas mu drżała pod stopami giętka,  
 Teraz — pod trupem drży... Brała mnie chętką  
 Apostrofować ją, jak Prorok stary  
 Zebrane kości umarłych na polu...  
 Ale powróćmy na stepowe jary,  
 Błękitne od bławatków i kąkolu.  
 Stał na cmentarzu pogrzeb, a sztandary  
 Stały tak dumnie, jak na Kapitolu,  
 W małe mogiłki żebrackie wetknięte,  
 Błękitne, białe, żółte i zielone,  
 Na kijach czarnych rozpięte, a galki  
 Błyszczały w słońcu. Cmentarz stał przy Rosi:  
 Rzekłbyś, że wodą pluskały Rusalki —  
 Tak w takt opada, tak się w takt podnosi,  
 I na czerwony brzeg swe srebrne wałki  
 Kładzie i groby brylantami rosi,  
 Za Rosią był las z brzozowego drzewa,  
 Który gdy szumi — zdaje się, że śpiewa.  
 Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto —  
 Spał... lecz otwarte oczy na blask trzyma.  
 Jak z porcelaną na polu rozbita  
 Słońce igrało z martwemi oczyma.  
 Obejrzano go i trumnę zabito  
 Z lirą... Niech w grobie śnieg i mróz wytrzyma!  
 Niech także trzyma dawnej pieśni stroje,  
 Aż ze śpiewakiem spróchnieją oboje.  
 Pierwsze już grudki w dół rzucali diaki,  
 Gdy z lasu człowiek wyleciał nieznany;  
 Koń pod nim biały, jak śnieg, bez kulbaki,  
 Bez uzdy; — dziwnie w oczach obłąkany...  
 Przeleciał rzekę — ale lot miał taki,  
 Że się — jak mówi lud — nie tykał piany  
 I tylko pod nim wody srebrne były...  
 Przybiegł i jeźdźca zrzucił u mogiły.

Zrzucił... i znowu w las poleciał rumak,  
 Zniknął — a dziś się lud w powieści dzieli:  
 Ci mówią, że koń — a drudzy, że sumak,  
 A inni, którzy tętna nie słyszeli,  
 Że koń-duch. — O tem każdy dziś wie czumak,  
 Że Wernyhore ten koń w światłej bieli  
 Przyniósł, zostawił; lecz ma z nim przymierze,  
 Że znów przed śmiercią przyjdzie i zabierze.  
 Na grobie usiadł Wernyhora... pana  
 Znać na nim było: buty srebrem szyte,  
 Srebrne guziki błyszczą u żupana,  
 Złoty pas... czoło na wiatry odkryte.  
 Siadł i rzekł: Ludzie! wy lirę Bojana  
 Schowali w grobie! Liry rozmaite  
 Brzęczą po świecie, tam gdzie żal doskwiera —  
 Lecz niema drugiej liry, jak ta lira...  
 Przyjechał ja tu po lirę Zaboja  
 Na białym koniu, hej — i nie odjadę.  
 Oj, śpisz ty w grobie, liro, córko moja,  
 To ja się także w dół przy tobie kładę.  
 Albo ty zabrzecz tak, jak stara zbroja,  
 Albo ty jęknij... ja dam tobie radę...  
 Wyciągnę z grobu... Wstał i spojrzał dumnie:  
 Lira zaczęła grać pod piaskiem w trumnie.  
 Na jakąś starą nutę, niesłyszana  
 Odezwała się w grobie, jak Anioły.  
 Gdy ją wyjęto i z trumny dostano,  
 Brzęczała jeszcze w ręku nakosztat pszczoły.  
 Potem głos ustał; a tę rozplakaną  
 Na łańcuchu swym uwiesił wesoły  
 Pan Wernyhora. — I wnet gadek mnóstwo  
 Po kraju szare rozniosło ubóstwo.  
 Mówiono, że król dum jest pochowany,  
 A jego wielki syn w Korsuniu siedzi;  
 Że wkoło grają nocami kurhany —  
 Co wszystko ucho stroiło gawiedzi



Do większych cudów... lot był raz nadany.

Do Korsunia się zjeżdżali sąsiedzi  
Z wielką pociechą dla bab i karczmarzy —  
Každy poetę poznał zaraz — z twarzy.

Milczący bowiem był pan Wernyhora,  
Pił — tak jak drudzy... jadł — i do księżycy  
Nie wdychał, ani chodził tak jak zmore.

Owszem, był często wesołego lica,  
Aż się zbliżyła rzeź — owa potwora  
W skrwawionym płaszczu, z krążkiem półksiężycy  
Na głowie — w wicherze sinym od miesiaca,  
Zakrwawionymi nożami kręcąca...

Nie jest to wcale figuryczność mowy,  
Która mi tego ducha nastreczyła.  
Przed rzezią zjawił się upiór stepowy,  
Jakaś kobieta, która się krwawiła  
Idąc; a często szła wcale bez głowy,  
A głowa przed nią jak węzowa bryła  
Szła świszcząc — oczy mająca z krwawnika,  
A dziwnie białą noż zamiast języka...

I raz, jak mówią, krwawa upioryzka  
O samej przyszła północy... z hukami,  
W których i piorun był i nawałnica,

I przed Korsunia stanęła wrotami.  
W zamku płonęła jedna tylko świeca

U Wernyhory. Wiedzą tylko sami  
Szatani, którzy hańkę ze krwi wydma.  
A potem puszcza na świat krwawe widmo;

Szatani, mówię, tylko wiedzą o tej

Nocnej rozmowie wieszczą oraz ducha.

Powietrze było błyskawicy złotej

Podobne; słyhać było szcęk łańcucha —

Potem tętnienie konia wśród ciemnoty —

Potem głos liry — potem cisza głucha

I przez ściemniałe niebieskie szafiry

Czasem głos jeszcze pioruna — lub liry...

To tylko pewna, że nazajutrz rankiem

Pan Suchodolski pana Wernyhory  
Nie znalazł w domu — choć szukał z kagankiem;

Obejrzał wszystkie drzwi, wszystkie zapory,  
Przeliczył konie pasące się wiankiem

W dziedzińcu, zaszedł nawet do obory: —  
Nie brakło nigdzie nic... i to przeraża,  
Że dyabeł cicho tak porwał dumkarza.

Słowem, bez śladu zniknął... Wtem mogiły

Zaczęły gadać ludowi czerwono;  
I wieść wyrosła, że gdzieś koło Smiły,  
Gdzie noże w leśnej kaplicy święcono,

A te sypiąc się z worków, szeleściły  
Jak węże, nim swój cały jad wyzioną,  
A księżyc patrzył się przez dach rozbity  
Na trumny — świece — popy i kobiety —

Mówią, że w owej kaplicy zjawiony  
Pan Wernyhora zaczął kłać rzezunie;

A potem gniewny — jak Lear szalony,

Na ołowianej podskoczywszy trunie,  
Słyszac wokoło przekleństwa i dzwony

I wrzaski — starzec o jednym piorunie —  
Bo śpiewak jeden piorun ma zamknięty  
W lirze — tam rzucił lirę, gdzie był klęty.

Nagle usłyszał szmer okropny gniewu:

Mat' swoję zabyw bał'ko Wernyhora!... —  
Zrazu nie pojął okropności czynu

I stał — na licu blady, gdyby zmore.

Wtem głos kobiecy: Zabyw mēne, synu, —

Krzyknął — a jęk był krótki... O nieskora

Pamięci! ten głos, na tej samej wardze —

Śpiewak go w kłatwie nie poznał, a w skardze

Zna dobrze!... Jakby Anioł go zamorzył,

Stał nieruchomy i spozierał słupem;

Wtem lud się szarzy na dwoje roztworzył

I rozbił drogę między nim a trupem;

Lud ją na workach skrwawioną położył,  
 A kruki, świeżym przywabione łupem,  
 Thukły się w szyby... krew się w żyłach ścina!  
 Gromnice gasną — pop klnie — las odklina...

## II.

— Wy teraz tego nie pojmiecie, Lachy,  
 Jak to dawnemi czasy, w wasze dwory  
 Wchodziły stepów pieśni, czarów strachy  
 I siwe często z lirami znachory  
 Siadali w progach, a wam lip zapachy  
 W dom załatały, i pieśń i wieczory  
 Mielicie ciche na gankach drewnianych.  
 I myśl o rzeczach dawno zapomnianych.  
 Potem wy dziada lirnika prosili  
 W dom, lub dzieciątko swoje wysyłali  
 Z groszem, i zdrowie wy hetmanów pili  
 I pieśnią ludu mogilną płakali,  
 I sami na pieśń zarabiając żyli,  
 Na koniach dziarskich po stepie latali  
 I powracali o smętnych wieczorach  
 Do domów — w krwawych wozach i taborach.  
 A dziady znowu z lirami srebrnemi  
 Na ucztę lub na pogrzeb, jak sproszeni,  
 Ciągnęli stepem, siadali na ziemi  
 Albo pod lipą, albo w waszej sieni,  
 W płaszczach, co były od słońca złotemi,  
 A od łąt — niby królewskiej czerwieni,  
 A od błękitnych łąt — jeszcze innemu  
 Podobne były płaszczowi — Bożemu.  
 Teraz już niema tej z pieśnią przyjaźni,  
 Ze starym ludem niema zażyłości!  
 Jesteście jeszcze wy do korda rażni,  
 Jesteście jeszcze wesołej starości,  
 Jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,  
 Są jeszcze u was ludzie sercem prości:

Ale już niema u waszego proga  
 Ludu, co wnosi pieśń i Imię Boga! —  
 Tu się Beniowski porwał: Kozaczyno!  
 Przysięgam tobie, że gdy kasztelanem  
 Zostanę, a mieć będę stare wino  
 W lochu, nareszcie kiedy będę panem,  
 A ty zostaniesz dziadem starowiną  
 I przyjdiesz szarym okryty łachmanem,  
 A wspomnisz nasze dzisiejsze wędrówki:  
 Nie pożałuję białej sorokówki.  
 Nawet pić z tobą będę, i odprowadzę  
 Nie wprzód, aż twoje rubinowe lice  
 Podobne będzie piwonii, a w stawie  
 Moim zobaczysz całe trzy księżyce.  
 Ledwo to wyrzekł, uczuł na rękawie  
 Ręce tnące mu żupan, jak nożyce;  
 I ktoś nań krzyknął po chłopsku: Oj panku!  
 Nie tobie słuchać lirników na ganku  
 Przy kasztelańskiej szablach, w siwych włosach,  
 W złotym żupanie, wśród maleńkich wnuków.  
 Trzy zorze świecą na twoich niebiosach  
 I trzy tęczowych jest nad tobą łuków,  
 I żywot słyhać twój w trzech różnych głosach,  
 Głosach podobnych do kościelnych stuków,  
 Gdy przy grającym na chórze organie  
 Słyhać podziemne trumien zabijanie!...  
 Nie tobie zorza u grobowca złota  
 Przez szablę twoją i konia zdobyta;  
 Nie tobie przyjdą przed zamkowe wrota  
 Zniwiarki w wieńcach łanowego żyta!  
 Starość — to twoja za krajem tęsknota,  
 Starość — to chmura piorunami ryta,  
 Starość — to czeluść nędzy otworzona,  
 Wygnanie, srebrne morze i... korona.  
 Gdy to usłyszał pan Beniowski, weale  
 Nie zatrwożył się, bowiem ruskiej mowy



Nie znał, albo ją znał niedoskonale;

Więc nie rozumiał prorocтва połowy.  
Ale mu starzec stojący na skale

Przedstawiał wtenczas typ zupełnie nowy  
Chłopa, co nie był chłopem ani szlaga,  
A waryował z wdziękiem i powagą.

Przypomniął sobie stare pasieczniki,

Co przy dębowych lasach na lewadach

Jak pszczoł pasterze siedzą i kwiat dziki

Znają i znani są w całych gromadach  
Jako lekarze, albo czarowniki,

Dobrzy i bardzo potrzebni w osadach.

Takim się właśnie Beniowskiemu zdawał

Ów dziad stepowy, waryata kawał,

Śledziennik, żółcią złoty, krwią nalany

W oczach; a jednak postać ta lirnika

I różno-farbne te na nim łachmany,

I but czerwony, spłowiwały — i dzika

Postać, i ten włos srebrny, często rwany

W żalości, i te źrenice z krwawnika,

Patrzące prosto w słońce, w błyskawicy

Ducha i złości, jak oczy orlicy,

I ten głos, który gdzieś zaskalne głosy

Wyrwał i kazał wkoło gadać skałom,

I ta wryta na nim wiara w losy,

I to oddanie siebie wszystkim szalom,

I okolica, gdzie stał, i brzóz włosy

Oddźwiękujące lirnicznym zapałom

Piosenką cichą, słodką, a wiośnianą:

Jakoby kobiet płacz za skalną ścianą:

To wszystko dziwnie na mego szlachcica

Działało. Strachu jednak nie pokazał

I rzekł: Mój ojczu, przyszłość — tajemnica!

Bylem się żadną podłością nie zmazał,

Bylem miał serce, co jest jak kaplica

Święta, a czynił to, co Bóg rozkazał:

Nie dbam, co ze mną na starość się stanie,  
Czy w senat pośle, czyli na wygnanie.

A lirnik: śpiąc ja dziś na mojej lirze,

Obaczył ciebie we śnie za mgłą krwawą;

Ludzie wbijali ciebie na trzy krzyże,

A ty się cały opromienił sławą;

A potem brzoza na nocy szafirze

Zgięła się niby nad twoją postawą,

U twojej niby nachylona truny,

Gałązki lejąc w dół, jak z ognia struny.

A duch wychodził z jednego krawędzia

I miał otwarte usta, pełne blasku...

Takiego jeszcze ja nie znał narzędzia,

Ani na żadnym widział go obrazku.

Widział ja lirę zmienioną w łabędzia,

Widział ja w cerkwi, przy piorunnym trzasku,

Grający organ na pół roztrzaskany;

Ale tej brzozy sen, o tobie grany,

Straszniejszy, niż to cerkiewne wśród burzy

Granie organów piorunem łamanych;

Dlatego ja klęę, bo mój duch ci służy,

Jak gdyby jeden z szlacheckich poddanych;

Bo mniejszym jest ten, co drugiemu wróży,

Niż ten, o którym w snach ogniem pisanych

Widać; i dosyć blasków sny nie mają,

Gdy o nim we śnie lirnikom gadają.

Tu się nachylił dziad, i pod kolana

Dawnym zwyczajem szlachcica uściśnął;

A ten zdziwiony: w Imię Ojca Pana!

Dopieroś co kłął, ojczu, gniewem błysnął,

Jak chmura ogniem wrącym szpikowana:

A teraz gniew twój tak na niczem sprysnął!

Niechaj mię dyabli! lecz w tobie być musi

Szlachecka także nasza krew, z krwią Rusi

Zmieszana... Starzec nic nie odpowiedział,

Lecz zdjawszy czapki baraniej, zaprosił

Do groty; w grocie jakiś szlachcic siedział

Chudy i oczu wcale nie podnosił;

Pisał proroctwa, których się dowiedział,

Aby ich drukiem nigdy nie ogłosił,

Jak dawniej czynił każdy szlachcic polski:

Był to starosta zamku, Suchodolski.

Lecz gdy mu słońce odjęły trzy cienie

W grotę wchodzących, wziął pióro za ucho

I spojrział prosto w przyćmione promienie

Słońca, a twarz miał Chrystusową, suchą —

Na twarzy wielkie bardzo zamyślenie —

Włosy zwichrzone myśli zawierucha;

Słowem, poeta to był, ale o tem

Nie wiedział wcale wtenczas, ani potem.

A jednak wojna mu się ta zaczęła

W dziwacznych bardzo kształtach malowała,

Jak jakaś cudna krucyata święta,

Która pod tęczę Bożą szła, i stała

W niej jako w bramie. Znał polskie panięta;

Ale im większe dał dusze i ciała,

I większą cnotę śnił obywateli,

I większą w sercach odwagę... niż mieli.

Lirnik mu także zdawał się figurą

Podobną do tych dawnych czarodziei,

Których Tassowe w Kochanowskim pióro

Wymalowało. Pełny był nadziei

Jasných. I gdyby swą twarzą ponurą

Nie straszył szlachty, to z jego idei

Możeby wówczas wykwitnęła nowa

Polska, jak chcemy dziś, święta-duchowa...

On to był panem groty, i swe dziwne

Manuskrypta w niej chował pod kamieniem.

Było w lecie mieszkanie przedziwne,

Zakryte z góry lecącym strumieniem.

Stamtąd był widok na wzgórze przeciwne,

Na płachty lasów, pól obłękitnieniem

Dalekiem oczy smętniacy, tą siną

I pełną mogił dawnych Ukrainą.

Stamtąd, piszący swoje pamiętniki

Szlachcic, gdy wdumał się i wpatrzył w pola,

Dzwoniły mu gdzieś hufce i lirniki,

Choć ich nie było; a dalej Podola

Domy i gaje, pasieki, słowiki

Grały, jak harfa przez starca Eola

Na to zrobiona, aby wichru szalały

Znalazły sobie mowę — i śpiewały.

Stamtąd on wszystkie duchowe męczeństwa

Ukraińskiego ducha widział w pyłach

Kurzu złotego, i słyszał przekleństwa

Dawne, i skargę będącą w mogiłach.

Nie był historyk ten bez nabożeństwa

Dla dawnej szlachty i czuł, że w jej siłach,

Dopóki z ludu nie wytrysną nowe,

Leżało całe życie narodowe.

Znał ją więc, i wnet w Beniowskim wyczytał

Stary szlachecki typ, szczery, wesoły;

Zaraz więc go tam na wstępie zapytał,

Z jakiej jest partyi? jakiej pańskiej poły

Trzyma się? to jest, kto go pierwszy schwytał

Na krupnik i na upieczone woły?

Na to z szczerotą wielką rzekł Beniowski,

Że dotąd, jak wie, jest Radziwiłłowski.

Spotkałem, rzeczce, tego wojewodę

Błédnego jak ja, odartego prawie,

Jak ja, stepową pijącego wodę

I cierpiącego nędzę i bezprawie.

Lux jego dawniej myśli moje młode

Nęcił i bawił, jako tęczę pawie

Pokazujące się z litewskich lasów;

Teraz męczennik on jest naszych czasów.

Z tymi więc, którzy dziś niesprawiedliwość

Cierpia, ja jestem, szlachcic podupadły!... —



Kiedy to mówił, w słowach była żywość,  
 Lecz z oczu jakieś duże łzy upadły,  
 Perłowe, jasne; a jakaś straszliwość  
 Rycerska wzrok mu zrobiła zajadły;  
 Widać, że nagle nakształt słońca wschodu  
 Obaczył krzywdę całego narodu.

## III.

Oj! powiedział ja ci, panie Regimentarz,  
 Że ty przegrasz walkę na kurhanach.  
 Oj! prowadził ty szlachtę korsuniecką na cmentarz  
 I z mieczami i w złotych żupanach!  
 Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,  
 Że ci błysną śmiertelni ułani.  
 W step poleci, jak burza, twój rumak ukraiński  
 I na koniu cię strach otumani.  
 Oj! powiedział ja tobie, mój synaczku Sawyna,  
 Że ty stracisz białego rumaka.  
 Oj! powiedział ja tobie, że to śmierci dolina  
 I dolina martwego kozaka.  
 Wyszły pany z mgłą białą, jak łabędzie przed ranem  
 I stanęli na polu przy Rosi.  
 Między jednym kurhanem, między drugim kurhanem  
 Szlachta flinty nabite podnosi.  
 Oj! strzelili wy tylko raz tym ogniem czerwonym  
 I uciekli, Wielmożni Panowie,  
 I ruszył pan Gruszczyński i biegł na koniu wronym,  
 Z wielką szablą do cięcia na głowie.  
 Oj! ułaniż to byli co mu drogę zabiegli,  
 Oj! ułaniż to byli boleśni;  
 Kiedy pana starego na rumaku spostrzegli,  
 Drogę jemu na polu dwaj ułani zabiegli  
 Między dwiema mogiłami na cieśni.  
 Chorągiewkiż to były u ułanów straszliwe  
 Co się w słońca złościły promykach,  
 Dwie główeczki dzieciątek, dwie główeczki nieżywe.  
 Nieśli oni ułani na pikach.



Kazimierz Pułaski.

Dwie główeczki, główeczki, jak paciorki na prątkach  
Nanizane, nieszczęsne i święte!

Ipoznał pan Gruszczyński krew swoją na dzieciątkach,  
Poznał swoje dzieciątka zarżnięte.

I usta swe otworzył i w krzyż ręce otworzył  
I stał stary ojciec na strzemionach —  
Aż go szablą ciął kozak — i na ziemi położył  
I krew jemu ciekła po ramionach.

I żywcem go chwycili i na step ukraiński  
Płaczącego ponieśli na żłobie.

Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,  
Lecz wszystkiego nie powiedział ja tobie! —

Tu zamilkł starzec; a pan Suchodolski  
Rymy śpiewane z uwagą spisywał,  
Których nie może wcale język polski  
Wydać . . . . .

## IV.

Lirnik, jak zwykle, sam do siebie gadał,  
Potem na księżyc spojrział — ruszył głową:  
Oj!... jutro będzie deszcz skrwawiony padał!

Pomyśl ty, synu, na walkę stepową...  
Bo jutro będziesz ty w krzyże układał  
Trupy na trupach. Krwawe moje słowo,  
Ale i krwawy dzień jutro zaświeci...

Oj! żorawiany to klucz małych dzieci  
Przyleciał tobie... Wróżę, czy nie wróżę,  
A ty się gotuj w bój!... idzie godzina —  
Ciemne ja w uchu mam dzwony i stróże  
I dusza we mnie dla ciebie ojczyzna.

Wozy na wozach postaw — koła w górze,  
Tak jak dom, co się podnosić zaczyna;  
A z kawaleryi zrób śpichlerz sieni  
A tak do Baru pidem, wśród płomieni.

Każy Tatarom wstać, ty budowniczy,  
Póki spokojna noc... taj dom stawity,



Bo jutro cały step ludem zakrzyczy,  
 A ty ze swego domu budesz byty  
 Jak pan starosta... słuchaj... ja  
 Sławny na stepy. — Teraz . . . . .  
 Czerwone w oczach łyskają . . . . .  
 Śpiewają we mnie srebrne . . . . .

## V.

Potem głos dzwiczny — nie drżący i młody,  
 Głos Beniowskiego wyszedł z głuchej ciszy:  
 — Od armat lękam się w taborze szkody,  
 Na ochotnika kto mi towarzyszy?  
 Nim dzień zabłyśnie, wrócim do gospody,  
 Wpadłszy na wroga prędzej, niż usłyszysz;  
 A jeśli śpiące porozstawiał czaty:  
 Zaszpunktujemy złapawszy armaty.  
 Armaty bowiem słyszę; z armat będzie  
 Obrona memu drewnianemu miastu.  
 Panowie szlachta, kto szkapy dosiędzie,  
 Za mną! — Stanęło szlachty stu trzynastu;  
 Ci w niedobranym wystąpili rzędzie;  
 Reszta została niby dla balastu  
 W taborze szarym, jak na dnie okrętu  
 Fuzye bez kurka, szable bez pendentu...

. . . . .  
 . . . . .

Potem ze złotych słonecznych promieni  
 Rycerze jacyś konni i wysoko  
 Jakby w powietrznym blasku zawieszeni  
 Schodzili na dół; oblani posoką  
 Husarów zdają się lecących cieni.  
 Ale już widać — szlachta działa wloką  
 Za nimi leksza druga złota chmura,  
 A nad nią szable — jak kłosa i pióra,  
 Lekkie i krzywe. Za tą znów gromada  
 Widma czarniejsze, na zwinnych rumakach

Spisy i ciała swe na spisach kładą,  
 I tak schyleni leżą na kulbakach;  
 Czasem Tatarów na stepach dojadą —  
 Strzelą... i pierzchną — wiją się po krzakach —  
 Znowu się łączą... Allach dają nowy,  
 W którym sam El Dżin szablą ściął dwie głowy.  
 Tymczasem wozy Borejsza odmyka,  
 Na szlachtę czeka, rozsuwa kolaski;  
 Rzekłbyś, że widzisz dobrego ptasznika,  
 Który otworzył swoje samotrzaski.  
 Leci szarego chmura wojownika,  
 Turkocą działa, idą z szabel blaski,  
 Wpadają w tabor... Wódz nie przewodniczy;  
 Stanął przy bramie i rycerzy liczy.  
 Jak pasterz stary, gdy pastuszki wiodą  
 Bydło, nie idzie spocząć do piekarni,  
 Lecz przy oborze rozlicza się z trzodą;  
 Tak i wodzowie — gdy są gospodarni,  
 Wyżsi od ludu sercem i urodą,  
 A jako żołnierz krwią i prochem czarni —  
 Nim pójdą w namiot, to wiedzą najpierwsi,  
 Ile kul padło w sztandar — ile w piersi.  
 Przed wodzem szlachta przepędza zwycięska,  
 El Dżin przyleciał jak wiatr z Tatarami;  
 W Beniowskim twarz się stała prawie męska,  
 A krew mu szablę po rękojeść plami;  
 Tabor jak harfa szumów czarnoksięska  
 Wre pieśnią — działa czyszczą żupanami,  
 Bowiem je wzięto ze krwią bombardyerów,  
 Rozciąwszy wiele czaszek i giwerów.  
 Pułkownik także Salmur w piersi ranny  
 Wzięty w niewolę; Szwed posępnej twarzy,  
 Piękny jak młody kochanek Dyanny,  
 Który przy działach właśnie stał na straży,  
 Na Zyguntówce miecz strzaskał jak szklanny  
 I już mu głowę mieli ściąć Tatarzy —

Beniowski strasznym przywiedziony krzykiem  
Wziął go, gdy z lontem już stał nad jaszczykiem.

Takie dnia tego było powodzenie;

Cokolwiek także wzięto karabinów,  
Prochu, kul — ważne dla taboru mienie,

Droższe niż beczki pereł i rubinów.

I tak Barowi stepem szło zbawienie

I stepem szła wieść Beniowskiego czynów.

Dalsze taboru walki i turnieje

Następna wam pieśń powie i opieje.

### VI.

Wystawcie sobie nową Salaminę,

Drewnianym murem wkoło opasaną;

Wystawcie sobie idącą mieścinę,

Wystawcie sobie fortecę drewnianą;

Wystawcie sobie tę smutną równinę,

Gdzie mogiłami o wiekach pisano,

Jako na karcie najpiękniejszej świata

Najcudowniejsze dawne poemata —

Które dziś śpiewa wiatr, gadają krzyże,

Kraczą sokoły, w szumach niosą chmury...

Dziś tabor koła posuwa niechyżę

Po wielkiej trawie, a strzelb wytknął rury,

A ma na nogach swoich złote spiże —

Jak ćma, gdy złoty wąż niesie do góry,

Albo jak ślimak co z domem się toczy,

Wysuwa rogi, na rogach ma oczy...

Wystawcie sobie, że się tak posuwa

Stepem; a wkoło są moskiewskie szyki.

Moskal — wokoło rozwinięty czuwa,

Kozackie błyszczą kulbaki i piki;

W środku głód wszczął się i męstwo zatruwa;

Jedzą kobylę, skóry i trzewiki,

Skra gorączkowa głodu w oczach stoi;

Nie atakuje wróg — lecz niepokoi...

Zaledwie cztery mil na dzień uchodzą —

Do Baru jeszcze takiej drogi trzy dni:

Moskale ciągle lub ranią lub głodzą;

Tatarzy stali się jak psy ohydni —

Chcą zacząć trupy jeść. — Węże się rodzą

W sercach — krew harda oczy im rozwidni;

Patrzą po sobie — i milczą głęboko,

Lecz jak szakale mają twarz i oko.

Zda się, że szczęki wzięły kształt zwierzęcy

I wyciągnęły się, zbieleły zęby.

Słońce szło wyżej i piekło goręcej,

A par wychodził czerwonymi kłęby;

I nawet wróble, co w kilka tysięcy

Licząc w to szczygły, czyżki i zięby,

Żyły w taborze — ze strasznego grodu

Wygnała je dziś czarownica głodu.

I poleciały chmurą do Moskali

Ptaszeta owe, jako zdrajce kraju;

Głód został — i gry, w karty zawsze grali:

Brzęk złota, jak brzęk trupiego ruczaju,

Mieszał się z brzękiem rozplakany stali;

A głód, jak Mojżesz straszny na Synaju,

Siadł na wysokim wozie, w ognia chmurze,

Czarny, jak szabla schowana w jaszczurze —

I patrzył na tę ćmę, co stawia złoto

Na karty, i tem wnętrzości ucisza...

Beniowski jeden nad szarą hołotą

Został bez druha i bez towarzysza;

Sposepniał — smutek zrobił go istotą

Wyższą: na głód ma cierpliwość derwisza,

Na skargi szlachty, wymówki okrutne —

Czoło spokojne, blade — ale smutne...

Jeszcze dziś odparł szturm i na temblaku

Ma lewą rękę — noc spokojną zyska;

Postawił strażę i sam na rumaku

Obejrzał tabor, wrogów stanowiska;



Pewnie noc cała przejdzie bez ataku,  
 Moskal zapalił czerwone ogniska,  
 Leży po bitwie: pora jest dogodna  
 Natrzeć, lecz konie chude — szlachta głodna.  
 Tatarzy także przy wielbłądach siedli  
 I patrzą w ogień straszni, zadumani...  
 Skra się w żrenicy suchej tak zwierciadli,  
 Jakby krew ludzka z ogniem były na niej;  
 Coś grzybów czarnych zebrali i jedli —  
 Może to z worków swoich ci szatani  
 Dobyli, aby głód umorzyć krwawy,  
 Straszniejszy jeszcze niż szańskie strawy...  
 Koło ich kwater przeszedł — nie zagląda  
 W usta, nie patrzy co pod jataganem;  
 Wśród klęczącego zostawił wielbłąda  
 Te straszne sfinksy, będące kurhanem:  
 Bóg od nich jak od grobowców zażąda,  
 Aby krew cudzą ust wylali dzbanem,  
 I z prochu swego proch oddadzą cudzy  
 I z potępionych ludzi — wyjdą drudzy...  
 Beniowski przeszedł mimo. Noc gorąca,  
 Step parzy; niebo — choć noc — czerwienieje;  
 Nie było ani gwiazd, ani miesiąca,  
 Ani tej rosy co po stepach sieje  
 Narcyzy ani wiatru; — pieśń płacząca  
 Co w ukraińską noc po kwiatach wieje,  
 Odezwała się: wszystko pokój wróży,  
 Jednak powietrze gęste — pełne burzy...  
 Beniowski strażę postawiwszy wkoło,  
 Wszedł do namiotu: tam po jednej stronie  
 Lirnik, na lirze położywszy czoło,  
 Leżał; w przegrodzie drugiej stały konie.  
 Namiot wyglądał odarto i goło,  
 Ze skór był owieczych; kaganiec w nim płonie,  
 O szable różne i o bronie trąca  
 Blady, jak złota gwiazda czuwająca...

Lirnik w postawie lwa, na wilczej skórze  
 Leży na ziemi — włos ma pełny prochu,  
 Zwinięty, srebrny — jak gniazdo jaszczurcze,  
 Które wylęła krew i wilgoć lochu.  
 Blizy przy drugim i skórzanym murze  
 Siedział pułkownik; garść suchego grochu  
 Od Perkunasa kupił: — dał zegarek,  
 I ma to jeszcze prawie za podarek...

## PIEŚŃ XII.

Gdy więc zabrano podstępem Ladawę,  
 Zamek się ten stał jak główna kwatery:  
 Obaczono tam orła pana Sawę,  
 Pułaskich obu i Dumouriera,  
 Wiele szlachcianek, które przez obawę  
 Kozaków, jako w powieści Homera  
 Strwożone nimfy przed młotem Cyklopów,  
 Zbiegły się, wolać tę szlachtę niż chłopów.  
 Była tam księżna Elżbieta, co ongi  
 Z księżciem saskim w wiejskim pałacyku  
 Widywała się... i przez swe pociągi,  
 Perły łez, tęcze uśmiechów — bez liku  
 Serc zdobywała. Inne dziwolagi  
 W kornetach, z kwiatem nawet na trzewiku,  
 Jako w Noego zeszyły się korabie  
 W tym zamku — wojny zaczynając babie.  
 Jedna żądała Sasa... i fontazie  
 Robiła z wstążek złotych saskiej maści  
 I przypinała je, żółtej zarazie  
 Podobna. Druga miała do napaści  
 Szkaplerze tarte przy świętym obrazie  
 Lojoli. Trzecia, podobna przepaści,  
 Robiła vacuum wielkie, jako sfera,  
 Sama rządzona przez słońce Woltera.  
 Przy niej Wybicki pisał pamiętniki,  
 Nauce baby dziwiąc się... w rozpacz,



Że się nie uczył w szkołach botaniki...

Nie takiej, która mówi co kwiat znaczy,  
Ale tej, która każdy listek dziki

Zwie po łacinie. Przez co się tłumaczy  
Cała ówczesna Polska za nauką  
Lecąca, jak dziś pan Hugo — za sztuką;

Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony

Któremu zda się, że już wiele umie,

A jeszcze słów są ogromne szwadrony,

Których rozumem swoim nie rozumie...

Słowem, zamek był szlachtą przepelniony.

Potrzeba było jak przy morskim szumie

Używać trąby akustycznej — aby

Powiedzieć jedną prawdę: że kraj słaby.

Szlachta uczona była na Alwarze

Przypadkowania i strachu herezy —

Przez ludzi, którzy nie patrzeli w twarz,

Ale na nogi; a zaś dla poezyi

Pisali złote i srebrne ołtarze,

Podobne pięknym balladom Świtezi

Lub Dziadów..., w których spotykał wyrostka

Nie Gustaw — lecz Jan Kapistran, lub Kostka;

Z kobiet zaś święta Tima lub Agnieszka

Z kleszczami, które rwą zęby. — Do róży

Poezyi trudna bardzo była ścieżka;

Dlatego nikt nie przedsiębrał podróży.

Szlachcie, co w domku pod lipami mieszka

I Panu Bogu czasem szablą służy,

A czasem rąbał łeb przy trybunale —

Że poetycznym był... nie wiedział wcale.

Pułaski, który w szarej się czamarce

Po salach włóczył — a czasem przez wonny

Klomb lip wyprawiał na swym koniu harce,

Jakoby młody srebrny Anioł konny,

Gdy pod lipami stały chłopcy starce

Kiwając łbami — że był jednotonny

W rozmowie, wśród bab stał zawsze z daleka  
I nie uchodził za orła człowieka.

Za to był pewien książę Lubor młody,

Rumiany, pięknej postaci topolnej,

Który z Warszawy właśnie przywiózł mody,

Z Warszawy wówczas jeszcze bardzo wolnej.

Ten był brylantem najpiękniejszej wody

U pań, w dowcipie naksztalt żupy solnej

Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów;

Bo tyle miał par butów — co konceptów.

Z nim zwykle pani Dafnicka Sybilla,

Która umiała już język francuski,

Gadając piekła raka albo gila;

Choć mówią, że ją król szanował pruski

Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)

Książę dowodził jej, że polskie kluski

Zowią się wszędzie z drugiej Renu strony

Po towarzystwach wyższych: p e d e n o n y.

Z czego ją wtrącił w taki gniew, że z miny

Piorunem była, a ze wzroku furia;

Bo to już wzięła za wyraźne drwiny —

Nie za dowcipu różę, lecz nasturę.

Kluski nazwała l a r m a m i z f a r y n y,

A księcia błaznem... bo sprowadził z gór ją

Wyższego tonu, i tonem Polaka

Przymusił zawsze bladą — upiec raka.

Tę panią zawsze wielkie myśli pasły

I książkowe ją napelniały strawy.

Książd ją spowiadał chudy, mąż opasły

Nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy;

Zwykle chodziła jak wulkan zagasły,

Mając na głowie wielkie sople z lawy,

Których dostarczał ognisty Wezuwiusz;

Synka jednego mając, zwała... Fulwiusz.

Wystawcie sobie więc moją Aniełę

W takim żaloszem gronie ze swym tatkiem,



W którym się nagle, jak w starym kościele  
Duch jakiś rzymski pokazał przypadkiem:  
Mowy miał od tych słów: Obywatele!

Upadających mocarstw byłem świadkiem:  
Nie siarka niszczy je, ani saletra,  
Ale niezgoda... pijaństwo... et cetra!

Takiemi mowy, sądził, że pomaga  
Nadzwyczaj panom Pułaskim w robocie.  
Słowem — że stał się mówcą stary szlaga  
I wszystkich bardzo zachęcał ku cnocie;  
A choć słów była bardzo mała waga:

Takie dziesiątki wyrzucił i krocie  
I tyle skrytych ku Moskwie przyczepnin,  
Że się dowiedział o tem... tutor Repnin.

A że ze słuchu tego buntowszczyka  
Znał tylko: myślał, że to Galeador  
Lub Artur, który dom szlachcie odmyka  
I dla wolności ludu wpada w Ador;  
Porwawszy więc wprzód Biskupa Sołtyka  
I Rzewuskiego, mądry ambasador,  
Który przedsiębrał zawsze drogi proste,  
Posłał kibitkę po pana starostę...

Pierwsza kibitko ruska! gdy w okęcie  
Polskim już zapach strupiały poczuło,  
Ty pokazałaś się w śniegu zamęcie  
Jako ludożer pierwszy, za tą sztuką  
Płynący... Inne ryby mają cięcie,  
Lub paszczę na miecz srebrzysty przekutą,  
I pod wodami są okrętom pila,  
A potem — ludzi pożartych mogiła.

Z pod głębi morza nigdy nie wychodzą,  
Ale chowają tam okropne głody;  
Jako robaki spodom trumien szkodzą  
I polykają okręt paszczą wody,  
I tam w ciemnościach za trupami chodzą;  
Gdy morze pełne zdaje się pogody,

Błękitne: to się w morzu gonią one  
Przez głębie, mordem podziemnym czerwone.

Takie się ryby chowające w ciemni  
Zowią... nie powiem słowa, bo jest trudne,  
Bo i dziś są ci morderce podziemni,  
Ubrani w blaski Boże, lecz obłudne;  
Bo mi jest nawet milej i przyjemniej  
Patrzyć na pola Sybiru bezludne,  
Na cień kibitki, która w śniegu goni,  
A tak jako ksiądz z Panem Bogiem dzwoni.

Gdy leci, jakiś smutek goni za nią  
I jakaś dziwna świętość wyprowadza  
Za pola: drogi całe się tumania,  
Lasowi, zda się, że szumieć przeszkadza;  
Kiedy gdzie trzodę rozbija baranią  
Jak bomba, która cały szyk rozsada:  
Matki trzód, zdjęte boleścią człowieczą,  
Jak za swojemi jagniętami beczą.

I długo patrzają; a gdzieś potem morze  
Śniegowe, słońca u wołżańskiej wody,  
I czerwone ją nadsybirskie zorze,  
I gdzieś jak gromy pękające lody,  
Jakoby wielkie jakieś salwy Boże,  
Ostrzeliwają... bo ziarno swobody  
Wniosła na ziemię tę martwą i siną,  
Którą zwie Tacyt ludów oficyną.

Ale ach! Polska, ta co lat piętnaście,  
Jak bomba, nowym ogniem się rozpala  
I pod marzących nogą rwie przepaście

.....

Taka kibitka po pana starostę  
Wysłana, biegła z Warszawy. Kibitka  
Jest tu figurą; bo rzeczy są proste,  
Że trakt, ta srebrna Aryadny nitka,

Szkapy — na orły zmienione przez chłostę,  
 Poczta, ta nowa karczma neofilka  
 Autokratyzmu, pisarze i szczoty  
 Nie były znane w Polsce... wiek był złoty!  
 Złoty był to wiek: bo niewinność rajy  
 I nieświadomość u kobiet... ewiana!  
 Nie piły jeszcze kawy ani czaju,  
 Lecz proste piwo grzane jadły z rana;  
 Rzadko się która kochała w lokaju

Cybernetyka!... Zda się dla ochłody

Xantypa, która czysto dom umiała,  
 Na Sokratesa leje ceber wody,  
 A potem mydli tę pochodnię świata,  
 Łeb inclusive z nosem, aż do brody.  
 Dobra Niemkini! ale nie skrzydlata  
 Jak Psyche — a swe dziatki pół-niemczyki  
 Sadząca często do cybernetyki.

Za to mąż kąpie Poznań — a ten z wanny  
 Wychodząc, strząsa warkocz uperlony,  
 A uczesany już podług Ch o w a n n y  
 Na kraj, który jak kania dżdżu spragniony...  
 Lecz wróćmy do Ladawy! — Czas był ranny,  
 Ogród srebrnymi perły uiskrzony;  
 Każdy kwiat, każde drzewko w perłach było,  
 Coś w mgłach śpiewało smętnie — i myślało.

Powietrzna jakaś myśl i śpiew, podobny  
 Do Requiem... bowiem przez duchy śpiewany;  
 A że wiedzący przyszłość — już żalobny,  
 Jakby z aniołów, który obłąkany  
 Śpiewał w szpitalu. Nie był to śpiew drobny,  
 Perłowy, jak dziś dzwonią fortepiany;  
 Lecz coś, jakoby w dalekim klasztorze  
 Śpiewano z wielkim płaczem „Święty Boże!“

Dawnom takiego śpiewu tajemnicy  
 Śledził i wyznam, żem śledził daremnie;  
 Czasem go słyhać w letniej błyskawicy,  
 Czasem w błękitach gra — a czasem we mnie,  
 A czasem w całej wiejskiej okolicy  
 Słyhać go — czasem zaś słyhać podziemie  
 Grający, z brzękiem pomieszanej stali,  
 Jakby w kurhanach umarli śpiewali.

Czasem nim buchnie wiatr, a czasem kłosa,  
 A czasem pies go usłyszy i stanie,  
 Nasroży uszy i najeży włosy  
 I warczy głucho. Czasem to śpiewanie  
 Usłyszy w stepach idąc żebrak bosi  
 I myśli, że to zebrana na łanie  
 Wróbli gromada śpiewa, harfa szara  
 Ptaszków — albo szum gruszy — albo mara...

Owiana takim śpiewem, słuchająca,  
 Patrz, bieży panna Aniela ogrodem,  
 A każdy z głosów ją aż w serce trąca,  
 Choć gorset, stanik złoty ma pod spodem,  
 Gorset ze złotej lamy, w pół miesiąca  
 Pod samą szyją cięty; rannym chłodem  
 Mrozi ją nieco wiatr, ale jej nie czuć  
 Zimna, bo pełna pamiątek i przeczuć.

Oh! te pamiątki! smutkiem, łzami wiszą  
 Na rzęsach, i są ciężarem i cieniem,  
 I są na twarzy jakąś wielką ciszą,  
 I są jakoby jej czoła uśpieniem:  
 Gdy usta niby przeczuciami dyszą  
 I oświecają koralem, płomieniem  
 Jej twarz, i czasem zbiegają po licach,  
 Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.  
 Za nią na zamku wszystkie okna gora,  
 Jak rząd płonących jasno meteorów.  
 Tam kłaby, brzozy z osrebrzoną korą  
 Różane teraz słońcem; tam z kolorów



Malw — niby tęcz się zapala siedmioro

Około różnych posągów, upiorów  
Dawnego świata, tam pomiędzy różę  
Stoją rzezane marmurowe kruże.

Dalej staw; i tam zaczyna się miła  
Zieleń drzew, głębsze, wilgotniejsze cienie,  
I Anielinek chatka, jak mogiła

Pamiętek, i to pod chatką siedzenie,  
I ta gołębi chmura, w którą biła.  
Jutrzienka jak w mgłę białą; i wspomnienie  
Siedziało nad tą chatką, jak Noemi  
Lub Ruth, spuściwszy włosy aż do ziemi...

Dziwnie, że czasem cały duch obrazu  
Wymaluje się nam jako Cherubin  
I stanie w myśli widzącej od razu,  
W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin  
I gwiazdę nakształt bladego topazu

Ponad warkoczem! jest to duch zaślubin  
Z naturą, który nad Dźwiną i Preglem  
Chodzi w surducie i zowie się Heglem.

Ale Aniela — do hegliski wcale  
Nie dorośnięta, bliższa Afrodyty  
Pięknością — taka lekka, że na fale  
Stawu wejść mogła, i staw nie rozbity  
Nosiłby nóżki jej... Jestem w zapale!

I oto mówię, że piękność kobiety  
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,  
Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

Aniela była taką duszą; ona  
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza  
I bohatera. Polska przez nią śniona  
Świątą jest, wielką; z góry już uderza  
Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona  
I do żywota budzi i przymierza;  
Wielka i silnym podniesiona lotem  
Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Gdy piorunami ognistemi lunie,  
To coraz jeden grób oddaje ducha!  
Zakipiał żywot w każdej stłalej trunie,  
Zniedokwasiła się zgnilizna, słucha  
I wstaje... Kiedyż, o Boży zwiastunie,  
Gołębiu, który szepcesz mi do ucha  
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,  
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam, i blade  
Tęczą nadmorskich kwiatów, wieczne pola  
Depcę, a wielkich duchów o poradę  
Pytam; i często piorunowa wola  
Ściąga mi taką moc, że ręce kładę  
Na wiatrach, jako na harfy Eola  
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,  
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!  
Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury  
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie  
Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry  
Słychać jakoby sztandarów rozprucie  
I szelest, niby orzeł je w pazury  
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry: —  
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,  
I gdy zbudzicie się w łożu spotniałi  
I usłyszycie, że drżą wasze dachy  
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;  
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,  
Bogu pokaże i przed Nim powali,  
A będzie ziemia cichą jak mogiła: —  
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!...  
Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe  
Rozplacze, rączki założy na głowie,  
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,  
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;





Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,  
 Nigdzie na gorszej nie była dyecie,  
 Jak w tym człowieku, ta idea czysta,  
 Z którą on cały wyglądał — jak glista.

I może nawet skutkiem tej idei

Czystej wychudł tak nieszczęsny nieborak,  
 Jako poeta, który wiersze klei,

A nie jest ani sekciarz ani dworak.

A może też był w krainach nadziei,

Gdzie go zaniosła chuda klacz Elborak,  
 Mahometanka, którą dla igraszki  
 Borejko Litwin wprzągł do kałamaszki,

Spotkawszy ją gdzieś koło Bałty? — nie wiem...

Ale to tylko wiem, że pan Beniowski,  
 Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem

Za Świtezianką, miał butów podnoski  
 Podarte, albo spalone zarzewiem,

Jako u Danta, gdy ten śpiewak Boski,  
 Emigrant jak ja, wpadł między straszidła,  
 Co z kości miały pierś, a z ognia skrzydła.

Beniowski w krótkiej nadzwyczaj włóczędze  
 Poznał tajemnych rzeczy bardzo wiele.

Mówią, że spotkał jak Makbet trzy jędze

Na pustym stepie; że w starym kościele  
 (Wszystko znalazłem w jednej dawnej księdze,

Którą na półkach mam oprawną w ciele)

Że w starym, mówię, kościele raz zasnął,  
 A w kościół lunął deszcz i piorun trzasnął

I bohatera mego jasne oczy,

Błękitne, wielkiem swoim płomieniskiem  
 Oćmił; ślepego chwycił duch proroczy

I zrobił widzeń złocistych igrzyskiem.

Khan Giraj chciał mu dać dziesiątek koczny

I zrobić wodzem nad tem koczowiskiem;

Ale odłożył to na czasy drugie,

Krótki w nim widząc wzrok, a myśli długie.

Borejsza Litwin potem go kaptował

Dla Radziwiłła; lecz mój Węgro-Słowak

Proroczym duchem Litwina zgruntuwał

I odpowiedział ni tak ani owak.

Litwin jak ślimak zaraz rogi schował

I tak za... Coopera Pothowak

Utonął w gęste traw stepowych wniki

I ponurtował w swój las — w mateczniki.

Lecz pierwaj ostrzegł Khana, a prywatnie,

Po przyjacielsku, usta w samo ucho

Włożywszy: że się Beniowski w ostatnie

Zgrał i przed sądów ludzkich zawierucha

Uciekł; dlatego na strzały armatnie

Szedł tak odważnie i z taką otuchą,

Jak Achil; bo też z pod prawa wyjęty,

Nie mógł być ranny nigdzie, tylko w pięty.

Dodał, że to jest duch francuski, z duchów

W Polsce najgorzej uważany... nawet

Wyklęty; że jest takich wiele zuchów,

Więcej niż armat w Nieświeżu bez lawet,

Więcej niż w Khana wojsku jest kozuchów,

Więcej niż w kłótni gorzkich słów wet za wet

(Przedrabowawszy wprzód Lindego słownik)

Tygodnikowi oddał Orędownik.

Dodał, że każdy taki duch francuski

Jest pod klątwami wielkimi Kościoła;

Że jeden się udławił, jedząc kluski,

A inni, chociaż wesołego czoła,

Schną wewnątrz, jakby je kwas palił pruski

Albo Cyrcejskie zaraziły zioła

Świniną. — Nie mógł dociąć niczem lepszem,

Bo Khan Beniowskim wnet zbrzydził, jak wieprzem.

I gdy mój rycerz po spaleniu Bałty,

Na co Khan patrzył z wieży, klaszcząc w dłonie,

Mysłał i roił — (o jak piękne kształty

Imaginacya ma, kiedy rozplonie



I rozumowi zadająca gwałty  
 Gmachy buduje na tęczy ogonie!)  
 Gdy rycerz, mówię, mój już roi Bosko  
 Z Tatarów — legią niby jakąś włoską  
 Po jasnych polskich polach latającą,  
 Dębowych ciemnych lasów oboźnicę,  
 Chmurę, w której się blaski mieczów macą,  
 Tak że ją bierze chłop za błyskawicę,  
 A w nocy widząc, za chmurę idącą  
 Co wszystkie niebios zabrała księżyce,  
 Zwinęła w jeden kłęb i mgławo płonie,  
 Miesiące w srebrne zamieniając konie...  
 Gdy marzył, mówię, że taką wiatrówkę  
 Z szarych złodziei i cichą armatę  
 Będzie miał wkrótce na komenderówkę,  
 Gdzie zechce, całą narazi na stratę,  
 Zgubi w stepowym tańcu jak podkówkę,  
 Razem z nią legie burlaków brodate  
 Zgubiwszy, tak że (przechodzi mnie mrowie)  
 Ruski historyk o niej... nic nie powie!  
 Gdy marzył, mówię, tak i rósł w niebiosą  
 Nadzieją przyszłej sławy: — Aniołowie  
 Ugwiażdżonego nad nim stali włosą  
 I owej myślą stawianej budowie  
 Runąć kazali, strzeliwszy z ukosa  
 Słońcem po kolumn fantastycznych głowie,  
 Tak że z rubinów wzięły blask niezwykle  
 I szmaragdami stały się — nim znikły.  
 Spyta mię teraz kto: czyliż nie lepiej,  
 Aby ci zacni Aniołowie Bozi  
 Pomogli byli ręce, która szczepi  
 Strach i śmierć — szabli, która wroga mrozi  
 I często krzyżem płomiennym oślepi,  
 Zrobiwszy z siebie krzyż i wiatr?... ambrozii  
 Gdyby nalali byli w życia czarę,  
 Nim usta stracą smak i w ten smak wiarę?

Czyliż nie lepiej, aby w trochę ciała  
 Oblekli byli marzenia młodości?...  
 O! Troje! jeszczebys aż dotąd stała  
 Pełna cnót dziwnych, starych, — i miłości...  
 Jak dawny kościół cedrowy — spróchniała,  
 Gdzie jednak Boża woń aż dotąd gości,  
 A często belka stara w oczach ludu  
 Rozkwitnie różą lub narcyzem cudu.  
 Bo i z tych starych łbów szablą naciętych  
 Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża,  
 Piękniej niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,  
 Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża!  
 I na turkusie skrzydeł rozciągniętych  
 Mogliby swój duch za Anioła Stróża  
 Postawić światu, gdybys ty był, Panie,  
 Aniołom Twoim kazał mieć staranie  
 O tych dzieciątkach starych! A to oni  
 Nie pożegnawszy nas nawet i woli  
 Nie zostawiwszy względem starej broni  
 I względem swojej puścizny i roli,  
 Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni  
 Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli  
 Bolem ich serca; lecz pełna zamętu  
 Myśl, bo odeszli nas — bez testamentu.  
 Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,  
 Na którym stanąć mogliby synowie?  
 Wszystko śpi głucho pod deską grobową!  
 Kto co od trumien zasłyszał — niech powie,  
 A odbudujem całą Polskę nową  
 Na tem jedynem, tajemniczem słowie!...  
 Na tę myśl Anioł się we mnie uśmiecha  
 A razem pełny łez... Cóż? nigdzie echa?  
 Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży,  
 Jakoby w rzymskiej ruinie kaskada,  
 Co skrzy i błyska i dymi i śnieży,  
 I płacze i grzmi i jęczy i gada —



I swój nimfowy włos tęczami jeży,  
 A spodem głązy powoli wyjada  
 I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,  
 Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.  
 Więc pod tym grzmotem, pod temi kolory  
 Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,  
 Że różne z myśli leją się upiory,  
 Że z pełną jestem wymyśleń kaletą;  
 Ale wierzajcie... żem rymu podpory  
 Podłożył sercem — i to moje veto  
 Przeciw fałszowi kiedy duch mój rzuca,  
 To więcej mnie to kosztuje — niż płuca...  
 Otóż Beniowski mój powrócił z Wschodu  
 Właśnie jak veto żywe, lecz obdarte  
 I biedne; doznał pierwszego zawodu,  
 Przewrócił tego świata pierwszą kartę  
 I przyszedł jako nędzarz do ogrodu  
 Pokazać serce, które więcej warte,  
 Niż to, co za nie dawali na świecie  
 Ci, co kupują serca na tandecie.  
 Mroczny, wstydlivy, z pochyloną głową,  
 Po przywitaniach pierwszych rzekł: Hrabianko!  
 Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,  
 Oddać pierścionek; żadną odtań wzmianką  
 Nie będę trudził twych myśli — grobową  
 Ziemią zasypię oczy... Podolanko,  
 O! Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!  
 Daruj, że w takim stroju, takie słowa...  
 Tu zaczął jękać się, bo kawalerstwo  
 Żywe lękało się w nim jakiej wzgardy;  
 Daruj — rzekł — dawne z twem sercem braterstwo,  
 Dawne twe łaski — a teraz los twardy  
 I moje, patrzaj żebrackie żołnierstwo  
 I różne życia mojego hazardy,  
 Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza  
 Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojej myśli stana,  
 Może wycisną łzę, o moja pani!  
 Bądź mi na wieki teraz pożegnana,  
 A nie idź za mną, bo ja do otchłani  
 Idę. — To mówiąc, twarz swą obłąkana  
 Obracał wszędy jakby go szatani  
 Ścigali, nawet nie dając pokoju  
 U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,  
 W pasiece leśnej. A do niego ona,  
 Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,  
 Bo słońcem była żrenica zatłona,  
 A rzęsy pełne pereł, jak promyki  
 Świeciły wkoło; a głos z głębi łona  
 Wychodził cichy, lecz straszny i dziki —  
 Co? rzekła, po toś przybył i mnie z domu  
 Kazał dziś witać siebie pokryjomu,  
 Abym słyszała, ja, która tak wiszę  
 W powietrzu, jako ta smętna kaskada,  
 Abym słyszała to, co teraz słyszę,  
 Że skała, z której ja lecę — upada?  
 Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę  
 Przypomniiał — ty wódz tego ludzi stada,  
 Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty,  
 Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?  
 Powiedz! Więc i ty na sercu kaleka?  
 Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?  
 O trup ty! stoję ode mnie z daleka,  
 Bo ja się próchna i robaków boję.  
 Cóż ja kochałam, kochając człowieka?  
 W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję  
 Jak nad przepaścią jaką — sama jedna  
 I opuszczona wiecznie — o ja biedna!  
 Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,  
 Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,  
 Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,  
 A nie odmieni się sercom, co giną,



Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną

Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną  
Duszą, co tobie spadała jak z miesiącą —  
Siostra i matka razem — i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna

Tego rozdziału, tej bolesnej rany,  
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,

Bo ta wychudła twarz i te lachmany,  
Na które patrząc, strach mi głos ucina,

Są przecież ludzkie; a ty jak szatany

Zimny, choć oczy twoje lżą zabiega,  
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiedz mi, skąd ten blask i takiej dumy

Rys na twem czole? Co? tyś przeciw Boga  
Wstał... Co? nie prawda? Słyszę jakieś szumy  
W tym lasku, skąd na step wychodzi droga...

Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,

Choćby na twoich piersiach była sroga  
Śmierć, jako piorun przychodząca Boży  
Głowie co na twej piersi się położy:

To kiedy patrzę na świata pustkowie,

Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,  
Czuję, że to jest jedyne wezglowie

Ta pierś oblana moich łez potokiem...

Tu na kamieniu tym żalostną głowę

Pozwól położyć — reszta jest obłokiem,  
Reszta jest niczem — ten świat, ziemia cała...  
Jęklą, przegięła się w pół — i omdlała.

Beniowski w trudnej bardzo pozyturze

Stał, bo ją trzymał w pół upadającą.

I razem słyszał, jak się leśne róże

Ruszyły, uczył i mróz i gorąco —

Usłyszał bowiem szelest, i na wzgórze

Podniósłszy oczy, spojrzął — na patrzącą

Parę schowaną w kaskadowym pyle

I w różach... ujrzał Dafnicką Sybillę

Z księciem Luborem! Wnet poszedł do głowy

Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza,

Żebrak — postąpił jak hetman niżowy,

Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;

Wystrzelił, a na strzał pistoletowy

Zbiegła się jakaś okropna wołosza

Różnego stroju, barwy, różnej broni,

Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczenni gestu,

Poszli na wzgórze; i po krótkiej chwili

Brzęku, bo książę bronił się — szelestu,

Bo się trzepała lepsza od motyli

Pani Dafnicka: dawszy we czterdziestu

Radę i księciu i pani Sybilli,

Jako rycerskie pozwały się czasy,

Z parą swych jeńców żywych — poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa

Zda mi się bardzo teraz jego ścieżka!

A przy Anieli sennej niańka Diwa

Płakała. — Taka w tym kraju zamieszka

I taka była wówczas nieszczęśliwa

Krwia zamieszona różnych żądź lemieszka,

I taki rycerz mój co po buzdygan

Idąc, zaczynać musiał jako Cygan.

#### PIEŚŃ XIV.

##### I.

W złotej Ladawie dopiero wieczorem

Spostrzegła szlachta, że pani Sybilla

Z księciem, którego nazwano Luborem,

Zniknęła. Oknem patrzano co chwila,

Czy gdzie nie widać ich zajętych sporem

O wiersz Homera, Danta lub Delilla;

Ale nie, nigdzie o nich ani słycho...

Liście w ogrodzie szeptały po cichu.



Ale w tych szeptach co się anielskimi  
Wydają, kiedy brzoza z brzożą gada,  
Żaden szept głośny dźwięki francuskimi  
Nie szepnął. Więc żart powiedział nie lada  
Każmierz Pułaski, że ucho do ziemi

Po wojskowemu przyłożyć wypada  
I słuchać. Na to księżna rzekła sucho,  
Aby przyłożyć do księżycy ucho —

Bo pewnie na nim są. Więc Amfitryon  
Starosta bardzo przytoczył ciekawie  
To, co o żonach rzekł filozof Bijon:

Ze jeśli piękną weźmiesz, toś w obawie;  
A jeśli brzydka, toś unieszczęśliwion...

Dylemma, które w wielkiej było sławie  
Za Jezuitów, w filozofii klasach;  
Bo myśl w nim chodzi tak, jak na zawiasach.  
Jednak zaczęto się lękać, gdy stary

Zegar już dzwonił dwunastą godzinę,  
A szlachta wina dolawszy do miary  
Była w fantazyi... zdjąć pozłotowinę

Z księżycy, lub wsiąść zaraz na bajdary  
I przez Dniepr płynąć albo też przez Dźwinę  
Po szóstą świata część, której odkrycie  
Przeczuła — łowiąc muchy po suficie.

I nie dziw: bo świat ich już był opalem  
I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,  
Za którą złota stała Jeruzalem

Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,  
Z których jeden jest męczeńskim koralem  
I ciągle od krwi polskiej się czerwieni;

A bramy, co się przed polskimi berły  
Odemkną, z łyż są jednej, z jednej perły.  
Takie się miasto z nich każdemu śniło,

A każdy widział podobnie, jak drugi.  
Najbliżej bram był szlachcic Poletyło,  
Który pod stołem już leżał jak długi.

Od lotu, widać, nazwisko mu było,  
I dotąd, widać pradziada zasługi  
Lotne działały w synie, że uderzał  
Skrzydłami o strop — gdy pod stołem leżał.

## II.

— Podobnie owo oczu się zamknięcie  
Zdarza Homerom... Więc bądźmyż my ślepi  
Na to co nasze wielkie przedsięwzięcie

Na przyszłość może tutaj nędzy szczepi;  
Puściliśmy się już na tym okręcie,

A więc nikt nie mów, że byłoby lepiej,  
Gdybyśmy byli nie rzucali brzegu.  
Kto z nami umrzeć chce — ten nasz kolega.

Wszyscy my bracia! — Tutaj go powoli  
Serce wynosić jęło z retoryki. —

Wszyscy my bracia! to równo nas boli  
Serce, i równe mamy pamiątki  
W duszach ojczystej sławy i niedoli;  
Król narzucony, obce rozbójniki  
W kraju, francuskie duchy obok tronu,  
My jedni, jakby wodze Askalonu

Z krzyżem na naszych piersiach i sztandarach,  
Z łachmanem niby ostatnim bławatu,  
Na ukraińskich gołych wichrom jarach,  
Przeciwko wrogu... ba i przeciw światu. —

To mówiąc, w takich był Potocki żarach,  
Takiego dostał na policzkach kwiatu,  
Jak Achil, kiedy mieczem chce ciąć głosy,  
A duch Minerwa chwytą go za włosy.

Wtem jeden szlachcic krzyknął: O głos proszę! —  
Szlachta zwróciła nań oczy ciekawie;

A on z powagą wielką: Oto wnoszę,  
Abyśmy Pana Podczaszego sławie  
Wzniesli kolumnę. — Ja co kwiaty koszę  
W niezabudkowej przeszłości murawie,



Musiałem i tę wspomnieć mowę walną  
Szlachcica — co miał myśl monumentalną.

Wniosek ten jednak zniskąd nie poparty  
Upadł, lecz pana Podczaszego zmieszał.  
Obaczył, że to lwy są i lamparty,  
Że ten co go czci, jutro będzie wieszal;  
W górę więc swój łeb trzymając zadarty  
Rzekł: — Kolumnami Waść nie będziesz wskrzeszał  
Ojczyzny ducha... Pierwej trzeba było  
Nad Sobieszczyków je wznosić mogiłą!

Toby Waść, w szkołach będąc małym żakiem,  
Napoił się był tej kolumny wonią  
I wiedział, jakim trzeba być Polakiem,  
Aby kolumna ze złocistą skronią,  
Z ogromnym białych posągów orszakiem  
Szła na grobowiec, i nad czasu tonią  
Nakształt świętego pozostała drzewa  
Co, zda się, oczy ma, a sercem śpiewa.

My ledwie warci... o jak serce boli,  
Że może i to nam wzbronione, Chryste!  
My ledwie warci, że pacierz sokoli  
Będzie po krzyżach szedł w powietrze mgliste,  
Że wróbel, który po śliwach swawoli,  
Słyszac: a światło niech im wiekuiste

### III.

— Ale w nas obu jakiś nieśmiertelny  
Grzmot słyhać, duszę jakąś doskonałą,  
Która jak rycerz występuje dzielny,  
Gdzie trzeba, i wnet ubiera się w ciało.  
A że my straszni, to Bóg wie piekielny;  
Bo zawsze na wspak stawia swoje działo  
I wichrem strasznym obu nas rozdziela  
I w oczy garścią nam piorunów strzela,

Gdy chcemy naprzód. — Rzekł; a w całym gieście

Był taki straszny, że szlachta struchlała  
Mówi: Chorobę ma wielką... boleści

Rumatyczne mu nadłamały ciała;  
O wiecznym jakimś mówił manifestcie,  
O włóczni — widać, że w boku została  
Włócznia kozacka, którą pod Winnicą  
Postał w bok... Szepcą z wielką tajemnicą,

Ażby żyda powiesić felczera

Co nie namacał jej, a rzekł, że trzyma.

O! jakże trudno służyć za Homera

Szlachcie i ciągle za nią iść oczyma!

Pułaski na nich plany swe opiera;

Jemu już w oczach gdzieś karpacka zima

Srebrna, bez dachu i nawet bez płota,

Jednemi tylko sztandarami złota

I ukwiecona świeci się a oni

O powieszeniu żyda radzą z boku!...

Rzekniesz o wiośnie — to zaraz Fawoni

Z trawkami igra nad brzegiem potoku;

Z tej legii, która po husarsku dzwoni

I w historycznym gdzieś dawnym obłoku

Podnosi miecze ogromne jak młoty

I rząd łabędzich skrzydeł zorzą złoty

Rozwija... z tego dawnego husarza

Co za Krzyżakiem pędzi się wśród błonia,

W kark dzidę swoją mu zabójczą wraża,

Hełm na hełm, konia mu wsadza na konia

I z trupem leć, szeregi przeraża,

Bo zda się, paszczę trupa w siebie wchłonia

I w strzał srebrzystych mogilnej zamieci

Do piekła, jak coś skrzydlatego, leci;

Zamiast straszidła tego co na sztabe

Człowieczką wskoczył, zgniółł w skrzydłach i w rękę

A potem rzucił ścierwo w kruki rabe [kach

I dalej leciał, słyszany po jękach,



A potem w domu ścisnął swoją babę  
I o Chrystusa czerwonego mękach  
Śpiewał żalosne godzinki... mam oto  
Na Boga! salę mam ogromną złotą,

Wielką figurę, w szarym szarafanie,  
W amarantowej czapce aksamitnej  
Na szabli; i mam drugiego, mospanie,  
Rycerza wielkiej żrenicy błękitnej,  
I mam ogromną wojnę Bożą w planie,  
Podobną wojnie jakiej starożytniej,  
I mam podolskich tyle wonnych kwiatów,  
I mam ten miesiąc biały — hostyę światów.

## IV.

Czuje już szlachta, że nie o to chodzi,  
Aby wypędzić króla i Moskali;  
Tu duch powstaje, a Pan Bóg dowodzi,  
A zaś szaleństwa pełna druga szala...  
Gdy mówił, drugi chwiał się naksztalt łodzi  
Gdy przywiązaną ciągle chwytła fala;  
Potem rozplakał się i na kolana  
Padłszy, rzekł: Imię Przenajświętsze Pana!

I omdlał; potem przyszedłszy do siebie,  
Rzekł: Więc ty wszystko wiesz, i tę decyzją,  
Która już teraz zatrzymana w Niebie,  
O której miałem taką straszną wizyą,  
Żem stracił rozum . . . . .

## V.

A w grotach były światła zapalone,  
Tak że się z każdej lafa jasność żywa  
Wodzie, i słupy rzucała czerwone  
Po stawie, co się wahał jak oliwa.

W jednej z grot jako Walkirye szalone  
Stały trzy wiedźmy, i staruszka Diwa  
Natknawszy szarej do włosów szalwii,  
Z wielkim pieniądzem na czerwonej szyi.

Ta coś wróżyła — a szlachcice starzy,  
Siedząc przy dzbanach cynowych, słuchali;  
Panna Aniela, widząc tych husarzy,  
Ten ogień, wiedźmy — a wszystko to w dali  
Jeszcze straszniejszej nabierało twarzy —  
W podskalne, drzewy ocienionej sali  
Złękła się; dziewczę drżącą wzięła ręką  
I całą grotę obesła z Helenką.

I tak obiedwie strwożone dziewczeczki,  
Obiegłszy grotę, zbliżyły się do niej  
Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki,  
Brnąc po pas w różach, liliach, lewkonii;  
I pod most weszły bardzo małej rzeczki,  
I tam — w liliach podobna Dziewonii  
Hrabianka rzekła: Tu nam doskonałe,  
Ale co dalej robić, nie wiem wcale.

Na to Helenka: Ja tam, panno droga,  
Muszę pod sosną być, gdzie pan nadjedzie.  
Wielka to bardzo dla mnie biednej trwoga,  
Bo może kogo on z sobą przywiedzie.  
Wtenczas nie ujdzie ani jedna noga,  
Będą strzelali... a ja tam na przedzie  
W mojej jaskrawej zaścierce stojąca  
Kulom jaśniejszą będę od miesiąca...

Ot serce mi tak przewidując puka,  
Jakby mnie oni mieli trafić kulą.  
Myśl we mnie dawnych smętnych piosnek szuka,  
Które ja w chacie śpiewała z matulą.  
Oj! jeśli mnie ta wróżba nie oszuka,  
Każ mnie panienka śmiertelną koszulą  
Okryć i grzebać ze świecami jasno,  
Jakby ja była ptaszka twoją własną.



Każ mnie tam, panno, pogrzebać pod gajem,  
 Gdzie my chodziły często po czernice;  
 Bo już nie przyjdę więcej z korowajem,  
 Nie ustrzygą mi włosów młodyce...  
 Na to Aniela: Więc tu nad ruczajem  
 Zostań, ja pójdę tam, zakrywszy lice;  
 A ty idź, powiedz, niech piastunka Diwa  
 Wcześniej z tą szlachtą ratować przybywa.  
 Nie! tak nie można, — rzekła tamta druga. —  
 On pozna pannę po jedwabnym stroju;  
 Niech już ja na to odważę się, sługa,  
 W białej koszuli, w malinowym zwoju.  
 Panienska nie wiesz, jaka męka długa,  
 Jak to nie można twarzy obmyć w zdroju,  
 Jak to wstyd długo rumieńcem maluje,  
 Gdy pan obejmie stan i pocałuje!  
 — Dlaczegoż ty masz?... — krzyknęła Aniela, —  
 A potem rzekła: Co? czy nie masz noża?  
 Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,  
 Że gdybym sama była wśród rozdroża,  
 A była za mną przepaść i topiela  
 Pełna gdzieś na dnie ognistego morza,  
 Skoczyłabym w nią prędzej, niżby kto mię —  
 Nie, nie — nie można żyć po takim sromie!  
 Nie idź tam, ja ci zakazuję, proszę,  
 Helenko moja, nie idź! — Na to ona:  
 Z konia nie zsiądzie to złote panosze,  
 Szabli nie rzuci i szlachtę pokona.  
 Niech już ja, panno, mój wstyd sama noszę,  
 Złoto ja wzięła — ot mi z pokolona  
 Brzęczą pieniądze jego; ja bogata,  
 Złotem i wstydem wykupiła brata...  
 Na to Aniela: W Imię Pana Boga,  
 Ja mu to złoto czarne oddam sama!  
 Panie Branecki, wykrzyknęła sroga,  
 Otworzy ci się nasza dworska brama!

Przysięgam, wyjdiesz, i więcej twa noga  
 Tu nie postanie! to twój ślad — to plama —  
 Helenko, razem pójdziem pod sosenkę...  
 To mówiąc, już szła i wlokła Helenkę.  
 Było maleńkie w Anielinkach wzgórze,  
 Gdzie jedna sosna między inne drzewka  
 Złocistsze, między kaliny i róże  
 Weszła i stała, jak smutna Litewka...  
 Tam było miejsce pod drzewem nieduże,  
 Strumień i jego szemrająca śpiewka,  
 Dobrze obrane miejsce na dziewiczą  
 Schadzkę z Egeryą jaką tajemniczą.  
 Gdy się zbliżyły, ujrzały z daleka  
 Dwóch konnych: był to pan Branecki w burce  
 I przy sobie miał drugiego człowieka,  
 Z którym rozmawiał o starosty córce.  
 Ona słyszała, jak ją on wywleka  
 Z komnat dziewiczych; jak myśli, jaszczurce,  
 Pozwala łązić po niej; jak ją plami,  
 Mówiąc o wdziękach brudnymi ustami.  
 Co myślisz, mój ty Dzierzanowski? rzecze;  
 Czy w Indyach, twoje mustrując Cypaje,  
 Widziałeś jakie oko co tak piecze  
 I tyle ognia pod spojrzaniem daje?  
 Jeśli tu z naszych kto szponów uciecze  
 Król powie, żeśmy obydwu mazgaje,  
 Żeśmy tu poszli szukać tylko sińca,  
 A nie przywieźli żadnego gościńca. —  
 Na to pan Dzierzanowski, kłamca wielki,  
 Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:  
 Ja trzymam tylko się każdej butelki,  
 Bom w Indyach stracił tę rzecz co się zowie  
 Miłością. Miałem harem i ród wszelki,  
 I przynieśli mi syrenę Bonzowie,  
 Co miała ogon rybi i dwie twarze,  
 A sam uczyłem ją grać na gitarze.



Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,  
 Śpiewając jako maleńkie słowiczki —  
 Było to, pomnę, pod korkowem drzewem,  
 A nauczyłem ją jednej kantyczki —  
 Otóż widząc mnie, że śpię, w rękę lewem  
 Mając gitarę, a w prawym nożyczki...  
 Branecki przerwał: Podcięła jak szczygła!  
 Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierzasiu,  
 Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,  
 Jak tam się w jakimś kochałeś karasiu;  
 Gdy strzelasz, strzelajże przynajmniej celnie...  
 Lecz co to widzę? tam na pozalasiu  
 Jakieś światelka. Cóż to mojej Elnie,  
 Że nie przychodzi? Czy bierze z migdałów  
 Wannę?... słyszałeś? co to? kilka strzałów!...

Zda się, że gdzieś tam we dworze strzelono.  
 Czy nie słyszałeś nic? Dali-Bóg, bójka!  
 Ty jedź do zamku, a ja inną stronę.  
 Każ, niechaj w bryczce będzie moja trójka...  
 Patrz, patrz, patrz! brzozy poza nami płoną!  
 Dobrze, że drutem podszyta ta czujka!  
 Jedź! lepiej, że dwie obierzemy drogi —  
 Strzelają — słyszysz, mój Dzierzasiu? w nogi!

To rzekł, i rzucił się na bok w gęstwinię,  
 Gdzie mu gałęzie od drzew zawadzały.  
 Wtem... pannę spotkał i białą dziewczynę  
 I cofnął od nich konia, choć był śmiały.  
 Myślał, że duchy po księżycu sine  
 Na drodze jemu zachodzą od skały;  
 A one obie także, jak łabędzie  
 Wśród brzóz czekały strwożone, co będzie.

Wreszcie Aniela, już strzelaniem blizkim,  
 Blizkiemi także ośmielona grotą  
 I władzą, którą ma nad duchem niskim  
 Duch wielkiej Bożej miłości i cnoty,

Rzekła: Z Anioły ja jestem — a ty z kim,  
 Wodzu Moskali i podłej hołoty?  
 Dlaczego na mnie za drzewami szczekasz,  
 A gdy ja stanę w oczy, to uciekasz?

Panie Branecki! słyszałam i sędzę  
 Tak, jak są warte, twe brudne ohmowy.  
 Helenko, rzuć mu w oczy te pieniądze!  
 Na to on, wcale nie straciwszy głowy:  
 Gdzież to hrabianka błdzi? — Ja nie błdżę, —  
 Rzekła, — lecz przysłałam ci mój próg domowy  
 Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzicną  
 Do twego króla pana, bez gościńca!

Branecki zaśmiał się: Hrabianko moja,  
 Dali-Bóg, gdyby spokojniejszą chwila,  
 Przylgnałbym tutaj, jak pasterz u zdroja,  
 I pasł twe trzody. Teraz wdzięków tyła  
 Strwożony więcej, niż napadem zbója,  
 Drzę. — Tutaj ujrzał, że się drzewa chylą,  
 Że wypadają ludzie... Porwał w rękę  
 Szablę, a w drugą porwawszy Helenkę,

Bo była bliżej, posadził na siodle  
 Przed sobą, i z nią cofał się w gęstwiny;  
 Tak zasłoniwszy się od strzałów podle,  
 I mając puklerz z krzyczącej dziewczyny,  
 Jak rycerz, który ma na tarczy w godle  
 Pannę — w rumiane konia pchał kaliny;  
 Zawsze ku ludziom zwracając jej łono,  
 Miał znikać w gęstych krzewach... wtem strzelono!

Kto strzelił, pewnie teraz tego dzieła  
 Żałuje! bo po strasznym, głuchym strzale  
 Nie on... lecz ona na koniu krzyknęła,  
 I głos jęczący jej odjęknął w skałę...  
 Potem gąszcz wszystko liściem owinęła:  
 Rycerz, dziewczyna, koń w kwiatowe fale  
 I gęstwę wpadli, a księżyc za nimi  
 Bił w czarne drzewa mieczami srebrnymi.

Nie człowiek, zda się, lecz wielka jaszczurka  
 W powiewną falę mórz zielonych wpadła.  
 Wnet dziarska szlachta dała za nią nurka  
 I krzewy na bok rozdzielając kładła;  
 A gdy zniknęli — to starosty córka  
 W ciszy, na mszonym kamieniu usiadła  
 I przerywała czasem swe koronki  
 Nabożne, głośno wołając piastunki.

Wtem wyszła z gęstwin tych zabójczych Diwa,  
 Niosąc na ręku Helenkę bez ducha,  
 W drugiej garść wielką smolnego łuczywa,  
 Z której dym czarny i ogień wybucha...  
 Aniela wstała: Co? czy jeszcze żywa?  
 O! niech mię Pan Bóg na Niebie wysłucha!  
 Niech ona żyje! — i dotknęła ręką  
 Leżące u nóg — Helenko! Helenko!

Helenko! woła, budząc ją — nie wstała  
 Dziewczyna na to serdeczne wołanie.  
 Więc panna widząc, że dziewczeczka spała  
 I tak anielskie miała ciche spanie,  
 Ust przybliżyła i pocałowała;  
 I rzekła potem cicho: Chryste Panie,  
 Jakże ją do mnie ta śmierć przybliżyła;  
 Zda mi się, że to moja siostra miła...

A Diwa: Tobie ta śmierć przeznaczona  
 Była! taj dobrze, że ją wzięła sługa.  
 Od rana ja dziś chodzę, jak szalona,  
 Taj Siekierycha w chacie jest, i druga;  
 Izba jałowcem stoi wykadzona,  
 Mój mąż do trumny deski, kołki struga,  
 Pogrzeb gotowy od ranka białego,  
 A Bóg co dał sen, dał i umarłego...

Idy do zamku, panenko! tam stary  
 Nie wie co robić, i pieniędzmi dzwoni...  
 Oj! miałaby ty w zamku srebrne mary,  
 Gdyby nie ten duch biały co cię broni.

Idy, panienko, a tu jak świt szary  
 Przyjdź, mając kwiaty zaszeptane w dłoni  
 I przynieś jaką tam starą sukienkę  
 Co tobie krótka, zda się na Helenkę.

Rzekła; i wzięła znów z jasnej murawy  
 Ciało, które się łamało na dwoje.  
 A panna poszła do dworu Ładawy  
 I zaraz weszła na wielkie pokoje.  
 Ojciec jej siedział wśród ciemnej kurzawy  
 I zaraz do niej: Miłe dziecko moje,  
 Prezentuję ci bohaterki młode —  
 Ci, którzy tu nam wracają swobodę...

Oto jest sławny już dawno z imienia  
 Pan Kossakowski — podobno, żeś rodem  
 Z Litwy? — to wcale, wierz mi, nie odmienia  
 Mojego serca; przyjmę ciebie miodem  
 Litewskim. Dojdiesz pewnie do znaczenia,  
 Świecąc jak słońce Litwie takim wschodem!  
 Dusza Waćpana moją duszę zgadła. —  
 Córko! każ zmienić w izbach prześcieradła.



## PRZYPISY I OBJAŚNIENIA.

### PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Słowacki wraz z Zenonem Brzozowskim wyjechał 24 sierpnia 1836 r. pocztą do Otranto, portu włoskiego, stamtąd okrętem do Grecyi.

Pieśń I. Str. 7. Pulia — Apulia, południowo-wschodni koniec Włoch.

Str. 7. Korfu, wyspa grecka; canto — pieśń.

Str. 7. Fra — dyabeł — kardynał Ruffo przywódca partii antyfrancuskiej i antykonstytucyjnej. Mimo układu z nim, pokonanych konstytucjonalistów admirał angielski Nelson kazał ściąć (między innymi księcia Caraciollę). Anglia popierała króla Ferdynanda przeciw konstytucjonalistom.

Str. 7. Abruzzi, góry włoskie.

Str. 8. Pan Podstoli, powieść Krasickiego.

Str. 8. Pegaz, koń uskrzydłony, służący poetom.

Str. 8. Semi-historyczne — półhistoryczne.

Str. 8. Colleta, historyk neapolitański.

Str. 8. Herschel, sławny astronom.

Str. 8. Turyn, miasto w północnych Włoszech.

Str. 8. Marsylia, port we Francyi południowej.

Str. 8. Weturyn, woźnica.

Str. 8. Carozze (czyt. Karoce), cabrioletti, pojazdy.

Str. 8. Fama, sława.

Str. 9. Mokkańska, od Mokki miasta arabskiego, słynącej kawą.

Str. 9. Lux — zbytek.

Str. 9. Kastor i Pollux, bracia nierozdzielni.

Str. 9. Astolf, osoba z poematu Ariosta „Orland szalony“.

Str. 9. Hipogryf, koń skrzydlaty.

Str. 9. Golf — zatoka.

Str. 9. Guide (czyt. gid), przewodnik.

Str. 9. Lokanda — hotel.

Str. 9. Sewastopol, Azow, Mitawa, miasta w Rosyi.

Str. 10. Suspir, expir — znaki milczenia.

Str. 10. Piruet — obrót na jednej nodze w tańcu.

Str. 10. Wirgiliusz, poeta rzymski, autor Eneidy.

Str. 10. Chiaja (czyt. Kiaja), Margelin (czyt. Mardżelin), ulice.

Str. 10. Dove fa il torso — gdzie ma środek.

Str. 10. Corso — ulica główna, ruch uliczny.

Str. 11. Kant, filozof niemiecki.

Str. 11. Dante, poeta włoski.

Str. 11. Schizm — rozłam.

Str. 11. Majuskule, wielkie litery.

Str. 11. Vorort, rząd szwajcarski.

Str. 11. Konwencya, parlament rewolucyjny francuski z roku 1791.

Str. 11. Cesarze niemieccy walczyli z Włochami.

Str. 11. Retorta, naczynie używane w chemii.

Str. 11. Platon w „Rzeczpospolitej“ wystawił wzór państwa. Atlantyda, wyspa bajeczna (podobno Kreta).

Str. 11. Castello dell' Ovo (zamek jaja) przy Neapolu.

Str. 11. Karmelitów klasztor w Warszawie obrócono na więzienie polityczne.

Str. 11. Olivetto, Góra Oliwna w Palestynie.

Str. 12. Pauzylip, góra pod Neapolem ze sławną grota.

Str. 12. Most pod Tamizą (właściwie tunel) w Londynie.

Str. 12. Hellada — Grecya.

Str. 12. Rapsod — śpiewak.

Str. 12. Ereby — piekło.

Str. 13. Salvator Rosa, malarz neapolitański.

Str. 13. Far-niente — nie robić niczego.

Str. 13. Lazaron — uboga klasa ludności bezczynna.

Str. 13. Karlin, drobna moneta.

Str. 13. Symara, suknia śmiertelna.

Str. 13. Giovine (czyt. Dżowine) Italia — Młode Włochy, stowarzyszenia rewolucyjne.

Str. 13. Frutti di mare — drobne rybki.

Str. 13. Conte — hrabia.

Str. 13. Archipelag — wyspy greckie.

Str. 13. Korsarz, Giaur, tytuły dzieł Byrona.

Str. 14. Rousseau (Russo), filozof francuski, Bentham (czyt. Bensem) filozof angielski.

Str. 14. Ludwika Śniadecka, w której Słowacki kochał się jako student nieszczęśliwie. Ona kochała się w oficerze rosyjskim Korsakowie, który zginął pod Warną przeciw Turkom.

Str. 15. Poeta ballad — Bürger, autor „Leonory.“

Str. 15. Lecce (cz. Lecze), miasto w Apulii.

Str. 15. Odysea, poemat Homera o podróżach Odysa.

Pieśń III przez omyłkę zamiast II.

Str. 16. Czefal — ryba morska.

Str. 16. Rudel, tyle co ster.

Str. 16. Zante, wyspa grecka.

Str. 16. Kretyn, upośledzony na umyśle.

Str. 16. Et tantae tantaene divis coelestibus ira — I taki, takież gniew bogów niebieskich.

Str. 16. Średniówka, przystanek w połowie wiersza.

Str. 17. Tytan, olbrzym bajeczny.

Str. 17. Coxcomb (czyt. kokskom), koguci grzebień, firecyk.

Str. 17. Pindar, sławny poeta grecki.

Str. 17. Oda, rodzaj poematu.

Str. 17. Auto-da-fe, akt wiary, potem spalenie.

Str. 17. Epiktet, mędrzec grecki.

Str. 17. Podagra — choroba nóg.

Str. 17. Z bursztynu — z bursztynowej fajki.

Str. 17. Na emigracji dwa stronnictwa utworzyły się kłócąc się zawzięcie: arystokraci (Ks. Czartoryski) i demokraci (Lelewel).

Str. 18. Santa Maura na wyspie Lewkadzie. Tam rzuciła się w morze poetka Safo.

Str. 18. Zamek joński, Santa Maura.

Str. 18. Laura, ulubione imię w poezji romantycznej.

Str. 18. Sawantka — kobieta pretensjonalnie uczona.

Str. 19. Safona — Ludwika Śniadecka.

Str. 19. Morze Marmora przy Carogrodzie.

Str. 19. Dawnemi czasy Turcy poległym obci-nali uszy.

Str. 19. Armida z „Jerozolimy Wyzwolonej“ Tassa poety włoskiego.

Str. 19. Koryna, powieść sławna pani Stael.

Str. 19. Orfeusz prosił boga piekieł o zwrot żony.

Str. 19. Paganini, sławny skrzypek.

Str. 19. Kwartet, czterech skrzypków.

Str. 19. Broken-hearted (czyt. harted) — pęknięte serce.

Str. 19. Lancet, narzędzie lekarskie.

Str. 20. Zycer — zecer.

Str. 21. Panteista — uważający naturę za Boga.

Str. 21. Bon jour (czyt. bą-żur) — dzień dobry.

Str. 21. Jura — prawo.

Str. 21. Ilissos — strumień pod Atenami.

Str. 21. Heptanissos — nazwa statku.



Str. 22. Syon, góra w Jerozolimie, na której stał pałac Dawida.

Pieśń IV. Str. 22. Adamastor, olbrzym.

Str. 22. Tryton, potwór morski.

Str. 22. Kastor, czapka bobrowa.

Str. 22. Idylia, sielanka.

Str. 22. Metr (maitre), zarządca, Giglio (czyt. Dżilio).

Str. 22. Patras, miasto greckie.

Str. 23. Vasco de Gama, żeglarz portugalski, odkrył Indyę.

Str. 23. Cyklopi, naród olbrzymów.

Str. 23. Penelopa, żona Odysa.

Str. 23. Harpie, ptaki drapieżne porywające potrawy.

Str. 23. Eneas, bohater poematu Eneida.

Str. 24. Dyana, bogini księżycy — księżyc.

Str. 25. Lepanto, miasto greckie.

Str. 25. Nibelungi, poemat niemiecki.

Str. 25. Missolungi, twierdza grecka, w której umarł Byron.

Str. 26. Bitwa pod Grochowem w r. 1831.

Str. 26. Święty alians, przymierze cesarzy rosyjskiego, austriackiego i króla pruskiego zawarte 1815 r.

Str. 27. Dylizans — powóz pocztowy.

Str. 27. Robespierre, przywódca rewolucjonistów francuskich.

Str. 27. Credo, wierzę. Mochnacki, rewolucjonista polski z r. 1831. Dyktator — Chłopiński. Mochnacki zaczął pisać dzieło o powstaniu.

Str. 27. Herod, mowa o cesarzu Mikołaju.

Str. 27. Makbet, bohater tragedii Shakespearca.

Str. 27. Kokles, bohater rzymski.

Str. 27. Milcyad (Miltiades), bohater grecki.

Str. 27. Kanaris, bohater grecki, co po kilka razy spalił flotę turecką.

Str. 28. Brulot, łódź do podpalania okrętów.

Str. 28. Ewander, osoba z Eneidy.

Str. 28. Ludka — Śniadecka.

Str. 28. Ipsylanty, bohater grecki.

Str. 29. Pod Cheroneą Filip król macedoński zwyciężył Greków. Wyborowy hufiec grecki co do jednego poległ. Tam pomnik stoi.

Str. 29. Kusza, machina do rzucania kamieni.

Str. 30. Ibrahim — basza dowodził armią egipską przyslaną na pomoc Turkom.

Str. 30. Termopile, wąwóz grecki sławny bohaterską obroną króla Leonidasa przeciw Persom.

Str. 30. Xerxes, król perski.

Str. 30. Zawellas, bohater grecki.

Str. 31. Botzaris, bohater grecki, zwyciężył nocnym napadem Turków, ale poległ.

Str. 31. Aulis — port, gdzie na ofiarę zabito Ifigenię, córkę Agamemnona.

Str. 31. Miaulis, admirał grecki.

Str. 31. Drewniana forteca — okręty.

Str. 31. Bosfor, cieśnina morska przy Carogrodzie.

Str. 31. Stambułka, fajka.

Pieśń V. Str. 33. Prometeusz, bohater bajeczny, który ogień przyniósł na ziemię z nieba.

Str. 33. Hamlet, tragedia Shakespeare'a.

Str. 33. Washington (Łoszynt'n), bohater amerykański.

Str. 33. Stambuł — Carogród.

Str. 33. Firman — rozkaz sułtański.

Str. 33. Rigny - Navarino, admirał francuski, zwyciężył Turków pod Navarinem i oswobodził Grecję.

Str. 33. Paris, syn króla trojańskiego wykradł żonę króla Sparty Menelaja. O to wojna trojańska wybuchła.

Str. 34. Habana (czyt. Hawana), miasto na wyspie Kubie w Ameryce.

- Str. 34. Dafne uciekając przed Apollonem w laur przemieniona.
- Str. 35. Errata — omyłka druku.
- Str. 35. Korn, księgarz i wydawca wrocławski.
- Str. 35. Luminarz, światło, ozdoba, chwała.
- Str. 35. Feliński, autor dramatyczny, klasyk.
- Str. 35. Rosynanta, rumak Don-Kichota, w istocie nędzna szkap.
- Str. 35. Kawalkada, orszak konny.
- Str. 35. Albania — kraj na półwyspie bałkańskim.
- Str. 35. Myca — czapka futrzana.
- Str. 35. Mozajka — mieszanina.
- Str. 36. Litografia (kamienioryt) — rodzaj obrazka.
- Str. 36. C'est tout clair (cz. se tu kler) — to całkiem jasne.
- Str. 36. Pückler — Muskau, autor niemiecki.
- Str. 36. Niecka, naczynie w kształcie koryta.
- Str. 36. Otton, król grecki, Bawarczyk.
- Str. 36. Sól attycka, oznacza dowcip.
- Str. 36. Momus — bóg dowcipu.
- Str. 37. Pelid — Achilleos, bohater grecki.
- Str. 37. Egida — tarcza olbrzymia.
- Str. 37. Hetman Żółkiewski zginął pod Cecorą przeciw Turkom roku 1620.
- Str. 38. Solon — mędrzec grecki.
- Str. 38. Poeta grecki Arystofanes napisał komedję „Obłoki“ wysmiewającą Sokratesa.
- Str. 38. Mowa o Zenonie Brzozowskim.
- Str. 39. Turban — czapka turecka.
- Str. 39. W Belwederze sławny posąg Apollona.
- Str. 39. Khan — karczma na Wschodzie.
- Str. 39. Turcy upajają się napojami z maku (opium), z konopi (haszyszem) itp.
- Str. 39. Madrepor — zwierzokrzew.

- Pieśń VI. Str. 39. Vostizza (cz. Wostica) miasteczko nad zatoką korynecką.
- Str. 40. Krajograficznie, zamiast krajoznawczo żartobliwie.
- Str. 40. Sberta — stóg pszenicy na Podolu.
- Str. 42. Sławny Jan — Kochanowski.
- Str. 42. Partenon świątyni bogini Ateny (Minerwy).
- Str. 42. Stone-henge (cz. ston-heng) kamień leżący.
- Str. 43. Eurypid — poeta grecki.
- Str. 43. Mais c'est insipide (me setęsipid). — Ale to niesmacznie.
- Str. 43. Comment (koman) jakto — Giuliano cz. Dżuliano.
- Str. 43. Non ce (cz. nonce) — nie ma.
- Str. 43. Tho se mu krassi (cz. do se mu krassi). Daj mi wino.
- Str. 43. Psami (właściwie psomi) — chleb.
- Str. 43. Flażolet, instrument, rodzaj fletu.
- Str. 43. Bardon, romantyczna nazwa instrumentu.
- Str. 43. I beg you pardon, But I don't like the music, I am sorry (cz. Aj beg ju pard'n bat aj dont łajk ze miuzie, aj am sore). — Bardzo przepraszam, ale nie lubię muzyki, bardzo mi przykro.
- Str. 44. Vehmiczne (cz. femiczne) — sądy tajne w Niemczech w średnich wiekach. Na skazanego wolano: Biada (wehe) trzykrotnie.
- Str. 44. Rektor — kierownik wszechnicy.
- Str. 44. Hektor — bohater trojański.
- Str. 45. Obskurant, przeciwnik oświaty.
- Str. 45. Asekurant, zabezpieczający.
- Str. 45. Comte, hrabia.
- Str. 45. Zampa, opera francuska Harolda.
- Str. 45. Mumia, trup egipski zachowany od rozkładu.
- Str. 45. Tetys — bogini grecka.



Str. 46. Zofijówka, ogród sławny Szczęsnego Potockiego na Ukrainie.

Str. 46. Cnota skarb wieczny itd. z pieśni Kochanowskiego.

Str. 46. Córki Mnemozyny — muzy.

Str. 46. Uliś — Odyseus, bohater Odysei.

Str. 46. Spisa — dzida.

Str. 46. C'est ennuyeux en diable, (cz. Setaniuje andiable) — to dyabło nudne.

Str. 46. Mais c'est insupportable, cz. Me setęsjuportable) — ale to nieznośne.

Str. 46. Kompas, instrument pokazujący północ.

Str. 47. Kontredans — taniec.

Str. 47. Powieść Sancho-Pansy z Don-Kichota.

Str. 47. Czajld-Harold (Childe-Harold) poemat Byrona.

Str. 47. Fedon, por. Horsztyński. Przypiski.

Str. 47. Pigmalion rzeźbiarz, któremu posąg ożył.

Pieśń VII. Str. 47. Megaspoleon, największy klasztor ormiański w Grecyi.

Str. 48. Sentyment — uczucie. Lamartine, poeta francuski 1790—1869.

Str. 48. Cecylia Chołoniewska, przełożona Wizytek wileńskich † 1880.

Str. 48. Platoniczna — idealna.

Str. 49. Roland, bohater średniowieczny.

Str. 49. Cząbr, część pieczenia sarniej.

Str. 49. Ilion — Troja, stąd nazwa poematu Ilias.

Str. 49. Callot, (cz. Kalo) Karykaturzysta francuski.

Str. 53. Archimandryta. — opat.

Str. 53. Nikołuszki — Mikołaja.

Str. 53. Prix-fixe — stała cena.

Str. 54. Posąg Kopernika w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu.

Pieśń VIII. Str. 54. Napoli di Romania — Neapol nad zatoką Koryncką.

Str. 55. Miniatura — zmniejszone odbicie.

Str. 55. Mykena — miasto w Grecyi starożytnej.

Str. 56. Klasyczny Jan — Kochanowski.

Str. 56. Śpiewak Potockich Ogrójca — Trembecki.

Str. 56. Ojciec — Euzebiusz Słowacki.

Pieśń IX. Str. 58. Zefir — wiatr zachodni.

Str. 58. Hymet — góra grecka słynąca miodem.

Str. 59. Nektar — napój bogów.

Str. 59. Falerno, wino słodkie.

Str. 59. Erebus — piekło.

Str. 59. Taniec piryjski — wojenny w Grecyi.

Str. 60. Czterdzieści cztery w „Dziadach.“

Str. 60. Sanskryt — język staroindyjski.

Str. 60. Kaika — łódka turecka.

Str. 60. Olimp — góra grecka, mieszkanie bogów.

Str. 61. Salamina — wyspa pod którą Grecy zwyciężyli Persów.

### WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Str. 61. Kalamaki — miejscowość grecka.

Str. 62. Pirea — port ateński.

### ROZMOWA

### Z MATKĄ MOKRYNĄ MIECZYŚLAWSKĄ.

Str. 65. Matka Mokryna Mieczysławska przełożona Bazylianki w Mińsku. Roku 1837 Biskup unicki Siemaszko przeszedłszy na schizmę, starał się skłonić do tego gwałtem zakonnicę. Po różnych udreczeniach ksielni Mokrynie udało się ująć do Rzymu. Słowacki czerpał z różnych przedstawień męczeństwa.

Str. 66. Jak godność itd. — mowa o wyjeździe Słowackiego z kraju roku 1831.

Str. 67. Biskup — Siemaszko.

Str. 68. Gregoriańską mitrę noszą schizmatycey biskupi i ksienie.

Str. 68. Ambaras — nieprzyjemności.

Str. 69. Turma — więzienie.

Str. 72. Knut — bat.

Str. 72. Lewiatan, potwór ukazujący się na końcu świata.

Str. 73. Praszczur, przodek w rodzie.

Str. 73. Ave stelle, witaj gwiazdo.

Str. 75. Doniec, kozak z nad Donu. Dierży — trzymaj.

Str. 76. Witebsk, miasto na Litwie.

Str. 76. Czernice, zakonnice schizmatyckie.

Str. 77. „Spadły z rusztowania“ itd. Było to w Połocku na Litwie przy budowie pałacu dla Siemaszki.

Str. 77. Dom katorżny, ciężkie więzienie.

Str. 77. Gwiazdne znaki, ordery.

Str. 78. D'wiery, drzwi.

Str. 79. Diak, kościelny.

Str. 80. Nie Dziedzioly lecz Miedzioly.

Str. 80. Celica, cela klasztorna.

Str. 81. Wołokita, włóczęga.

Str. 81. Homo, człowiek.

Str. 82. Pastoj, stój. Tiahni, ciągnij.

Str. 82. Samodział, sukno domowej roboty.

Str. 83. Grynspan, zielony trujący osad.

Str. 85. Heca, gwałt publiczny.

Str. 85. Stygmat, rana jako znak od Boga.

Str. 85. Chrest, order.

Str. 85. Sagan, kocięł.

Str. 87. Spazmatyk, cierpiący na kurcze (spazmy).

Str. 89. Rozhowor, rozmowa.

Str. 89. Proszczaj, żegnaj.

Str. 90. Tu — w Paryżu.

Str. 90. Puchówka, pościel puchowa.

## BENIOWSKI.

Początek Beniowskiego w tomie II str. 60. W planie poety było napisać 44 pieśni. Z tego wykończył najmniej więcej jedną trzecią, a pięć wydał sam za życia. Niektóre przechowały się tylko w ułamkach.

Pieśń VI. Str. 95. Sawa — Caliński, jeden z wodzów Konfederacyi Barskiej † 1771.

Str. 95. Swentyna, jego siostra.

Str. 95. Sicz — obwarowany obóz kozacki.

Str. 95. Szczob, abyś.

Str. 95. Liman, zatoka Czarnego Morza.

Str. 95. Kureń, pułk kozacki.

Str. 95. Sotka, setka.

Str. 96. Majdan, część łuku.

Str. 96. Wiśniowiecki Jeremiasz, okrutny łepi-ciel Kozaków, przeklinany na Ukrainie.

Str. 96. Wykinie — wyrzuci.

Str. 96. Buława, rodzaj berła, znak godności hetmańskiej.

Str. 96. Jańczarka, strzelba.

Str. 97. Eglantyna, dzika róża.

Str. 98. Incest, kazirodztwo.

Str. 98. Orestes, syn Agamemnona i mściciel a morderca matki.

Str. 100. Dyomedes, bohater bajeczny.

Str. 100. Tankred, bohater z pierwszej krucjaty zachodzi w Tassa „Jerozolimie Wyzwolonej.“

Str. 100. Żeleźniak, wódz hajdamaków.

Str. 100. Znachor — wróżbita.

Str. 100. Podczaszy Potocki, poskraniacz hajdamaków.

Str. 101. Konfederaci porwali Stanisława Augusta.

Str. 102. Pomoż bat'ku — pomóż ojeze.

Str. 102. Awantura, przygoda.



- Str. 102. Dumourier generał francuski wysłany na pomoc konfederatom.  
 Str. 103. Batalia, bitwa.  
 Str. 103. Szarafan, szara suknia domowa.  
 Str. 103. Ostrokół, parkan z kół zaostrzonych górą, rodzaj fortyfikacji.  
 Str. 104. Obuch, rodzaj młota.  
 Str. 104. Wadoł, wawóz.  
 Str. 104. Tabor, obóz ruchomy złożony z wozów.  
 Str. 104. Maża, wielki wóz.  
 Str. 105. Sotnicza żona, żona sotnika, oficera kozackiego.  
 Str. 107. Reży — rzeżaj.  
 Str. 108. Ślozy — łyzy.  
 Str. 108. Gruszczyńce wieś Gruszczyńskiego oficera polskiego, który zginął przeciw hajdamakom. Jego córka Salomea zachodzi w „Śnie srebrnym“, po dług „Beniowskiego“ sprzedana Tatarom.  
 Str. 109. Śmiła, miejscowość na Ukrainie.  
 Str. 109. Brusznica — jagoda.  
 Pieśń VII. Str. 112. Korsuń, miasto ukraińskie.  
 Str. 113. Chłodnik, zupa zimna.  
 Str. 114. Emigranci z r. 1831 kłócili się między sobą.  
 Str. 114. „Dziennik narodowy“, czasopismo emigracyjne.  
 Str. 114. Monitor — pismo urzędowe.  
 Str. 115. Oszyldwachuje — otoczy strażami.  
 Str. 115. Cherub — anioł.  
 Str. 116. Solima — Jerozolima.  
 Str. 116. Estyma — szacunek.  
 Str. 116. Baraszka, gadanie żartobliwe.  
 Str. 117. Sufler podpowiada role aktorom.  
 Str. 117. Gracya — wdzięk.  
 Str. 117. Szambelan — urząd dworski honorowy.  
 Str. 118. Książę Karol Radziwiłł Panie Kochanku.

- Str. 118. Essy — gzygzaki.  
 Str. 118. Mołła — duchowny i sędzia mahometański.  
 Str. 118. Kipczak, kraj przy morzu Kaspijskiem.  
 Str. 119. Meczet, świątynia turecka.  
 Str. 119. Koran, pismo święte mahometańskie.  
 Str. 119. Eblis, szatan mahometański.  
 Str. 120. Jerycho w Palestynie.  
 Str. 120. Żukowski, poeta rosyjski. Belfer, profesor.  
 Str. 120. Skwierne mięso — zepsute mięso.  
 Str. 120. Puszkina 1799—1837, sławny poeta rosyjski. Sękowski uczony lichego charakteru.  
 Str. 121. Lermontow 1814—1841, sławny poeta rosyjski.  
 Str. 121. Parość, gałąź.  
 Str. 121. Minos, sędzia bajeczny. Estetyka — nauka o zasadach poezji.  
 Str. 121. Schlegel, estetyk niemiecki. Kukolnik, pisarz rosyjski.  
 Str. 121. Karaulnik, policyant.  
 Str. 121. Journal des Débats, dziennik paryski, w którym Janin (czyt. Żanę) pisywał felietony.  
 Str. 121. Benkendorf-Review (czyt. Rewiu), czasopismo angielskie.  
 Str. 121. Chiwa, miasto i kraj w środkowej Azji, podbity przez Rosyę.  
 Str. 121. Furieryzm, system socjalisty Fouriera.  
 Str. 121. Falanga, szyk wojskowy.  
 Str. 121. Dromla, instrument muzyczny.  
 Str. 121. Urna, popielnica; dzieża, misa do ciasta.  
 Str. 121. Hanka 1791—1861, pisarz i polityk czeski.  
 Str. 122. Hermafrodyty — dwupłciowi.  
 Str. 122. Въ передѣ (w pierod) — naprzód.  
 Str. 122. Lewada — polana.

Str. 123. Salahedyn, król egipski i wódz muzułmański.

Str. 124. Ambasador — poseł.

Str. 124. Kikinejs, Czatyrdach, szczyty Krymskie.

Str. 124. Ikar na skrzydłach zrobionych przez ojca Dedala uniósł się w powietrze.

Str. 125. Usque ad mortem — aż do śmierci.

Str. 125. Walkirye, z podań północnych dziewice prowadzące do nieba duchy poległych.

Pieśń VIII. Str. 125. Bodiaki, krzewy na Ukrainie.

Str. 125. Puszcza białowieska, sławna na Litwie.

Str. 125. Połos, wąż.

Str. 125. Sylen, bożek grecki.

Str. 125. Syrena, pół-kobieta, pół-ryba.

Str. 125. Mąż trybuńczuczny, basza.

Str. 125. Rogal, mąż oszukany.

Str. 126. Podług legendy domek nazaretański Anieli przenieśli do miasta włoskiego Loretto.

Str. 126. Moskito — meczet.

Str. 127. Hunnowie — dziki naród azyatycki pustoszący Europę pod władzą Attylą.

Str. 127. Czarniecki, zwycięzca Szwedów.

Str. 127. Perun, bóg słowiański ognia i pioruna.

Str. 128. Sarpedon, jeden z bohaterów Iliady.

Str. 128. Kirys — zbroja.

Str. 128. Śpiewak Litwinów, mowa o „Panu Tadeuszu.“

Str. 128. Gofred, Balduin, bohaterzy „Jerozolimy wyzwolonej.“

Str. 129. Pelida — Achilles, bohater Iliady.

Str. 129. Retoryka — nauka wymowy.

Str. 129. Baktejsaraj, stolica chanów krymskich.

Str. 129. Minaret, wieża na meczecie.

Str. 130. Melancholia — smutek.

Str. 131. Syrya, Cylicya, Natolia, kraje tureckie.

Str. 131. Prokusta, Medea, Cyrce z podań greckich.

Str. 132. Panin, minister Katarzyny II.

Str. 133. Pohańce — poganie, muzułmanie.

Str. 133. Darfur, kraj afrykański.

Str. 134. Mefistofel, nazwa szatana w „Faustie“ Goethego.

Str. 134. Klorynda z „Orlanda Szalonego“ Ariosta.

Str. 134. Kitajka — sukna rodzaj.

Str. 134. Pallada — Atena, bogini mądrości.

Str. 134. Filozof Trentowski, profesor w Fryburgu, wzorował się na filozofii niemieckiej i miał żonę Niemkę.

Str. 134. Izabey, malarz francuski.

Str. 134. Kartelus — bilet.

Str. 135. Sylfy — boginki leśne.

Str. 135. De raptu puellae — o porwanie dziewczyny.

Str. 136. Korabl — okręt.

Str. 136. Grable — grabie.

Str. 136. Treny — skargi.

Str. 137. Sum — ryba z wąsami.

Str. 137. Bohdan — Zaleski.

Str. 138. Skazki — powiastki.

Str. 138. Rafaela łóż — malowidła w Watykanie.

Str. 139. Grachy — bohaterzy rzymscy.

Str. 139. Carbonari — węglarze, tajny związek rewolucyjny włoski.

Str. 139. La gente (cz. dzente) d'inferno — ród piekielny.

Str. 139. Alaryk — wódz barbarzyńców zdobył Rzym.

Str. 140. O miserere — o zmiłuj się.

Str. 140. Et de profundis — I z głębokości.

Str. 141. Łotysze — naród pokrewny Litwinom w Rosyi.

Str. 141. Marzanna — bogini słowiańska śmierci.

Str. 142. Piotrowe — tutaj rzymskie.



- Pieśń IX. Str. 142. Dywan — rada w Turcyi.  
 Str. 143. Floresy, arabeski — linie fantastyczne.  
 Str. 143. Skrybent — pisarz.  
 Str. 143. Responsa — odpowiedź.  
 Str. 143. Pilaw — potrawa z ryżu i baraniny.  
 Str. 143. Sorbet — napój słodki.  
 Str. 143. Dżebel — tytuń.  
 Str. 144. Złota Orda — jedno z państw tartarskich, wówczas nie istniejące.  
 Str. 144. Ćwik — frant.  
 Str. 144. Galion — tutaj naczynie.  
 Str. 145. Omar, Saladin, Hilderim — bohaterzy muzułmańscy.  
 Str. 145. Mufti — duchowny muzułmański.  
 Str. 145. Krupnik — zupa litewska.  
 Str. 145. Szysze — haszysz.  
 Str. 146. Danae — z mitologii greckiej.  
 Str. 146. Euksyn — morze Czarne.  
 Str. 146. X. Marek, jeden z przywódców konfederacji, cudotwórca. Por. dramat: X. Marek.  
 Str. 150. Berberys — krzew o szkarłatnych jagodach.  
 Str. 150. Gehenna — piekło.  
 Str. 150. Galia — Francya.  
 Str. 151. Lira Wernyhory.  
 Str. 151. Wig (whig, cz. hłig) — stronnictwo opozycyjne liberalne w Anglii.  
 Str. 152. Ut videbitis — Jak zobaczycie.  
 Str. 152. Marabut — duchowny muzułmański.  
 Str. 153. Ziobro — żebro, kość.  
 Str. 153. Szech — naczelnik plemienia.  
 Str. 155. Hrymną — upadną.  
 Str. 155. Idyl Korydony — sielanek pasterze.  
 Str. 158. Psyche — z podań greckich przedstawiana z lampą w ręce.  
 Str. 158. Włoch z Sorentu, Petrarca, poeta włoski.

- Str. 160. Ramazan — miesiąc o zabawach nocnych.  
 Str. 161. Robront — suknia.  
 Pieśń X. Str. 162. Ratafia — likier.  
 Str. 162. Družbart, ćwik — gry w karty.  
 Str. 162. Torkwato — imię Tassa. Kanał Orfano w Ferarze, gdzie mieszkał Tasso.  
 Str. 163. Almeja — tancerka.  
 Str. 163. Turbator — przeszkadzający.  
 Str. 163. Liszt (cz. List) — muzyk węgierski.  
 Paganini, sławny skrzypek.  
 Str. 163. Kastrat — rzezaniec. Patria — ojczyzna.  
 Str. 165. Notturmo — nazwa rodzaju sztuk muzycznych. Alla polacca — po polsku.  
 Str. 165. Durno — głupio.  
 Str. 166. Paszalik — tutaj dwór.  
 Str. 166. Kasia ruska — Katarzyna II.  
 Str. 167. Prysiudy — figury w kozaku.  
 Str. 167. Derwisz — mnich muzułmański.  
 Str. 168. Perferyum — obwód koła.  
 Str. 169. Jańczar — żołnierz turecki.  
 Str. 170. Herkulanum — miasto rzymskie zasypane popiołem.  
 Str. 170. Lektor — człowiek czytający głośno.  
 Str. 170. Ofelia — osoba z „Hamleta“ Szekspira.  
 Str. 170. Koryfant, chorowódz — kierownik.  
 Str. 171. Aryadne wyprowadziła Teseja z labiryntu.  
 Str. 171. Tyftyk — materya bawełniana.  
 Str. 173. Lepage — fabrykant broni w Paryżu.  
 Str. 174. Eheu — niestety.  
 Str. 175. Khazarzy — naród koczowniczy na północnem wybrzeżu Morza Czarnego.  
 Str. 177. Czop — korek w beczce.  
 Str. 177. Surmy — trąby.

Str. 177. Abdel-Kader — wódz Maurów algierskich, tutaj Muzułmanin wogóle.

Pieśń XI. Str. 180. Hraty — grać.

Str. 181. Wołosza — suknia szczególnego kroju.

Str. 182. Apostrofować — przemówić. Prorok stary — Ezechiel.

Str. 182. Roś — rzeka na Ukrainie.

Str. 183. Sumak — dziki koń. —

Str. 183. Czumak, przewozi sól czarnomorską w maży.

Str. 183. Bojan, Zaboj, bajeczni lirnicy rusey.

Str. 185. Lear (cz. Lir) z tragedyi Szekspira Król Lear.

Str. 185. Mat' — matka. Zabyw — zabił.

Str. 187. Sorokówka — wódka.

Str. 188. Szłaga — szlachcic.

Str. 190. Tassa tłómaczył Piotr Kochanowski.

Str. 190. Manuskrypta — rękopisy.

Str. 191. Lux — świetność.

Str. 193. Pidem — pójdziem.

Str. 194. Zaszpunktować, zabić, popsuć.

Str. 194. Pendent — pas przez ramię.

Str. 195. Bombardyer — starszy żołnierz przy działach.

Str. 195. Zyguntówka, szabla z portretem Zygunt.

Str. 197. Temblak — bandaż.

Str. 198. Jafagan — szabla turecka.

Pieśń XII. Str. 199. Kornet — czepek.

Str. 199. Św. Ignacy Lojola.

Str. 199. Vacuum — próżnia.

Str. 199. Wolter — (Voltaire) pisarz francuski.

Str. 199. Wybicki, polityk i pisarz polski 1747—1822.

Str. 200. Botanika, nauka o roślinach.

Str. 200. Victor-Hugo, poeta i estetyk francuski.

Str. 200. Wagner — osoba z „Fausta“ Goethego.

Str. 200. Trąba akustyczna, służy do porozumiewania się statków na morzu.

Str. 200. Alwar, Hiszpan, autor gramatyki łacińskiej używanej w szkołach jezuickich.

Str. 200. Trybunał — sąd.

Str. 201. Koncept, pomysł dowcipny.

Str. 201. Pet de nonne, (cz. pedenon) — ciasto francuskie.

Str. 201. Nasturya, właściwie nastureya, roślina.

Str. 201. Larmy z faryny, łyż z maki.

Str. 201. Sople, (tutaj) ozdoby wyrabiane z lawy (dżety).

Str. 202. Et cetra — I tak dalej.

Str. 202. Tutor — opiekun. Repnin, ambasador rosyjski.

Str. 202. Galcador, Artur, osoby z „Orlanda“ Ariosta.

Str. 203. Oficyna — kuchnia.

Str. 204. Neofitka — nowo-nawrócona.

Str. 204. Autokratyzm, samowładztwo. Szczot, machina do rachowania.

Str. 204. Cybernetyka, Chowanna, dzieła Trentowskiego.

Str. 204. Ksantypa — niegodziwa żona Sokratesa.

Str. 204. Inclusive (cz. Inklusiwe) — włącznie.

Str. 204. Trentowski miewał odczyty w Poznaniu.

Str. 204. Requiem, nabożeństwo żałobne.

Str. 205. Meteor, okruch gwiazdy krążący po niebie.

Str. 206. Noemi, Ruth, osoby biblijne.

Str. 206. Pregela (Pregel) rzeka nad którą leży Królewiec sławny filozofem Kantem. Hegel, także filozof, nauczał w Berlinie.

Str. 207. Szatry — namioty.

Pieśń XIII. Str. 209. Kostera — szuler.

Str. 209. Idea czysta, innobyt, pomysły Hegla,



Str. 210. Dyeta, wybór szczupły potraw dla chorych.

Str. 210. Elborak, klacz z podań wschodnich.

Str. 211. W ciełę — w cielecą skórę.

Str. 211. Kaptować — pozyskiwać.

Str. 211. Węgry - Słowak. Beniowski pochodził z Słowaków mieszkających w północnych Węgrzech.

Str. 211. Pothowak (cz. Posowak), osoba z powieści Coopera (cz. Kupera), pisarza amerykańskiego.

Str. 211. Matecznik — głębia lasu dziewiczego na Litwie.

Str. 211. Laweta — podstawa działa.

Str. 211. Linde, autor wielkiego słownika polskiego.

Str. 211. Cyrce przemieniała ludzi w wieprzy. Muzułmanom nie wolno jadać wieprzowiny.

Str. 211. Bałta, miasto i twierdza nad Czarnym Morzem.

Str. 212. Legiony polskie we Włoszech w służbie francuskiej za czasów napoleońskich.

Str. 212. Lasów oboźnica — obozująca w lasach.

Str. 212. Burlak — wzgardliwa nazwa Rosyanina na Ukrainie.

Str. 214. Kaleta — torba.

Str. 214. Słowacki umarł na suchoty.

Str. 216. Pozytura — postawa.

Str. 217. Niż — siedziba Kozaków. Kozacy niżowcy dzielili się na kosze.

Str. 217. Wołosza (tutaj) banda.

Pieśń XIV. Str. 217. Delille — poeta francuski mdły i nudny, wówczas modny.

Str. 218. Amfitryon z podań greckich.

Str. 218. Bion — filozof grecki.

Str. 218. Dylemma — zagadnienie nie dające się rozwiązać.

Str. 218. Bajdany — statki na Dnieprze.

Str. 218. Opis Nowej Jeruzalem w Objawieniu św. Jana.

Str. 219. Askalon, ostatnia twierdza chrześcijańska w Ziemi Świętej.

Str. 219. Niezabudki — niezapominajki.

Str. 219. Monumentalna — pomnikowa.

Str. 221. Winnica — miasto na Wołyniu.

Str. 221. Fawoni — bożek wiosny.

Str. 223. Dziewonia — bogini słowiańska łąk.

Str. 223. Zaścierka — zapaska, fartuch.

Str. 224. Czernice — jagody czarne.

Str. 224. Korowaj — placek weselny.

Str. 224. Mołodyca — młoda dziewczyna.

Str. 224. Pokołon — część ubioru.

Str. 225. Bonza — duchowny indyjski.

Str. 226. Czujka — burka.

Str. 228. Idy — idź.

Str. 229. Szymon Kossakowski odznaczył się w Konfederacji barskiej, później Targowiczanie; zachodzi w „Horsztyńskim.“

## SPIS RZECZY.

---

|                                                 | Str. |
|-------------------------------------------------|------|
| Podróż do Ziemi świętej . . . . .               | 5    |
| Rozmowa z matką Mokryną Mieczysławską . . . . . | 63   |
| Beniowski. (Ciąg dalszy). . . . .               | 93   |
| Przypisy i objaśnienia . . . . .                | 230  |

---

## OMYŁKA DRUKARSKA.

---

Strona 44, wiersz 28.

Zamiast: Gdy go mianują sędzią, gdy go wnuki  
Ma być: I za rękę cię uściśnie sam rektor;

---